Spleceni Bluszczem

Tom 2
bestsellerowej trylogii
Oddana Bez Reszty

Hollywoodzki gwiazdor
nauczył skromną studentkę
przekraczać znane jej dotąd granice
– jako aktorka... i jako kobieta.
Lecz uczennica
nie chce dłużej być posłuszna...

J. Lerman

Spleceni Bluszczem

J. Lerman

Przekład
JOANNA NAŁĘCZ

Korekta
Renata Kuk
Hanna Lachowska

Zdjęcie na okładce
© lady.diana/Shutterstock

Tytuł oryginału
Where the Ivy Grows

Copyright © by S. Quinn
All rights reserved

For the Polish edition
Copyright © 2014 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

ISBN 978-83-241-5072-4

Warszawa 2014. Wydanie I

Wydawnictwo AMBER Sp. z o.o.
02-952 Warszawa, ul. Wiertnicza 63
tel. 620 40 13, 620 81 62

www.wydawnictwoamber.pl

Konwersja do wydania elektronicznego
P.U. OPCJA
juras@evbox.pl

Rozdział 1

Słyszę głos.

– Nie. NIE. Nie tym razem.

To Marc. Krzyczy.

Otwieram oczy i czuję, jak Marc obejmuje mnie mocno ramionami. Jesteśmy w łóżku, zwróceni do siebie twarzami; moje nagie ciało przytulone do jego piersi. Świta, przez okna sypialni wpada różowe światło.

Marc zaciska powieki, wygląda, jakby coś go bolało.

– Marc? – mówię.

– Zostaw ją! – krzyczy i obejmuje mnie jeszcze ciaśniej.

Patrzę na jego powieki, które drgają lekko nad pięknymi niebieskimi oczami.

Blada twarz Marca jaśnieje w słabym świetle poranka. On cierpi, a ja nie potrafię tego znieść.

– Co się dzieje? – szepczę. – Marc? Wszystko w porządku?

Siada na łóżku wyprostowany, pociągając mnie za sobą. Jest zaskoczony, zdezorientowany – mały chłopiec bliski płaczu.

Odsuwam włosy, które opadły mu na czoło.

– Miałeś zły sen?

Otwiera usta i znowu je zamyka, a potem przyciąga mnie do piersi.

– To nic – mruczy, ale słyszę w jego głosie napięcie. – Tylko… śniło mi się coś, co zdarzyło się dawno temu. Przepraszam, nie chciałem cię obudzić.

– Nie ma sprawy. – Obejmuję go za szyję. – Słonko już wstaje. Za kilka minut i tak bym się obudziła.

Marc opuszcza mnie na łóżko; widzę, jak jego pierś porusza się szybko, a małe blizny na skórze rozciągają się przy każdym oddechu. Kładę dłoń na jego sercu. Jego skóra wydaje się zbyt gorąca.

– Twój sen… chyba był zły.

– Ale już minął. – Marc opada na poduszkę obok mnie i przesuwa palcem po moich ustach. Potem je całuje.

Już chcę coś powiedzieć – zapytać jeszcze o ten sen. Ale on zaczyna całować mnie mocniej, a ja zatracam się w świecie zmysłów. Jego zapach, jego usta, jego język.

Marc odsuwa się lekko i bierze mnie za rękę. Potem patrzy w dół, na nasze złączone dłonie.

– Pamiętasz, co się stało w nocy? – pytam.

Na ustach Marca pojawia się uśmiech.

– Myślisz, że mógłbym zapomnieć?

– Może.

– Jakby to było możliwe.

– To było dla mnie takie szczęście. Widzieć, jak… jak się we mnie zatracasz.

Marc uśmiecha się szerzej, pokazując piękne białe zęby.

– Więc to było szczęście, naprawdę? – Obejmuje mnie ramionami, czuję na plecach jego duże dłonie.

– Tak – uśmiecham się w jego pierś. – Wielkie, wielkie szczęście.

– Cóż, staram się, panno Rose. – Potargane brązowe włosy opadają mu na czoło; wygląda uroczo jak szczeniak, z porannym zarostem na podbródku.

– Czy dla ciebie… to było coś niezwykłego? – pytam.

Marc zakłada mi włosy za uszy. Są długie i wiem, że zmierzwiły się podczas snu; żałuję, że nie mam pod ręką lusterka. Ale nie mam, a skoro tak, mogę udawać, że są gładkie i lśniące jak u Lucy Liu.

Marc bierze mnie za rękę, przykłada moje palce do swoich ust i wsuwa je między wargi.

– Niezwykłe nie jest na to dość dobrym określeniem.

Czuję, że uśmiecham się szeroko.

– A co by nim było?

Marc wzrusza ramionami i przewraca się na plecy, tak że teraz patrzy na sufit.

– Słowa nigdy nie były moją najmocniejszą stroną. Wolę czyny.

Opieram się na łokciu i patrzę na jego profil. Jest taki doskonały. W zależności od kąta zawsze wygląda trochę inaczej. Z tej strony widać niezwykle delikatny brązowy zarost na jego policzkach i zmierzwione włosy nad czołem, i przywodzi na myśl chłopaka z boys bandu. Ale kiedy odwraca twarz do mnie i widzę ją całą, jest pełna siły i obezwładnia pięknem.

– Czyny? – rzucam wyzywająco, uśmiechając się niemal od ucha do ucha.

Marc wciąga mnie na siebie; moje włosy opadają mu na pierś. Czuję, że jest twardy i odruchowo biorę głęboki oddech. Jego rozmiar ciągle jeszcze mnie zaskakuje.

– Czyny mówią głośniej niż słowa. – Marc przesuwa dłońmi w dół moich pleców, a potem sadza mnie na sobie, dosłownie.

Czuję jego duży twardy członek między nogami. Nie wszedł we mnie jeszcze, ale posadził mnie dokładnie tam, gdzie trzeba, więc napiera na mnie lekko, dając mi do zrozumienia, że w każdej chwili może znaleźć się w środku.

Przytrzymuje mnie w tej pozycji, drocząc się ze mną. Ale tam, gdzie chodzi o Marca, nie mam cierpliwości, a zwłaszcza nie mam jej dzisiaj. Poruszam biodrami tak, że znajduję się pod właściwym kątem i próbuję się opuścić.

Ale on mi nie pozwala. Trzyma mnie mocno.

– Jaka pani chętna, panno Rose. Oczekiwanie też może być przyjemne.

Marszczę brwi. On wie, że to tortura.

– Może dla ciebie.

Patrzymy na siebie; Marc wydaje się całkowicie spokojny. Opanowany. Wracam myślami do ubiegłej nocy i mam nadzieję – naprawdę mam nadzieję – że nie był to jednorazowy wyskok. Że to początek większej bliskości między nami.

Chcę na niego działać. I, do diabła, będę działała.

Wsuwam rękę między jego nogi, obmacując go delikatnie.

Marc wstrzymuje oddech, a potem go wypuszcza.

– Próbuje pani, ile zniosę, panno Rose?

Kiwam głową, zadowolona, kiedy jego dłonie na moich biodrach zwalniają uścisk. To moja szansa. Odrywam jego ręce i opuszczam się na niego.

Kiedy wchodzi we mnie, wydaję długi jęk, a on, ku mojemu zachwytowi, szepcze cicho: „Chryste".

Patrzę mu w oczy, wiedząc, że moje są już zamglone i nieprzytomne. To cudowne uczucie mieć go w sobie, czuć, jak mnie wypełnia.

Jego oczy też trochę zachodzą mgłą; widzę, jak przełyka.

– Powiedziałeś, że czyny mówią głośniej niż słowa – dyszę, kiedy wchodzi we mnie do końca. Coraz trudniej mi mówić.

– Tak właśnie powiedziałem. – Marc z diabelskim uśmieszkiem unosi jedną brew. Teraz znowu całkowicie nad sobą panuje.

– Tak – mruczę, czując jak moje uda dotykają jego bioder.

Słyszę coś na zewnątrz – jakieś podniesione głosy – i sztywnieję. Te głosy dobiegają z daleka, może aż zza bramy college'u. Ale jest w nich coś, co mi się nie podoba.

Rozdział 2

Co to było?

– Chyba dziennikarze – mówi Marc.

Patrzę na niego.

– Żartujesz.

Marc kręci głową.

– Nie. Wiedziałem, że będą tu dzisiaj rano.

– Ale skąd oni wiedzieli, że ty tu będziesz?

Marc parska śmiechem.

– Nie wiedzieli. Przyjechali tu dla ciebie.

– Dla mnie?

– Sophio, jeśli poważnie myślisz o tym, żebyśmy byli razem, tak właśnie będzie wyglądało nasz życie. Fotoreporterzy będą koczowali przed drzwiami, żeby uszczknąć kawałek ciebie. Nie cierpię tego, ale na to się właśnie piszesz. Ciągle możesz zmienić zdanie.

– Nie. – Kręcę głową. – Wiem, czego chcę.

Głosy przybierają na sile, a mnie nagle ogarniają mdłości.

– Ale zaczynam się bać. Czy ciebie też to przerażało? Na początku?

Marc obejmuje mnie ramionami i przyciąga do siebie. Czuję, jak porusza się we mnie.

– Oooch!

Marc wtula nos w moją szyję i wciąga powietrze.

– Boże, pięknie pachniesz. Nigdy się nie bałem. Ale teraz się boję.

Podnoszę się, czując, jak zmienia pozycję w moim wnętrzu, i patrzę na niego.

– Teraz?

– Oczywiście. Teraz mam coś do stracenia. – Bierze do ręki pasmo moich włosów i okręca je wokół dłoni. – Boję się, że cię stracę.

Marszczę brwi.

– Że mnie stracisz?

Marc puszcza moje włosy i przesuwa dłońmi w górę i w dół moich bioder.

– Ja nie żyję w prawdziwym świecie, Sophio. I myślę, że kiedy sobie to uświadomisz, może zechcesz odzyskać swoje dawne życie. Nie miałbym ci tego za złe. No i jestem jeszcze ja, oczywiście. Kiedy dowiesz się o mnie więcej, będziesz chciała uciec, gdzie cię oczy poniosą.

– Nie – mówię, kręcąc głową. – Ta noc była naszym początkiem. Prawdziwym początkiem. Teraz, kiedy mam ciebie, nie zrezygnuję z tego.

– Och, naprawdę? – Marc uśmiecha się szeroko, a potem przekręca mnie tak, że teraz on jest na górze. Wstrzymuję oddech. – Nie zrezygnujesz ze mnie? – Ciągle jest w

środku, a ja czuję rozkoszny ból, kiedy się we mnie porusza.

– Nie mogłabym, nawet gdybym chciała. Jesteś jak narkotyk. Albo zły nawyk.

– Zły nawyk?

Teraz oboje się uśmiechamy.

– Bardzo zły.

– Tylko nie mów, że cię nie ostrzegałem. – Marc obejmuje mnie mocniej. – Teraz nie masz dokąd uciec. Mam cię dokładnie tam, gdzie chcę, żebyś była.

– Wcale nie życzę sobie być gdzie indziej.

W oczach Marca pojawia się smutek.

– Uważaj, czego sobie życzysz.

Podnoszę głowę.

– To znaczy?

– To znaczy… że możesz odkryć we mnie rzeczy, które ci się nie spodobają.

– Jestem pewna, że już je widziałam.

– Nie. – Marc kręci głową. – Jest ich więcej.

– Więcej? – Mówię to lekko, bo nie chcę, żeby mroczne myśli, które go dręczą, całkiem nim zawładnęły. – Marc, wszyscy mamy w sobie rzeczy, których wolimy nie pokazywać innym. Ale intymność, związek, to znaczy dzielić się wszystkim. Światłem i mrokiem. Ja też mam swoje ciemne strony.

Myślę o tym, jaka czasami czuję się zazdrosna. I niepewna, czy Marc chce ze mną być.

– Och, widziałem już pani ciemną stronę, panno Rose. – Marc znowu się uśmiecha, a ja czuję ulgę.

– Och, naprawdę? A co dokładnie pan widział, panie Blackwell?

– Jesteś zdecydowanie zbyt ufna – mówi Marc.

– Raczej nie nazwałabym tego ciemną stroną.

Marc zaczyna się poruszać do przodu i do tyłu, powoli, ale z siłą, która zapiera mi dech w piersiach.

– Och – mruczę, kiedy przyspiesza.

Podnosi moje nogi i oplata nimi swoje plecy; teraz porusza się już szybko i mocno.

Po ubiegłej nocy jest między nami inaczej. Nadal gorąco. Nadal seksownie. Ale… jest też bliskość. Mam wrażenie, że jego ciało stapia się z moim. Że jest jego częścią.

Ujmuję jego twarz w dłonie i patrzę prosto w czyste, niebieskie oczy.

– Skończysz już? – szepczę. Uderza we mnie z coraz większą siłą, a ja czuję narastającą przyjemność. – O Boże, Marc… zrobisz to?

– Jeszcze nie – mówi, zamykając oczy. – Dopiero po tobie.

Wypuszcza powietrze, chwyta mnie za pośladki i wbija się we mnie głębiej, jeszcze głębiej.

Przyjemność jest tak intensywna, że niemal sprawia ból. Wiję się pod nim, przygwożdżona jego ciężarem. Nie pozwala mi się poruszyć, nie pozwala mi uciec przed tą przyjemnością. Prawie mnie już ma, całą, i wie o tym. Jeszcze kilka pchnięć i będę należała do niego. Ale ja nie chcę przeżywać tego sama. Chcę, żeby był ze mną, od początku do końca. Tak jak ubiegłej nocy.

– Czekaj – dyszę. – Nie chcę jeszcze… Nie bez ciebie.

Marc przewraca się na plecy, pociągając mnie za sobą.

– Niech ci się przyjrzę – mówi, podnosząc mnie do góry.

– O Boże, Marc – mruczę, poruszając się w przód i w tył. Nie mogę się powstrzymać. Nie mogę myśleć. Nie mogę przestać się ruszać. – Marc. Och, Marc. – Czuję fale ciepła sunące w górę moich nóg. Nagle obejmują moje podbrzusze, a ja całą sobą padam na jego pierś.

Ręce Marca zaciskają się na moich biodrach; nie pozwala mi uciec, podczas gdy ciepło rozlewa się po całym moim ciele.

– Och – jęczę, obezwładniona rozkoszą. Ale ogarnia mnie też smutek. Marc nie skończył. Czy znowu go straciłam?

– Marc…

Ucisza mnie, przyciskając wargi do moich ust i kołysząc mnie do przodu i do tyłu. Raz, dwa, trzy, a potem…

Wydaje gardłowy jęk i zamyka oczy, zaciska zęby. Jego ciało rozluźnia się i Marc opada na łóżko z przymkniętymi oczami.

– Czy ty…? – pytam.

Marc lekko kiwa głową.

Opadam na niego, wtulam się w jego pierś, czując na niej blizny i włosy. Uśmiecham się, kiedy obejmuje mnie ramionami.

– Kocham cię – szepcze Marc. – Gotowa stawić czoło światu?

Rozdział 3

Starałam się nie myśleć o tym, co czeka nas za bramami college'u.

Wtuleni w siebie nawzajem, w ciepłym kokonie naszej sypialni, jesteśmy bezpieczni. Ale tam, na zewnątrz… Wiem, że czekają na nas paparazzi. A ściśle mówiąc, czekają na mnie.

Tego ranka dostaną niezłą historię. Bonus do Marca Blackwella.

Myślę o zdjęciu, które zrobili nam pod domem mojego taty. Bóg jeden wie, jaką dorobią do niego historię w porannych gazetach. Niewinna dziewczyna uwiedziona przez złego starszego mężczyznę? A może puszczalska studentka uwiodła przystojnego nauczyciela z Hollywood?

– Jesteś na to gotowa? – pyta Marc, tym razem zupełnie poważnie. Lubię jego lekką, skłonną do zabawy stronę i żałuję, naprawdę żałuję, że nie jesteśmy po prostu zwykłą, normalną parą. Ale… nie jesteśmy. Pod żadnym względem.

– Prawie. – Cudownie jest czuć jego ciepłą pierś pod policzkiem; chcę jeszcze kilku minut tej przyjemności: dotyku jego skóry, jego pięknego zapachu i jego silnych ramion.

Leżymy tak jeszcze przez chwilę, aż w końcu zmuszam się, żeby wstać.

– Zróbmy to – mówię, odrywając się od niego.

– Jesteś pewna? Bo ja mogę zniknąć stąd niezauważony. Ciągle możesz się wycofać, Sophio. Nie chciałem tego dla ciebie. Wierz mi. I nadal nie chcę.

– Ale ja chcę ciebie – mówię. – A to wszystko jest z tobą w pakiecie. To część ciebie.

Marc opiera się na łokciu, a ja widzę teraz jego długie, muskularne ramię.

– Zjedzmy śniadanie, a potem niech zrobią te zdjęcia.

Kręcę głową.

– Jestem zbyt zdenerwowana, żeby jeść.

– Powinnaś coś zjeść.

– Nie byłabym w stanie, naprawdę. Chcę tylko mieć to już za sobą.

Marc wzdycha.

– Dobrze. Skoro nalegasz.

Wysuwam się z jego objęć i idę do szafy. Wkładam czystą bieliznę, a potem moja ręka zatrzymuje się nad granatowym kostiumem. Jen namówiła mnie, żebym go kupiła na przesłuchania. Powinnam wyglądać elegancko. Poważnie. Dorośle. Niezbyt młodzieżowo.

Czuję, że Marc staje za mną. Sięga ponad moim ramieniem i wyciąga z szafy moje ulubione wąskie dżinsy.

– Włóż to, co lubisz – mówi. – Bądź dzisiaj sobą. Powinni wiedzieć, kim naprawdę jesteś. Pokochają cię taką, tak samo jak ja.

Odwracam się i patrzę w jego niebieskie oczy, tak czyste dzisiaj i jasne jak diamenty, w

których odbija się niebo.

– Marc. Dlaczego ty mnie kochasz? To znaczy… oni wszyscy będą się nad tym zastanawiać, prawda? Dlaczego ktoś taki jak ty zakochał się w kimś takim jak ja.

Marc uśmiecha się i moje serce topnieje.

– Ponieważ jesteś sobą.

– To znaczy?

– Nie rozumiesz, prawda?

– Czego nie rozumiem?

– Co sprawia, że ludzie cię kochają.

– Ludzie mnie nie kochają – śmieję się. – W każdym razie nie bardziej niż kogokolwiek innego. Nie rozumiem, dlaczego ty mnie kochasz. Jestem zupełnie zwyczajna. Jestem zwyczajną dziewczyną ze zwyczajnej wsi.

– Z całą pewnością nie jesteś zwyczajna – mówi Marc. – Nigdy w życiu nikogo takiego nie spotkałem. Gdybyś była kimś innym, nigdy nie doszłoby do takiej sytuacji. – Wzdycha. – Chryste, co za burdel.

Przeszywa mnie ból.

– Burdel? Tak nas widzisz?

Marc podnosi głowę i widzę ból w jego oczach.

– Nie ciebie. Siebie.

– Nie zgadzam się. Jesteś doskonały.

Marc się śmieje.

– Dlatego właśnie cię kocham, Sophio. Bo wszystko dla ciebie jest dobre. – Obejmuje mnie ramionami. – Ubierz się. Twoja publiczność czeka.

Rozdział 4

Wychodzimy z wieżyczki akademika, trzymając się za ręce, oślepieni jasnym słońcem. Mam na sobie swój najwygodniejszy strój – czarny sweter, który mam od zawsze, dżinsy i adidasy. Prawdziwa ja.

Oczywiście, włożyłam też granatowy kaszmirowy płaszcz, kupiony przez Marca, który leży na mnie jak rękawiczka i sprawia, że wyglądam, jakbym miała dużo lepszą figurę, niż mam w rzeczywistości. Odrobina Marca nie zawadzi.

Marc ma na sobie to samo co ubiegłego wieczoru – czarny podkoszulek, bojówki i szare tenisówki. Wcześniej wziął prysznic i jego włosy ciągle są jeszcze lekko wilgotne.

Nie ma kurtki, oczywiście. To dla niego typowe. Zdaje się nie zauważać zimna, a dzisiaj naprawdę jest zimno. Wygląda zupełnie jak bohater filmu akcji, a ja nie mogę się nadziwić, że ten człowiek, ten przystojny hollywoodzki aktor, trzyma mnie za rękę. Jesteśmy razem. Wydaje się szaleństwem choćby pomyśleć te słowa. A jednak to prawda.

Na zewnątrz jest cicho i pusto, wszystko wydaje się nieruchome, kiedy idziemy z chrzęstem żwirową ścieżką. Pewnie dlatego, że wszyscy studenci śpią jeszcze w swoich ciepłych łóżkach, zaledwie kilka metrów od nas. Szczęściarze. Nie muszą się martwić o nic, poza śniadaniem i dzisiejszymi wykładami.

Jest piękny, zimny i rześki dzień; lodowato błękitne niebo przypomina mi dzień, w którym Marc odnalazł mnie w lesie. Lekko zamglone słońce świeci nad nami w górze, ale zdecydowanie jest już jesień. Prawie zima. Powietrze jest zimne i nasze oddechy parują.

Jak będzie wyglądało moje życie w college'u, kiedy ujawnimy się przed światem?

– Marc? – Ściskam jego dłoń i zatrzymuję go. – Co się stanie, kiedy już wszystkim powiemy? Czy ja tu kiedyś wrócę?

Marc się uśmiecha.

– Oczywiście, że tak. Wszystko jest ustalone.

– Co… jak?

Marc ujmuje obie moje dłonie.

– Zaplanowałem wszystko. – Unosi jedną brew. – Gdybyś, co wielce nieprawdopodobne, chciała odrzucić swoją prywatność i bezpieczeństwo dla kogoś takiego jak ja.

Uśmiecham się.

– Musiałeś wiedzieć, jak łatwo będzie mi dokonać wyboru. – Ja też unoszę jedną brew.

– Mam też inne plany.

– Inne plany?

– Na wypadek gdybyś zmieniła zdanie.

– Zmieniła zdanie? – Przełykam ślinę. Czy on nie wie, co do niego czuję? – Ja nie zmienię zdania.

Marc kręci głową i marszczy brwi.

– Nigdy nie mów nigdy.

– Marc, ja…

Marc ściska moje ręce.

– Nie będę cię już uczył. Przynajmniej nie na zajęciach.

– Marc, nie. Obiecałeś. Nie możesz odejść z college'u. Inni studenci…

– Sophio. Powinnaś już wiedzieć, że nigdy nie złamałbym danej ci obietnicy. Nadal będę uczył innych studentów. Ale ty przejdziesz na lekcje indywidualne. Nie będziesz już chodziła na wykłady. To chyba byłoby niestosowne, prawda?

Zastanawiam się nad tym. Wydaje się to rozwiązaniem idealnym, więc… o co mi chodzi?

Nabieram powietrza.

– Takie sprawy… Czy możemy najpierw wspólnie je omawiać?

– Nie podoba ci się to, co zaplanowałem?

– Nie podoba mi się, że nie spytałeś mnie o zdanie.

Marc przyciąga mnie do siebie, czarna bawełna drapie mnie w policzek.

– Och, Sophio, Sophio. Obiecuję, że zrobię co w mojej mocy, żeby nie być takim kontrolującym potworem. Dla ciebie wszystko jest możliwe. – Mówi to lekko, ale widzę, że jest poważny.

– W porządku – szepczę, biorąc go za ręce.

– Chodź. – Marc ściska moje palce. – Chcę zobaczyć, co nas czeka. Im prędzej dowiem się, z czym mamy do czynienia, tym lepiej.

Trzymamy się za ręce, idąc przed siebie ścieżką. Kiedy wychodzimy zza zakrętu, widzę przed nami bramy college'u i serce podchodzi mi do gardła.

Tam, za ogrodzeniem z kutego żelaza, roją się dziennikarze, przepychają się i rozpychają, żeby zdobyć miejsce najbliżej żelaznych prętów.

Kilku wspięło się na bramę i przepycha aparaty między metalowymi szpicami. Inni napierają na czarne pręty, w wygniecionych kurtkach, wsuwając między nie ręce i nogi.

O mój Boże.

Błysk flesza. I jeszcze jeden. Potem przestaję liczyć. Błysk, błysk, błysk. Flesze strzelają jak popcorn.

Zasłaniam oczy rękami.

– Marc…

– Trzymaj się blisko mnie. – Jego głos jest zimny. Gniewny. – Mamy tu dobrą ochronę. Nie przedostaną się przez bramę. Po prostu stój blisko mnie. Boże, tak bym chciał, żebyś nie musiała przez to przechodzić. Chciałbym zabrać cię samolotem na swoją wyspę, żebyś nie musiała zawracać sobie głowy takimi bzdurami.

– Musimy to zrobić. – Przełykam z trudem. – Nie chcę żyć, kryjąc się w cieniu.

Marc unosi jedną brew.

– W cieniu można się dobrze bawić.

Uśmiecham się.

– Możliwe. Ale ja lubię światło. Bez słońca nic nigdy nie wyrośnie.

Idziemy dalej, a ja czuję, jak miękną mi kolana. Tylu fotoreporterów. I wszyscy wydają

się tacy… nachalni. Zuchwali. Bezwzględni. I wszyscy chcą nas dorwać. Nie dbają o to, że jesteśmy innymi ludzkimi istotami.

– Skąd oni się wszyscy wzięli? – szepczę. Moją uwagę przyciąga jedyny spośród fotoreporterów, który ma na sobie garnitur. Sposób, w jaki stoi, sprawia, że wygląda, jak ktoś ważny – prawnik albo biznesmen. Podczas gdy inni walczą o miejsce, on stoi, niewzruszony, na samym przedzie, i nikt nie próbuje go odepchnąć.

Ma pociągłą twarz, krótko przystrzyżone baczki i modnie przystrzyżone, gęste czarne włosy. Coś w jego szarych oczach przywodzi mi na myśl detektywa – są tak inteligentne, że budzi to mój strach.

Wydaje mi się, że już gdzieś go kiedyś widziałam, i nagle doznaję olśnienia. Giles Getty. Z gazety „Daily News”.

Rozdział 5

Marc także dostrzega Getty'ego i jego twarz pochmurnieje.

– Niektórzy prosto ze ścieków – mówi, patrząc na niego gniewnie. Ściska mnie mocniej za rękę. – Chryste. Ktoś musiał wiedzieć, że…

– Wiedzieć?

– Że będziemy tu dzisiaj oboje. To nie powinno się… Chryste. To już dość blisko. – Zatrzymuje mnie. – Jeśli on tu jest… to kiepski pomysł.

– Kto?

– Getty.

Flesze ciągle błyskają, a mnie przed oczami migają białe plamy.

– Co jest w nim takiego złego?

– Znam Gilesa Getty'ego od dawna – mówi Mark gardłowo. – Mój stary wróg, można by powiedzieć. Jest niebezpieczny. Zwłaszcza jeśli chodzi o kobiety.

Marc odciąga mnie od bramy.

– Wydamy oświadczenie dla prasy później. Na razie, muszę umieścić cię w jakimś bezpiecznym miejscu.

Ciągnie mnie z powrotem w stronę college'u. Przechodzimy przez kilka budynków, aż w końcu żwirową ścieżką docieramy do Queen's Theatre.

– Gdzie idziemy? – pytam, potykając się na żwirze. – Tylna brama jest tam.

– Jest jeszcze inne wyjście – mówi Marc, wyciągając z kieszeni bojówek pęk kluczy. – Tutaj.

Otwiera wielkie drewniane drzwi teatru i wciąga mnie za sobą do środka.

W teatrze jest zimno i ciemno, a kiedy Marc zamyka drzwi, mrok staje się nieprzenikniony. Słyszę chrzęst klucza przekręcanego w zamku.

Ciągle czuję dłoń Marca w swojej i słyszę jego oddech – szybki i płytki.

– Marc? Co się dzieje?

– Po prostu trzymaj mnie za rękę. Wszystko w porządku. Nie bój się.

Nie zdawałam sobie z tego sprawy, ale rzeczywiście jestem wystraszona. Serce wali mi jak młotem i zaschło mi w ustach.

Reakcja Marca na Getty'ego… coś się tu dzieje. Coś złego.

– Dlaczego ten Getty tak cię zaniepokoił? – pytam Marca, idąc za nim przez teatr. W ciemności, z dłonią w dłoni Marca, moje serce zaczyna zwalniać.

– Powiedzmy, że wiem o nim więcej niż inni – mówi Marc. – Wszyscy wiedzą, że nie gra fair. Że nie jest miły. Nie zawaha się przed niczym, byle zdobyć materiał i nie obchodzi go, kogo po drodze skrzywdzi. Ale jest coś jeszcze… Getty już zrujnował życie mojej siostrze.

– Twojej siostrze?

Marc nie odpowiada.

– Marc?

– Sophio, nie chcę rozmawiać o tym człowieku. Zwłaszcza kiedy jestem z tobą.

Przełykam.

– Świetnie znasz to przejście – mówię, potykając się o wystającą płytkę podłogową. – Nawet po ciemku. Często z niego korzystasz? – Mam nadzieję, że słyszy uśmiech w moim głosie.

– Tak. – Nie widzę go, ale wiem, że on też się uśmiechnął. – Prawdę mówiąc, cały czas poruszałem się po ciemku, dopóki nie poznałem ciebie. Tkwiłem w mroku.

– A teraz?

– Teraz jest inaczej. – Przesuwa kciukiem po mojej dłoni.

Wyczuwam, że mijamy scenę i wiem, że wchodzimy za kulisy. Zatrzymujemy się i znowu słyszę metaliczny brzęk kluczy.

Rozdział 6

Tajemne przejście? – szepczę.

– Można tak powiedzieć. Te drzwi prowadzą do podziemi.

– To tak dostałeś się tu wczoraj w nocy?

– Może. Ale nie mogę zdradzić wszystkich moich tajemnic.

Błyska pomarańczowe światło, a ja mrugam, bo mnie oślepia. Widzę przed sobą długie kamienne schody i czuję zapach stęchlizny.

Z dołu schodów nadpływa zimne powietrze.

Odwracam się do Marca. Jego przystojna twarz jaśnieje w pomarańczowym świetle, a ja znowu nie mogę uwierzyć, że on naprawdę stoi tu obok. Ciągle wydaje mi się nierealne, że z nim jestem. Linia jego kości policzkowych, bruzdy po obu stronach nosa. Grube brwi i te oczy, niebieskie jak letnie niebo, patrzące na mnie. On naprawdę tu jest. To nie jest film, to prawdziwe życie.

Marc widzi, że na niego patrzę i uśmiecha się.

– Nie bój się. Nie ma tu żadnych potworów.

– Na pewno? – odpowiadam mu uśmiechem.

Unosi jedną brew.

– Nazywa mnie pani potworem, panno Rose? – Kładzie moją dłoń na zimnej, drewnianej poręczy i pomaga mi zejść z pierwszego stopnia.

– Cóż. Zdaje się, że masz swoją sekretną jaskinię. To typowe dla potworów, nie sądzisz?

– Ostrzegałem cię, że nie jestem jak inni ludzie.

– To na pewno.

Marc zamyka drzwi za nami na klucz.

– Trzymaj się mnie.

Bierze mnie za rękę i sprowadza ze schodów. Wkrótce docieramy do dużej, płaskiej przestrzeni z betonu. W jednym odległym, ciemnym kącie stoi czarny aston martin z przyciemnionymi szybami.

– Twój, jak się domyślam?

– Bardzo bystrze, panno Rose. Jak się pani tego domyśliła?

Wiem, że Marc się ze mną droczy, ale nie mogę się powstrzymać. Mówię:

– Jest czarny. Jak wszystko, co do ciebie należy.

– Wszystko? Mylisz się, Sophio. Należy do mnie też wiele czerwonych rzeczy.

– Co się stało z fordem mustangiem?

– Ten samochód jest szybszy.

– Czy James Bond nie jeździ przypadkiem astonem martinem? – pytam, kiedy Marc wyciąga kartę i otwiera samochód. Zamki otwierają się z dziwnym dźwiękiem, jakiego

nigdy wcześniej nie słyszałam.

– James Bond ma wiele samochodów.

– Odmówiłeś zagrania roli Bonda, prawda? – pytam, kiedy Marc otwiera przede mną drzwiczki.

Marc kiwa głową.

– Dlaczego?

– Ta postać do mnie nie pasuje.

– Ale masz jego samochód.

– To nie jest jego samochód. James Bond jeździ DB5 i V8. A to jest wykonany na zamówienie model Rapid S. Jedyny w swoim rodzaju.

– Zapamiętam. Ale, Marc, przecież jesteś aktorem. – Wsuwam się na skórzane siedzenie. – Możesz zagrać każdą rolę. Jak to możliwe, że postać do ciebie nie pasuje? Z łatwością zagrałbyś Bonda.

Marc wskakuje za kierownicę i zatrzaskuje drzwiczki.

– Tam, gdzie w grę wchodzą narodowe ikony, jestem bardzo ostrożny. Nie chciałbym ich zbrukać.

– Zbrukać?

Wyraz rozbawienia znika z jego twarzy.

– Pomyśl sama, Sophio. Pomyśl o tym, co mnie pociąga.

– Masz na myśli… – Nie bardzo wiem, jak to ująć. – Że lubisz mieć kontrolę?

W odpowiedzi Marc zapuszcza silnik, a ja zamykam drzwiczki.

Patrzę przez okno na pustą, ciemną przestrzeń podziemia. Dziwnie się czuję z tym, co powiedział przed chwilą Marc. „Co mnie pociąga”. To prawda. Ma dziwne upodobania. Ale myślałam, że teraz, kiedy jesteśmy parą, będzie też otwarty na inne sposoby uprawiania miłości. Że będziemy bardziej równi.

– Marc…

– Zmieńmy temat. – Marc wrzuca bieg i kręci kierownicą. Jedziemy w ciemności, ale zaraz pojawia się przed nami długa linia białego światła, która staje się coraz szersza, aż w końcu widzę drogę i wysokie budynki centrum Londynu.

Wyjeżdżamy na drogę, a ja odruchowo chwytam się siedzenia. Samochód bardzo szybko wchodzi w zakręty.

– Gdzie nauczyłeś się tak prowadzić? – pytam skrzekliwie.

– Kiedy kręciliśmy *Błyskawicę* – mówi Marc. – Kaskader znikł, więc nauczyłem się prowadzić samochody wyścigowe. Omal dwóch nie skasowałem, ale nakręciliśmy wszystkie niezbędne sceny. Strach przed śmiercią to doskonała motywacja do nauki.

Wydaje się całkowicie odprężony i swobodny za kierownicą; rozmawia i gestykuluje przy tym jedną ręką.

Ja natomiast jestem strasznie spięta. Pewnie wyglądamy, jakbyśmy jechali dwoma różnymi samochodami. Ja nie cierpię szybkiej jazdy.

– Więc dokąd jedziemy? – pytam.

– Niedaleko. Tam, gdzie mają dobrą ochronę. I gdzie będziemy mogli udzielić wywiadu.

– To znaczy?

– To hotelu Carlo.

Rozdział 7

Do tego hotelu Carlo?

Marc się uśmiecha.

– Więc słyszałaś o nim?

Wybucham śmiechem.

– A kto nie słyszał? – Patrzę na swoje ubranie. – Ale Marc… ty chyba żartujesz. To znaczy, popatrz tylko, jak ja wyglądam.

Marc lekko kręci głową.

– To bez znaczenia.

– Bez znaczenia? – Nie odpowiada, ale jestem prawie pewna, że wiem, co ma na myśli. To bez znaczenia, ponieważ jesteś ze mną.

Przełykam ślinę. Wcale nie przepadam za takimi eleganckimi miejscami. Czy też raczej eleganckie miejsca nie przepadają za mną. Kiedy się w jakimś znajdę, zawsze czuję się jak słoń w składzie porcelany. Potykam się o własne nogi i zawsze plamię sobie ubranie. A mówimy tylko o restauracji w Essex, do której lubi chodzić Jen. Nigdy w życiu nie byłam w miejscu tej klasy co Carlo.

– Dlaczego nie pojedziemy do twojego domu? – pytam. – Tam jest bezpiecznie, prawda?

– Nie możemy – odpowiada Marc, zdecydowanie za szybko. – Nie dzisiaj.

Spogląda na mnie z ukosa i chyba wyczuwa, że jestem trochę zdezorientowana jego odpowiedzią.

– Mam dzisiaj gościa.

– Gościa?

– Zgadza się.

– Kto to jest?

– Nikt, kogo znasz. Ona musi się teraz gdzieś zatrzymać. To wszystko. Nie zostanie długo.

– Ona?

– To tylko chwilowe. Nie znasz jej. Nie masz się czym martwić.

– Ale kto to jest? Ktoś, z kim się spotykałeś? – Słyszę w tych słowach zazdrość.

– Naprawdę nie masz się czym martwić.

Wyraz jego twarzy mówi mi, że ta rozmowa dobiegła już końca, ale ja nie czuję się dobrze. Przygryzam paznokieć i próbuję otrząsnąć się z nieprzyjemnych myśli. Kim jest ta kobieta, która mieszka w jego domu i dlaczego, do diabła, wcześniej o niej nie wspomniał?

Nie popadaj w paranoję.

Wjeżdżamy na Piccadilly, skręcamy w lewo, a potem w prawo.

Marc tak bez wysiłku wszystko kontroluje. Jest taki spokojny. Zorganizowany. Wcześniejszy gniew całkiem z niego wyparował i teraz znowu panuje nad sobą. Ale ja nie chcę, żeby aż tak wszystko kontrolował. W tej chwili mam wrażenie, że znowu się od siebie oddalamy.

Marc zatrzymuje samochód na skrzyżowaniu i patrzy na samochody. Mija nas wielki czerwony autobus, a potem kilka czarnych taksówek.

– Marc, jesteś tego pewny? – pytam.

– Pewny?

– No wiesz… mnie.

Odwraca się do mnie. Zazdrosna czy nie, prawie nie jestem w stanie się ruszyć, kiedy on tak na mnie patrzy – jakby był mnie głodny. Jego oczy zdają się mnie wypijać.

– Oczywiście, że jestem pewny.

– Ale, Marc… my… ty jesteś sławny. Bardzo sławny. A ta kobieta w twoim domu…

– Zapomnij o tym. Przejmujesz się, choć nie ma czym. A ja żałuję, że nie mogę być mniej sławny, wierz mi. Zrezygnowałbym z tego choćby jutro, gdybym mógł.

– Ale ty jesteś wspaniałym aktorem. A ja jestem tylko… – Rozkładam ręce i pozwalam im opaść.

– Jesteś tylko piękna, dobra, otwarta i upajająca, i jesteś dokładnie tym, czego pragnę – mówi Marc, patrząc mi prosto w oczy. – Ale czy ja jestem tym, czego ty pragniesz?

– Wiesz, że tak.

– Więc jesteśmy dla siebie stworzeni.

Samochody ruszają i Marc zjeżdża ze skrzyżowania. Suniemy jeszcze kilka metrów i po chwili widzę już niebiesko-złote wejście do Carlo Hotel.

Marc zatrzymuje samochód, a do drzwi od mojej strony podbiega portier z czapce ze złotą lamówką.

Nad wejściem wisi brytyjska flaga, dostrzegam niebieskie bratki i bluszcz, rosnące w donicach na schodach hotelu.

– Bluszcz – mówię z uśmiechem.

Policzki Marca drgają z rozbawienia.

– Chciałbym powiedzieć, że kazałem go tu posadzić specjalnie dla ciebie, ale nie jestem aż tak przewidujący.

Wysiadam z samochodu, bardzo skrępowana, i ciasno owijam się płaszczem. Żałuję, że nie jest długi do ziemi, bo wtedy portier nie zobaczyłby moich dżinsów i adidasów.

Marc wyskakuje z auta i obchodzi je szybko, żeby podać mi rękę. Rzuca kluczyki portierowi i prowadzi mnie po schodach do hotelu.

– Denerwujesz się – mówi, czując, jak moje palce drżą w jego dłoni. – Niepotrzebnie. Nie ma się czym denerwować.

– Łatwo ci mówić.

Przechodzimy przez obrotowe szklane drzwi, które ściskają nas ciasno razem, a potem wkraczamy do jasnego kremowo-złotego holu.

Marc podchodzi do recepcji; idę za nim, słysząc, jak podeszwy moich adidasów skrzypią na białej kamiennej posadzce.

Po holu krążą goście – czuję, że się rumienię, kiedy odwracają się, żeby na nas

spojrzeć. To znaczy na Marca. Na mnie patrzą później. Ich spojrzenia mówią mi, że nie robię specjalnego wrażenia.

– Wszyscy się na nas gapią – szepczę cicho przez ściśnięte gardło.

– Nie przywykłaś jeszcze do tego, że ludzie się na ciebie gapią? – odpowiada szeptem Marc, nachylając się do mnie tak, że nasze policzki niemal się stykają.

Kręcę głową.

– W takim razie nie jesteś zbyt spostrzegawcza.

Rozdział 8

Kobieta za blatem recepcji obdarza Marca olśniewającym uśmiechem. Na mnie nawet nie patrzy. Stara się być dyskretna czy nie jestem warta jej uwagi?

– Pan Blackwell. Witamy ponownie. W czym mogę pomóc?

– Dzień dobry, Caroline. Apartament księcia Karola – jest wolny?

– Tak, panie Blackwell. – Kobieta kiwa głową. – Czy ktoś ma pana zaprowadzić?

– To nie będzie konieczne. Ale zadzwonię i podam listę rzeczy, które chciałbym dostać do pokoju.

– Oczywiście. – Kobieta kiwa głową, pisze coś na klawiaturze komputera, a potem wręcza Marcowi klucz na ciężkim breloku. – To wszystko. Zna pan drogę – uśmiecha się do niego promiennie.

– Tak. Dziękuję. – Marc rzuca jej szybki uśmiech, a ona gapi się na niego jak zahipnotyzowana.

Marc prowadzi mnie przez hol. Mijamy bukiet róż, a ja nie mogę się powstrzymać.

– O rany – wzdycham.

Róże mają lekko karbowane płatki, jak falbanki fartuszka, i cudowny kolor. Wyglądają, jakby ktoś wyciął je z białego jedwabiu i aż ręce mnie świerzbią, żeby ich dotknąć.

Jakiś mężczyzna w szarym garniturze, z białymi rękawiczkami przerzuconymi przez ramię, uśmiecha się do mnie.

– Białe róże O'Hara – mówi. – Francuskie. Wszystko tu utrzymane jest w stylu francuskim.

Odpowiadam mu uśmiechem i rozglądam się dookoła. Wszystko jest takie ciekawe – cherubiny ze złota, łukowate sklepienie i antyczne meble.

– Jak tu pięknie. Cudownie musi być tu pracować.

– To prawda.

Czuję na sobie spojrzenie Marca i widzę, że się uśmiecha.

– Cieszę się, że ci się podoba – szepcze, ściskając mnie za rękę.

Uśmiecham się do niego nerwowo.

– Komu by się nie podobało?

– Zdziwiłabyś się.

– Ten sam apartament co zawsze, panie Blackwell? – pyta mężczyzna w szarym garniturze.

Marc kiwa głową.

Obok znajdują się podwójne oszklone drzwi. Mężczyzna otwiera je przed nami.

– Proszę.

– Dziękuję – mówimy jednocześnie z Markiem.

Wchodzimy do długiego, szerokiego holu. Stoją tu miękkie wygodne sofy, a jakiś

człowiek gra na fortepianie *Unforgettable*. Słyszę też szelest gazet i delikatny brzęk filiżanek z porcelany.

Zapominam o różach i znowu czuję się nie na miejscu, jak mała dziewczynka, grzebiąca w garderobie swojej mamy. Nie jestem dość dobra dla tego miejsca. A już na pewno sama w sobie, bez Marca. Mocniej ściskam jego rękę i staram się nie zwracać uwagi na spojrzenia, które przyciągamy.

– Nie denerwuj się, Sophio, proszę – mówi Marc, kiedy idziemy holem przed siebie. – Niedługo poczujesz się tu jak w domu. Obiecuję.

– Nie jestem pewna – mówię. – Zdaje się, że ty dość dobrze znasz to miejsce.

– Kiedyś zatrzymywałem się tu, ilekroć przyjeżdżałem do Londynu. Zanim kupiłem dom. Lubię historię, którą przesiąknięty jest ten budynek. Większość mebli i dywanów to antyki, które należały do pierwotnego wyposażenia hotelu.

Czuję, że trzepotanie w moim brzuchu słabnie trochę, a na twarz wypływa uśmiech.

– Podoba mi się, że interesujesz się historią.

– Historia dostarcza nam opowieści, a opowieści dają nam filmy. Jestem głęboko zainteresowany historią.

Idziemy dalej, przechodzimy przez korytarz, a potem do windy.

Znowu, o rany. Wnętrze windy wygląda jak półki z książkami. Wyciągam rękę i muskam palcami grzbiety. Są zrobione z żywicy.

Marc naciska guzik i drzwi zasuwają się za nami.

Potem ujmuje moją dłoń, podnosi ją do ust i całuje palce.

– Taka ciekawa.

Patrzymy na siebie i nagle widzę w jego oczach, jak bardzo mnie pragnie.

Winda rusza do góry, a mój żołądek opada w dół. W kabinie jest chłodno i cicho, tak że słyszę oddech Marca. Znowu patrzy na mnie w ten sposób. Jakby był łowcą, a ja zwierzyną.

Nagle podnosi obie moje ręce nad głowę i przygważdża je do ścianki.

Och.

Nachyla się nade mną. Czuję jego siłę. To zaczyna być niebezpieczne.

Marc pochyla się niżej i zaczyna całować mnie w szyję, delikatnie i powoli, przesuwając się z jednego boku na drugi.

To naprawdę zaczyna być niebezpieczne.

– Czego ja bym nie dał – szepcze mi do ucha – żeby mieć cię tu, związaną, czekającą, żebym cię wypieprzył, ilekroć winda zatrzyma się na moim piętrze.

– A inni goście? – mruczę.

Jego dłonie zaciskają się na moich palcach.

– Gdyby pojawili się w pobliżu tej windy, mieliby ze mną do czynienia.

Przesuwa palcami w dół moich ramion, a ja czuję, że mimo woli otwieram usta. Potem jego ręce wracają do moich nadgarstków i ściskają je mocno.

– Sophio, Sophio, Sophio – dyszy Marc. – Mógłbym wypieprzyć cię tu i teraz, w tej windzie, wiesz o tym, prawda? Wiesz, z kim się zadajesz?

Winda ciągle jedzie do góry, a ja czuję, że zwalnia.

Czuję jego twarde palce na nadgarstkach. Zaciska je i rozluźnia, zaciska i rozluźnia w

powolnym rytmie i patrzy na mnie, w pełni świadom tego, co robi. Tego, jak to na mnie działa.

Patrzę na niego, zdeterminowana, żeby też na niego zadziałać. Zdeterminowana nie stopnieć pod jego wzrokiem i nie pozwolić mu całkowicie przejąć kontroli nad sobą.

– Proszę mi się nie opierać, panno Rose. To naturalna kolej rzeczy. Ja przejmuję kontrolę, ty się jej poddajesz.

Napiera na mnie całym ciałem, nie przestając ściskać i rozluźniać dłoni na moich nadgarstkach.

– A jeśli się nie poddam? – mruczę.

Czuję, że zaciska palce mocniej, a potem nagle chwyta moje ręce jedną dłonią. Drugą podnosi moje udo i oplata je wokół siebie.

– Jak wiesz, mam sposoby, żeby radzić sobie z nieposłuszeństwem.

Patrzy mi w oczy z intensywnością, od której wszystko we mnie topnieje.

Drzwi windy rozsuwają się z krótkim dźwiękiem.

Rozdział 9

Odwracam się, przerażona, żeby sprawdzić, czy nie patrzą na nas jacyś zszokowani goście. Ale przed windą nie ma nikogo.

Marc ciągle patrzy na mnie z rozchylonymi ustami. Widzę, że oddycha ciężko, próbując nad sobą zapanować.

Patrzymy na siebie bez ruchu, bez słowa, ale nasze ciała mówią same za siebie. Pragnę go aż do bólu i wiem, że on czuje to samo.

Marc pierwszy odrywa ode mnie wzrok.

– Nasze piętro, panno Rose. – Puszcza mnie i ręce opadają mi wzdłuż ciała. Czuję przyjemne mrowienie w nadgarstkach i myślę tylko o tym, żeby Marc znowu mnie dotknął.

Czy przed chwilą stracił kontrolę? W końcu byliśmy w miejscu publicznym. Winda nie jest zbyt dyskretnym miejscem, zwłaszcza że jeszcze nie wydaliśmy oświadczenia dla prasy.

– Marc… zrobiłbyś to? Przed chwilą? Gdyby drzwi się nie otworzyły?

Marc unosi jedną brew.

– Chodzi ci o to, czybym cię wypieprzył?

Rumienię się i kiwam głową.

– Spróbowałbym.

– Cieszę się, że tak na ciebie działam. Że aż zapominasz, gdzie jesteśmy.

– Nie zapomniałem, gdzie jesteśmy – mówi Marc. – Poprosiłem, żeby nikt z obsługi nie towarzyszył nam do apartamentu. To oznacza całkowitą dyskrecję. Wiedziałem, że na naszym piętrze nie będzie nikogo z personelu ani żadnych gości. To prywatny apartament.

Och. No tak. Jestem trochę rozczarowana.

Wychodzimy z windy i czuję pod stopami miękki dywan.

Przed nami widzę białe drzwi; Marc wyciąga klucz z kieszeni i wsuwa go do zamka.

– Ty pierwsza. – Odsuwa się, żeby wpuścić mnie do pokoju. Tyle że to nie jest pokój. To mieszkanie – apartament, chyba tak właśnie nazwał to Marc?

Jest przedpokój, a kiedy idę nim dalej, odkrywam sypialnię, łazienki i wygodny salon z kominkiem i kanapami.

Nie ma tu takiego przepychu jak na dole, ale też jest uroczo. Spokojnie. Luksusowo i przytulnie zarazem. Ciepło i wygodnie, ale ze wspaniałymi akcentami w postaci olejnych obrazów, grubych zasłon i antyków.

Patrzę z okna na Green Park i czuję się zdezorientowana.

– Jesteśmy znacznie wyżej, niż sądziłam – mruczę. – Chyba straciłam w windzie poczucie czasu. Jak tu cicho.

Mimo że widzę autobusy i taksówki jadące wokół Piccadilly, nie słyszę żadnego

dźwięku. Tu w górze panuje całkowity bezruch i spokój. Dostrzegam w oknach podwójne szyby i uświadamiam sobie, po co tu są.

– Podoba ci się widok? – pyta Marc. Odwracam się i widzę, że stoi tuż za mną. Czuję jego ciepło na skórze szyi.

Słyszę „blip-blip” i podskakuję, a Marc cofa się i wyciąga z kieszeni spodni komórkę.

Typowe dla niego. Żadnego spersonalizowanego dzwonka.

Przykłada telefon do ucha.

– Blackwell… Tak… Tak szybko? Dobrze. Nie, to świetnie, że tak szybko. – Wkłada telefon z powrotem do kieszeni i odwraca się do mnie. – Cóż, panno Rose. Czy apartament jest w pani guście?

Bardzo mi się tu podoba, ale… to nie jest mój świat. Nie wiem, co mogłabym tu robić. Jak się zachowywać. A nawet gdzie usiąść.

– Jest piękny, ale… nie jestem przyzwyczajona do takich miejsc. Chyba minie trochę czasu, zanim poczuję się tu swobodnie.

– Akurat czasu nie mamy. Dzwonił ktoś z mojego PR-u. Nasza dziennikarka już tu jest.

Rozdział 10

Dziennikarka? Już?

Marc kiwa głową.

– Wywiadu udzielimy tutaj. W tym pokoju. – Obejmuje gestem salon, a ja patrzę na kominek i stare tapicerowane krzesła. Zauważam butelki z wodą mineralną na okrągłym drewnianym stoliku. To chyba równie dobre miejsce na wywiad jak każde inne. Nie wiem właściwie, czego się spodziewałam – jakiejś sali konferencyjnej z długim stołem i całym mnóstwem dziennikarzy wrzaskiem domagających się odpowiedzi.

Patrzę na Marca i zastanawiam się, o czym myśli. Oczy ma pochmurne i wygląda jakoś bardziej miękko i uroczo niż zwykle, w swoim czarnym podkoszulku i bojówkach. Włosy opadają mu na czoło, jak zawsze, i nie jest ogolony.

Jego usta nie są tak czerwone jak zwykle i mocniej zaciśnięte, kiedy tak rozgląda się po pokoju.

Czuję jego dłoń wokół swojej i nagle czuję się bardzo mała i młoda.

– Po prostu bądź sobą – mówi Marc. – A ona cię pokocha.

– To znaczy?

– Zaprosiłem najmilszą dziennikarkę, jaką znam. Arabellę z magazynu „Gossip”. Daliśmy jej wyłączność, a w zamian moja ekipa będzie mogła sprawdzić artykuł, zanim pójdzie do druku.

– Sprawdzić?

– Dopilnować, żeby było w nim tylko to, co chcemy, żeby w nim było. I nic, czego byśmy nie chcieli. Nie obchodzi mnie, co piszą o mnie, ale bardzo mnie obchodzi, co piszą o tobie.

– Nie brzmi to zbyt… etycznie – mówię. – Czy dziennikarze nie powinni móc pisać tego, co chcą?

Marc się uśmiecha.

– Och, Sophio. Tyle się jeszcze musisz nauczyć.

– Ale ja chcę, żeby oni byli uczciwi – upieram się. – Chcę, żeby napisali, co naprawdę myślą.

Marc kręci głową.

– Zadaniem gazety jest dostarczać dobrych historii. Jeśli my im naszej nie opowiemy, oni zrobią to za nas. Uczciwość nie ma tu nic do rzeczy.

– Ale jeśli ona jest taka miła, w czym problem?

– Nawet mili dziennikarze mają redaktorów, którzy lubią dodawać materiałom pikanterii. To kwestia bezpieczeństwa. Wierz mi, to dobry pomysł.

– Nie. – Mój głos brzmi bardziej stanowczo, niż się spodziewałam.

– Nie? – Marc unosi jedną brew.

– Marc, proszę. Chcę, żeby napisała, co chce. Czułabym się okropnie, gdybym wiedziała, że twoi ludzie się w to wtrącali. To byłoby takie… nieczyste.

Marc znowu się uśmiecha, tym szerokim, hollywoodzkim uśmiechem.

– Nieczyste? Ależ panno Rose, nie przypuszczałem, że jest pani tak zwerbalizowana.

– Doskonale zwerbalizowana – uśmiecham się w odpowiedzi.

Marc obejmuje mnie ramieniem.

– W porządku – szepcze w moje włosy. – Jeśli tak bardzo ci na tym zależy, pogadam z moimi ludźmi od PR-u. Zobaczymy, może się dogadamy. Nie mogę rzucić cię, całkiem bezbronną, na pożarcie prasie. Ale… może uda nam się osiągnąć kompromis.

– Marc – mówię. – O co ona będzie pytała?

– Ona rozumie, że jesteś młoda i dotychczas nie byłaś częścią tego świata. Ale… będzie chciała dostać swoją historię. Będzie naciskała, nie ma co do tego wątpliwości. Ale nie martw się. Cały czas tu będę. I wtrącę się, jeśli zobaczę, że czujesz się nieswojo.

– Dziękuję. – Wypuszczam powietrze z płuc. Mdli mnie trochę. Do tej pory tkwiliśmy w bezpiecznym kokonie. Pod kloszem. Znaliśmy tylko siebie nawzajem, ale teraz jesteśmy w prawdziwym świecie i próbujemy stworzyć w nim prawdziwy związek. I coś mi mówi, że nie będzie to łatwe.

Marc odsuwa mnie trochę od siebie, żeby spojrzeć mi w twarz.

– Wiesz, jeszcze nie jest za późno, żeby się z tego wycofać.

Kręcę głową.

– Nie. Kocham cię, Marc. Kiedy myślę o tym wywiadzie, jestem tego pewniejsza niż kiedykolwiek.

– Wcześniej nie byłaś pewna? – Uśmiech Marca staje się jeszcze niebezpieczniejszy.

– Byłam. Ale przez ten wywiad uświadomiłam sobie, że nie dbam o to, co myślą o mnie ludzie. Chcę tylko być z tobą.

Marc ściska moje ramiona.

– Mam nadzieję, że cię nie rozczaruję, Sophio. Są we mnie rzeczy… w moim życiu…

Rozlega się pukanie do drzwi.

– Jesteś na to gotowa, Sophio?

– Tak że bardziej już nie można.

– Proszę wejść! – rzuca Marc w stronę drzwi, nie zdejmując dłoni z moich ramion i nie odrywając ode mnie wzroku.

Drzwi się otwierają i do pokoju wchodzi młoda kobieta z beżowym płaszczu, z jasnymi kręconymi włosami związanymi w kucyk.

Rozdział 11

Och! Przepraszam. Czy to nieodpowiednia chwila? – Głos ma wysoki i trochę niepewny, jakby właśnie coś jadła.

– Absolutnie nie – mówi Marc. – Czekamy na ciebie.

Kobieta uśmiecha się i umalowane różową kredką wargi rozciągają się niemal od ucha do ucha. Wygląda sympatycznie, więc oddycham z ulgą.

– Miło znowu cię widzieć, Marc. – Kobieta podchodzi bliżej i ściska jego dłoń. Potem wyciąga rękę do mnie. – Arabella Price, magazyn „Gossip". Ty musisz być Sophia. Tak miło cię poznać. To wszystko musi być dla ciebie bardzo stresujące.

Kiwam głową i naprawdę próbuję się uśmiechnąć. Podoba mi się jej energia.

– To co? Możemy usiąść i zaczynać? – Arabella zdejmuje płaszcz i rzuca swoją czarną torebkę na podłogę obok fotela. Ma na sobie dżinsy, oficerki i różowy sweterek z dekoltem w szpic. Swobodnie opada na fotel, jakby była u siebie w domu.

Kiwam głową i przełykam. Nagle uświadamiam sobie, że ja ciągle jeszcze jestem w płaszczu. Zdejmuję go i kładę na parapecie.

Marc prowadzi mnie na kanapę; razem siadamy naprzeciw Arabelli.

Obecność Marca jest dla mnie oparciem. Wydaje się taki spokojny. I całkowicie odprężony. Jestem z niego taka dumna. Pozwalam, żeby wziął mnie za rękę, a on mocno ściska moje palce.

Uśmiecham się w duchu i wiem, że on robi w tej chwili to samo.

– A więc. – Arabella wyciąga z torebki iPada.

– Jak się czujesz, Sophio?

– Denerwuję się – przyznaję. – Wiele kobiet chciałoby być z Markiem. Mam wrażenie, że wiele osób mnie znienawidzi. Zwłaszcza biorąc pod uwagę, jak się poznaliśmy.

Arabella kiwa głową.

– Opowiedzcie mi o tym.

Marc nachyla się do przodu, ale nie puszcza mojej ręki.

– Nie mogę udawać, że podoba mi się ta sytuacja. Wolałbym, żeby Sophia nigdy mnie nie poznała. Nie zasługuje na cały ten burdel, który jest częścią mojego świata. Na to, co wypisują brukowce. O mnie mogą pisać, co chcą. Ale przeraża mnie myśl, że wciągną w to bagno Sophię.

– Ja uważam cię za przyzwoitego człowieka – mówi Arabella. – Dajesz ciężkie miliony na cele charytatywne. Założyłeś Ivy College, żeby pomóc młodym aktorom. Powiedziałabym, że jesteś bardzo przyzwoitym człowiekiem. – Na moment przenosi wzrok na mnie, a potem z powrotem na Marca. – Naturalnie ludzie będą zadawali sobie pytanie, jaki człowiek decyduje się na związek ze swoją studentką.

– I powinni – mówi Marc. – Wierz mi, ja sam zadawałem sobie wiele takich pytań.

Rzecz jednak w tym, że kocham Sophię. I to jest jej wybór.

– Jej wybór? – Arabella szybko podnosi głowę i patrzy na mnie wyczekująco.

Kiwam głową.

– On nigdy… To znaczy, to wszystko przeze mnie. Ja zdecydowałam. Chciałam być z nim. Marc nie chciał tego, co się stało.

– Marc jest znany – mówi Arabella – jako człowiek silny, dominujący. Co możesz o tym powiedzieć?

Nie mogę powstrzymać uśmiechu. Spoglądam na Marca, ale nie jestem w stanie wyczytać z jego twarzy, co myśli.

– Och, jest silny i dominujący, to fakt – mówię. – Ale chyba delikatniejszy, niż sądzi większość ludzi.

Znowu próbuję pochwycić jego spojrzenie, ale on na mnie nie patrzy.

– Jakie zrobił na tobie wrażenie, kiedy spotkałaś go po raz pierwszy? – pyta Arabella.

Przypominam sobie pierwsze przesłuchanie.

– Był bardzo charyzmatyczny – mówię. – Od razu zrozumiałam, dlaczego stał się wielką gwiazdą. Ale… wydawał się też trochę arogancki.

– Marc Blackwell? Arogancki. – Arabella się uśmiecha. – Nigdy!

Zauważam, że Marc też się łagodnie uśmiecha.

– Ale nie jest arogancki – mówię. – Lubi rządzić, tak. Uważa, że wie, co jest najlepsze dla każdego. Ale nie jest zadufany w sobie. Chyba w głębi serca wcale za dobrze o sobie nie myśli.

Marc odwraca się do mnie i nasze oczy się spotykają. W jego spojrzeniu znowu jest to zagubienie, ta dezorientacja. A ja wiem, że to, co właśnie powiedziałam, to prawda. Pod tą chłodną, opanowaną maską kryje się znacznie więcej niż to, co widać na pierwszy rzut oka.

– Powiedziałabym, że trafiłaś w sedno.

Och? Zazdrość znowu podnosi swój ohydny łeb. Co ta dziewczyna wie o Marcu?

– Więc powiedz mi – ciągnie Arabella. – Kiedy się w nim zakochałaś?

– Nie wiem, kiedy dokładnie – mówię. – Po prostu widywałam go coraz częściej. I oczywiście miałam do niego słabość, jak wszystkie studentki. Ale nawet do głowy by mi nie przyszło, że mógłby się mną zainteresować. – Uśmiecham się, bo przypominam sobie, jak wyciągnął mnie z jeziorka. Może było mu mnie żal.

– Nie ma w tym cienia prawdy – wtrąca się Marc. – Wierz mi, Arabello, nic z tego nie było zaplanowane. Gdyby chodziło o kogokolwiek innego, opuściłbym college albo po prostu… zignorował swoje uczucia.

Arabella patrzy na niego uważnie.

– No, no. Mocno pana trafiło, panie Blackwell, prawda? – mówi żartobliwie.

– Bardzo delikatnie powiedziane – mówi cicho Marc.

– W takim stanie jeszcze cię nie widziałam. – Arabella przekrzywia głowę. – Masz maślane spojrzenie. – Pochyla się do przodu. – Co takiego jest w naszej uroczej Sophii, że słynący z chłodu Marc Blackwell stracił dla niej głowę?

– Nie wiem, czy jestem jedyną osobą, która straciła dla niej głowę – mówi Marc. – Sophia jest tak naturalna. Taka autentyczna. Piękna ciałem i duchem. Pokochałby ją cały

świat, gdyby tylko dać mu szansę.

– Nigdy nie słyszałam, żebyś tak o kimś mówił – zauważa Arabella. – Muszę przyznać, że to naprawdę urocze. I takie zaskakujące.

– Nie przyzwyczajaj się – rzuca szybko Marc. – Udzielam tego wywiadu dla Sophii. Żeby wszystko było jasne i żeby przynajmniej niektóre prasowe hieny zostawiły ją w spokoju. Mam nadzieję, że tak się stanie. – Zrywa się z kanapy. – Getty był dziś rano pod bramą college'u.

Rozdział 12

Arabella zasłania usta ręką i spogląda na mnie.

– Och, nie.

– Co? – pytam.

– On jest niebezpieczny – mówi Marc. – Wszyscy w tej branży wiedzą, do czego jest zdolny się posunąć, żeby dostać swoją historię. Nic go nie powstrzyma. Wynajmuje aktorów, urządza prowokacje. Majstruje przy zdjęciach. Ten człowiek to przestępca. Ale dopóki dzięki niemu gazety się sprzedają, nikt go nie powstrzyma. – Marc patrzy na mnie. – Jest coś jeszcze. Coś, co dotyczy kobiet. Znam go od bardzo dawna.

– Nie wszyscy jesteśmy tacy jak Giles Getty – mówi Arabella i mruga, wyraźnie zdenerwowana. – Niektórzy dziennikarze to przyzwoici ludzie, którzy chcą po prostu mówić prawdę.

– Tego bym właśnie chciała – mówię. – Chcę, żebyś opowiedziała naszą historię tak, jak ją widzisz.

– Prawda – uśmiecha się Arabella. – Cóż, nie jest to słowo, które często słyszę w swojej branży. Będę zachwycona, mogąc napisać o was prawdę. Opowiedzcie coś więcej o tym, jak się poznaliście. Domyślam się, że… w kampusie?

– Prawdę mówiąc, na przesłuchaniu Sophii – mówi Marc.

– Opowiedz o tym – nalega Arabella, podpierając brodę dłonią.

– Kiedy zaczęła grać, było w niej coś takiego, że.. cała jaśniała.

– To piękna dziewczyna – mówi Arabella.

– Jest wiele pięknych dziewcząt – mówi Marc. – Zwłaszcza na kursach aktorstwa. To nie miało nic wspólnego z jej wyglądem. To było coś… innego.

– Miłość od pierwszego wejrzenia? – Arabella unosi jedną brew.

– Może. Ona… widziałem, że to jest ktoś.

– Przyszło ci do głowy, że to może być problem? – pyta Arabella.

– Na tym etapie pozwalałem sobie myśleć tylko o jej talencie. O tym, co może jej dać Ivy College. Ale, o czym się przekonuję ciągle od nowa, nic, co ma jakiś związek z Sophią, nie jest takie proste.

Arabella odwraca się do mnie.

– A ty, Sophio? Czy Marc spodobał ci się na tym pierwszym spotkaniu? Pomijając arogancję? – Mruży oczy.

Uśmiecham się i spuszczam oczy. „Spodobał” nie jest właściwym określeniem. Przyciągał mnie do siebie jak magnes.

– Byłam jak… zahipnotyzowana – przyznaję. – Zapewne jak większość kobiet. Był taki intensywny.

– Tak, jest bardzo intensywny, prawda? – śmieje się Arabella.

Patrzę na nią, próbując odgadnąć, czy coś ich kiedyś łączyło. Nienawidzę się za to, co czuję. Za tę głupią zazdrość.

– Tak – przyznaję. – Jest tak wspaniałym aktorem. Wtedy, na początku, nie miałam pojęcia, co on we mnie zobaczył. I nadal nie wiem.

– Wspomniałam już, że nasz Marc jest znany – mówi Arabella – z pewnej obsesji na punkcie kontroli. I z tego, że lubi przeprowadzić swoją wolę. Czy taki jest przy tobie?

Rany. Dziewczyna naprawdę zmierza prosto do celu.

– Marc lubi decydować – przyznaję z uśmiechem. – Ale wszystko, co robi, robi w dobrej wierze.

– Wydajesz się miłą, normalną dziewczyną – mówi Arabella. – Czy to cię nie niepokoi? Że jesteś z kimś tak potężnym i dominującym?

– Cóż, mam nadzieję, że będziemy w stanie się dogadać – mówię.

– A jeśli nie? Znam Marca od dawna. A jeśli zawsze wszystko będzie musiało być na jego warunkach?

Czuję się tak, jakby uszło ze mnie całe powietrze.

– Myślę, że zajmiemy się tym problemem, kiedy się pojawi.

Wokół oczu Arabelli pojawiają się zmarszczki, dostrzegam w nich współczucie. Czy ona wie coś, czego ja nie wiem? A jeśli ma rację? A jeśli, mimo że odpuścił już trochę w sypialni, Marc zawsze musi o wszystkim decydować?

– A kiedy znowu spotkaliście się w kampusie – pyta Arabella – co się stało?

Marc się odwraca.

– Arabello, pamiętaj, jak młoda jest jeszcze Sophia. Musimy myśleć o jej reputacji. O tym, co pomyślą o niej ludzie. Chyba lepiej, żebyśmy się za bardzo nie zagłębiali w ten temat.

Arabella notuje coś w swoim iPadzie, a ja nie jestem w stanie zorientować się, czy jest wkurzona, czy nie. Sekundę później podnosi głowę i widzę, że się uśmiecha.

– Cóż, dobrze. Jeśli chcecie utrzymać lekki ton, to chyba już wszystko zostało powiedziane. Studio fotograficzne jest zarezerwowane dla was dziś po południu.

– Będziemy tam. – Marc idzie do drzwi i otwiera je. – Dziękuję, Arabello. Mam nadzieję, że rozumiesz, dlaczego nie chciałem wchodzić w szczegóły.

Arabella kiwa głową.

– Rozumiem. – Bierze płaszcz i podchodzi do drzwi. – Miło było cię poznać, Sophio.

– Ciebie również – wołam za nią. Źle się czuję z tym, jak potraktował ją Marc. Nie musiał być tak ostry.

Marc zamyka za nią drzwi i podchodzi do mnie dwoma wielkimi krokami.

– Wiem, co myślisz.

– Co myślę?

– Że byłem zbyt stanowczy.

Marszczę brwi.

– Tak. Dokładnie tak pomyślałam. Ona była miła, Marc. Nie musiałeś jej tak przerywać.

– Tak. Jest miła. Ale… nawet mili ludzie mają swoje własne cele.

– Czy ty wiesz o niej coś, czego ja nie wiem? – Uch. Dlaczego to powiedziałam?

Słyszę w tych słowach mroczną, lepką zazdrość i wiem, że Marc też ją usłyszał.

Marc stoi przede mną, opierając ręce na biodrach.

– To znaczy? – Jego słowa brzmią surowo, ale widzę cień uśmiechu na jego ustach.

– To znaczy… zastanawiałam się, po prostu, skąd tak dobrze się znacie.

– Nie pieprzyłem jej, jeśli o to pytasz.

Och. Naprawdę mi ulżyło.

– Nie o to pytałam.

– O to. – Marc uśmiecha się szerzej.

Uśmiecham się w odpowiedzi, nie mogę się powstrzymać, i czuję, że pokazuję zęby.

– No dobrze, o to. Ale czy możesz mieć mi to za złe? Odniosłam wrażenie, że ona bardzo dużo o tobie wie.

– Nie wie nic. Nie więcej niż jakikolwiek inny dziennikarz. – Marc patrzy na zegarek. – Muszę zadzwonić z drugiego pokoju. Kiedy wrócę, chcę, żebyś była zupełnie naga. Chcę skończyć to, co zacząłem w windzie. – Po tych słowach wychodzi do sypialni i zatrzaskuje za sobą drzwi.

Serce ciągle bije mi bardzo szybko po tym wywiadzie. Marc oczywiście jest zupełnie spokojny i całkowicie nad sobą panuje, skoro potrafi tak szybko przestawić się na coś innego.

Kusi mnie trochę, żeby podsłuchać jego rozmowę. Co było tak ważne, że musiał natychmiast to załatwić? Ale nie… to byłoby okropne, gdyby mnie przyłapał. Budujemy związek, więc żadnych ukradkowych działań.

Patrzę w dół, na swoje ubranie, i zastanawiam się, co by zrobił, gdyby po powrocie zastał mnie całkowicie ubraną. Czy byłby zły? Zirytowany? A może…

Czy przestałby mnie kochać, gdybym nie pozwoliła mu się kontrolować?

Te słowa nagle pojawiają się w mojej głowie, ni stąd, ni zowąd, i nie podobają mi się. Ani trochę mi się nie podobają.

Rozdział 13

Słyszę cichy głos Marca przez drzwi, a potem krzyk.

– Kiedy?!

Wytężam słuch, ale znowu mówi zbyt cicho.

Co kiedy?

Drzwi sypialni otwierają się i Marc wraca do salonu. Patrzy na mnie, widzi, że ciągle mam na sobie ubranie i zaczyna chodzić po pokoju tam i z powrotem.

Boże, jest piękny. Naprawdę, hipnotyzująco piękny. Gdybym nie siedziała, chyba ugięłyby się pode mną kolana.

– Jesteś ubrana – zauważa cicho.

– Tak.

W przedpokoju rozlega się dzwonek i Marc nieruchomieje. A potem podchodzi szybko do drzwi i otwiera je.

Mrugam, zdumiona, patrząc na to, co się za nimi znajduje.

Na korytarzu stoi hotelowy boy, uginając się pod ciężarem ogromnego wazonu pełnego białych róż. To takie same róże, jakie widziałam wcześniej w recepcji – z karbowanymi płatkami, na grubych zielonych łodygach, w identycznym szklanym wazonie.

– Jesteś godzinę za wcześnie – mówi Marc, wpuszczając chłopca do hotelu. – Ale wejdź. Postaw kwiaty na kominku. Dziękuję.

Chłopiec stawia wazon na gzymsie kominka i układa róże tak, żeby zwracały się w stronę pokoju.

– Marc, one są… przepiękne – mówię na przydechu.

Marc wsuwa do ręki chłopca dziesięć funtów napiwku, a chłopiec kłania się i idzie do drzwi.

Patrzę na wspaniałe białe kwiaty i wdycham ich cudowny zapach.

– Dlaczego nam je przysłali? – pytam.

– Są dla ciebie – mówi Marc. – Pomyślałem, że spodoba ci się tu trochę natury.

Zasłaniam usta dłonią i czuję, jak usta rozciągają mi się w uśmiechu.

– Dla mnie? – Tłumię chichot zaskoczenia. – Wyglądają zupełnie jak te róże z recepcji.

– Bo to są róże z recepcji.

– Chyba żartujesz. Jak…?

– Przyjeżdżam do tego hotelu od dawna. Podobają ci się?

– Oczywiście! Nie widać? – Czasami czuję się tak szczęśliwa, że mam wrażenie, jakby uśmiech miał rozedrzeć mi twarz, i w tej chwili tak właśnie się uśmiecham.

Zarzucam mu ręce na szyję.

– Dziękuję – mówię, obcałowując go po policzkach. – Nie mogę uwierzyć, że to dla mnie zrobiłeś. To takie miłe. Czuję się jak ktoś wyjątkowy.

– Zachwyca mnie, że takie proste rzeczy potrafią cię uszczęśliwić – mówi Marc.

– Proste rzeczy? Wielki wazon róż z recepcji hotelu Carlo? Trudno to nazwać „prostą rzeczą". – Muskam palcami białe płatki. – Nikt nigdy nie dał mi kwiatów.

– Nikt nigdy nie kupił dla ciebie kwiatów? – pyta Marc.

– Tata czasami kupował mi żonkile, ale to się chyba nie liczy.

– Żaden z twoich chłopaków nigdy nie kupił ci kwiatów?

– Nie.

– Więc byli idiotami.

– Och… nie, nie byli. Byli tylko młodzi, to wszystko. Kiedy jest się młodym, nie kupuje się nikomu kwiatów.

– Nazywa mnie pani starym, panno Rose?

– Tak, panie Blackwell. Jest pan bardzo stary. Czy nikt tego panu dotąd nie powiedział?

– Zabawne, ale nie. – Marc odsuwa pasmo włosów, które opadło mi na oko. – Cieszę się, że podobają ci się kwiaty.

– Nie „podobają". Jestem nimi zachwycona.

– Naprawdę?

Kiwam głową.

Marc patrzy mi prosto w oczy.

– Zignoruję fakt, że się nie rozebrałaś i mimo to zabiorę cię do sypialni. Ale chcę, żebyś się w ogóle nie ruszała. Zrozumiałaś?

– Chcesz… żebym się nie ruszała? – pytam.

Marc ostro kiwa głową.

– I milczała.

– Co? Dlaczego?

– Żeby twoja przyjemność była większa. I moja. – Chwyta mnie tak szybko, że żołądek podchodzi mi do gardła, a potem zanosi do sypialni i rzuca na czystą białą kołdrę. Czuję miękkie wezgłowie obite kwiecistym materiałem. Ale przede wszystkim widzę Marca.

Zdejmuje podkoszulek i wiesza go na podłokietniku starego fotela. Potem powoli obchodzi łóżko, nie spuszczając ze mnie wzroku.

Nie gra, teraz nie jest aktorem. To prawdziwy Marc Blackwell, z krwi i kości, i Boże, jest taki seksowny.

Staje w nogach łóżka i bierze do ręki moją stopę.

Czuję jego długie, silne palce przez materiał buta i widzę jego muskularną pierś, która podnosi się i opada. Teraz, kiedy rozwiązuje mój but, blizny na kostkach jego dłoni są bardzo białe.

Rozwiązuje sznurówki, a potem delikatnie wysuwa moją stopę z adidasa. Rzuca go na podłogę i zdejmuje drugi but. Jego ruchy są ostrożne i delikatne, ale całkowicie kontrolowane.

Teraz, kiedy zdjął już buty, bierze moje kostki i powoli kładzie mnie na łóżku. Sunę po kołdrze i patrzę na niego, zastanawiając się, czy zachowam milczenie, czy nie.

Zręcznie, jedną ręką, Marc rozpina guzik moich dżinsów a potem rozsuwa zamek, przyciskając do mnie całą dłoń. Wiercę się trochę.

– Nie ruszaj się – mówi. Jego głos jest łagodny, ale stanowczy. Zdecydowanie to on

kontroluje teraz sytuację, bez względu na to, jak jest delikatny i łagodny.

– Nie mogę się powstrzymać – mruczę.

– I nie odzywaj się. – Chwyta mnie za nogawki dżinsów i pociąga tak mocno, że spodnie zsuwają się z moich ud. Szorstki materiał drapie mnie przy tym trochę. Potem rzuca dżinsy na podłogę.

Rozdział 14

Och.

Dwoma ruchami ściąga mi skarpetki ze stóp, a potem cofa się, z dyndającymi skarpetkami w ręce, i patrzy na moje stopy.

Krzywię się trochę. Nigdy nie przepadałam za swoimi stopami – są bardzo blade i wąskie, z naprawdę długimi palcami. Na szczęście ciągle mam piękny pedicure, po naszym wypadzie na wyspę Marca, ale wiem, że między palcami tkwią czarne bawełniane kłaczki.

– Marc…

– Żadnego mówienia.

– Nie zgodziłam się na to.

Marc unosi jedną brew.

– Buntuje się pani, panno Rose.

– Nie, tylko… chcę, żeby w naszym związku było normalnie.

– A jak jest normalnie?

– Chyba tak, że dwie osoby są sobie równe.

Marc bierze do ręki moją stopę i przesuwa kciukiem po łuku podbicia.

Och, to takie przyjemne. Dlaczego to takie przyjemne? Czuję cudowne prądy, biegnące w górę mojej nogi.

– Więc uważasz, że nie jesteśmy sobie równi?

– A ty?

Marc delikatnie kładzie moją stopę na łóżku. Patrzy na mnie przez chwilę, przesuwając wzrokiem z góry na dół po całym moim ciele.

– Równi nie znaczy tacy sami.

Jego dłoń opada na moje udo, a palce przesuwają się, bardzo powoli, w górę nogi. Jego dotyk jest tak lekki, że doprowadza mnie do szaleństwa. Nieruchomieję w oczekiwaniu.

– To znaczy?

– W tej chwili gramy różne role.

Jego palce sięgają moich majtek; przesuwa nimi po gumce i naciąga ją, jakby sprawdzał rozmiar.

– Różne role?

Marc powoli zsuwa majtki w dół, tak że bawełna muska moje biodra. Drżę lekko.

– Różne role – powtarza, a ja mam wrażenie, że jego słowa także mnie muskają. – Ja tobą rządzę i mówię ci, co masz robić.

Chwyta mnie mocno za uda i jednym szybkim ruchem przewraca mnie na brzuch.

– Och! – Dostaję mocny cios między nogi.

– A twoje ciało mówi mi, że to ci się podoba.

– Ale nie możesz zawsze mną rządzić – mówię i żałuję, że nie brzmi to zbyt przekonująco. – Bo to nigdy nie będzie prawdziwy związek. Musisz odpuścić.

– Myślałem, że już odpuściłem. – Marc ciągnie mnie do siebie, tak że w końcu jego uda znajdują się między moimi nogami. Czuję klamrę jego paska i sztywny materiał spodni w górze swoich ud. – Odpuściłem bardziej niż przy kimkolwiek innym.

Rozpina mi stanik, a ja wyciągam ręce z ramiączek.

O Boże, wiem, co się zaraz stanie. I tak bardzo go pragnę. Ale wiem, że jeśli pójdę dalej tą drogą, znowu oddalę się od tego, czego naprawdę chcę.

– Marc? Proszę… możemy o tym porozmawiać?

– Teraz potrzebuję kontroli – szepcze Marc chrapliwie. – I ty też tego potrzebujesz.

Kładzie dłonie po obu stronach moich ud i przesuwa nimi w górę i w dół, w górę i w dół, muskając za każdym razem moje pośladki. Jego dotyk jest stanowczy. Twardy. Marc nie bierze jeńców. Z każdą chwilą mocniej wciska mnie w materac.

Moje ciało mówi, że to cudowne uczucie, ale rozum krzyczy: „Stop, stop!”

Ruchy Marca stają się powolniejsze, więc czekam, kiedy usłyszę brzęk klamry od paska i szelest rozrywanego opakowania prezerwatywy. Ale nie słyszę nic.

Mów do niego, teraz, Sophio. Powiedz mu, że chcesz, by się w tobie zatracił. Zaufał ci. Powiedz mu to, zanim sama zatracisz się w tej chwili.

Marc mocniej rozszerza mi nogi, a ja czuję jego miękki zarost na wewnętrznej stronie moich ud. Odsuwa na bok moje majtki.

Och, nie. Nie, nie, nie. Nie może mi tego zrobić, to nie w porządku. Chcę krzyknąć: „Zaraz, zaczekaj!”, ale jest już za późno. Doprowadził mnie dokładnie do takiego stanu, jakiego sobie życzył i teraz nie mogę już uciec.

Rozdział 15

Jego język zatacza kręgi dokładnie tam, gdzie by we mnie wszedł, wsuwa się i wysuwa ze środka, i to jest takie przyjemne.

Wypuszczam powietrze z płuc, porwana falą intymności i delikatności tego, co robi Marc. Jego język jest taki miękki. Czuły. Jest wszystkim, czego w tej chwili szukam. No i czuję też, oczywiście, narastające podniecenie.

Może porozmawiamy później.

Przesuwa się w dół, aż dociera do miejsca, które jest najwrażliwsze. Tego, z którego pochodzą wyładowania elektryczne i miękkie, ciepłe fale rozkoszy.

Coś w tej miękkości jego języka sprawia, że cała płonę i zaczynam jęczeć i wić się na łóżku. Nie potrafię nad sobą zapanować.

– Och. Och. To cudowne uczucie.

Nagle jego język przestaje się poruszać i tam, gdzie było ciepło, czuję teraz chłodne powietrze.

– Powiedziałem ci, żebyś się nie ruszała. I była cicho. Czy mam cię przywiązać do łóżka? – Przesuwa majtki z powrotem na miejsce.

Au!

– Marc…

– Nie ruszaj się.

Teraz jest moja szansa.

Przewracam się na drugą stronę i widzę, że Marc klęczy w nogach łóżka. Ciągle ma na sobie bojówki, ale jeden rzut oka na jego krocze mówi mi, że jest równie podniecony jak ja i też chyba zaraz eksploduje.

– Sophio, powiedziałem ci, żebyś była cicho. – Mówi to lekkim tonem. Trochę zdziwionym. I marszczy czoło, w ten charakterystyczny dla siebie sposób, z jedną brwią lekko uniesioną.

Gramolę się do niego po łóżku i siadam mu okrakiem na kolanach.

– To nie ma nic wspólnego z tym, co kazałem ci robić – mówi Marc, bardziej miękko.

Całuję go, obrzmiałymi z podniecenia ustami. Wargi Marca też są czerwone, a kiedy do nich przywieram, on zamyka oczy, a skóra na jego czole drga lekko, jakby z zakłopotania.

Obejmuje mnie swoimi silnymi ramionami i przyciąga do nagiej piersi.

– Nic, zupełnie nic. Wyciągnę konsekwencje.

Nie wiem, czy droczy się ze mną, czy mówi poważnie, ale nie tracę czasu, żeby się nad tym zastanowić. Kiedy nasze języki się ze sobą stykają, ogarnia mnie bolesne pragnienie, żeby znalazł się wewnątrz mnie.

Sięgam do klamry u jego paska, ale Marc chwyta mnie za rękę – delikatnie, ale stanowczo.

Odsuwa ode mnie twarz.

– Nie – mówi. – To ja muszę to skończyć.

Podnosi mnie i znowu rzuca na łóżko.

– Marc, ja…

– Dzisiaj muszę mieć władzę.

Podnoszę na niego wzrok i jego oczy mówią mi wszystko, co powinnam wiedzieć. On naprawdę potrzebuje dzisiaj władzy. Może nie zawsze. Może jutro już nie. Ale w tej chwili potrzebuje tego jak narkoman działki.

Dlaczego? Czy to ma coś wspólnego z Gilesem Gettym?

Patrzę, jak jego oddech staje się dłuższy i wolniejszy, oczy bardziej przytomne. Zdejmuje spodnie i wyciąga z kieszeni prezerwatywę. Rozdziera ją i nakłada, naciągając mocno w dół, tak że omal nie pęknie.

Nachyla się nade mną, kładąc dłonie po obu stronach moich barków. Ramiona, długie i wyprostowane, podtrzymują ciężar jego ciała; mięśnie klatki piersiowej napinają się.

Nasze oczy się spotykają i jest już po mnie.

Przesuwa ręce do moich kolan i rozchyla je. Szybko, szorstko. Schwytał ofiarę i nie zamierza jej wypuścić. Odsuwa majtki na bok i…

Och.

Kiedy we mnie wchodzi, wstrzymuję oddech. Jego ruchy są nieubłagane, tam i z powrotem, tam i z powrotem, nie dają mi chwili wytchnienia, chwili zastanowienia.

Marc wbija we mnie wzrok i patrzy z powagą oczami, które żyły życiem tysiąca ludzi i widziały rzeczy, jakich większość ludzi nigdy nie zobaczy.

Mocniej, mocniej, aż czuję, że zaczynam topnieć. Zatracać się. Pokój rozpływa się jak we mgle, a mnie porywa rozgrzana do czerwoności fala przyjemności.

Wypełnia mnie tak szczelnie, że każdy jego ruch rozsyła tysiące iskier po całym moim ciele.

Chcę krzyknąć. Powiedzieć mu, żeby zwolnił. Ale jestem bez szans. Marc jest zdeterminowany i teraz ta historia może się skończyć tylko w jeden sposób.

Wchodząc coraz głębiej, podciąga mnie wyżej i obejmuje ramionami w żelaznym uścisku, tak mocno, że nie byłabym w stanie uciec.

– Marc. Marc. Och, Marc! – krzyczę, kiedy ciepło zamienia się w płomień i porywa mnie przyjemność.

On w odpowiedzi wchodzi we mnie tak głęboko, że cały świat spowija mgła. Wszystko to jest tak intensywne, że nie jestem w stanie dłużej wytrzymać. Jeszcze chwila, a nastąpi rozładowanie.

Nagle Marc się wycofuje.

– Zaczekaj – mówi.

– Zaczekać? – Chwytam go w desperacji, próbując z powrotem go w siebie wepchnąć.

– Zostań dokładnie tam, gdzie jesteś.

Marc wycofuje się całkowicie, ubiera i wychodzi z pokoju.

– Marc!

Rozdział 16

Mija czas.

Dokładnie w chwili, kiedy zaczynam się niecierpliwić, Marc wraca ze srebrnymi kajdankami zawieszonymi na palcach. Wyglądają profesjonalnie i przez krótki moment zastanawiam się, czy to prawdziwy policyjny sprzęt.

Przełykam ślinę.

– Skąd je masz? – pytam.

– Z samochodu. – Marc staje w nogach łóżka i patrzy na mnie, ciągle starając się zapanować nad oddechem. Boże, jest taki przystojny. Ale serce na moment przestaje mi bić, kiedy spoglądam na kajdanki. Jak zwykle przy Marcu ogarniają mnie różne uczucia naraz: strach, podniecenie, dezorientacja i pożądanie, wymieszane ze sobą w seksownym koktajlu. – Przykuję cię do kaloryfera i będę pieprzył, aż pomiesza ci się w głowie.

Och. Drżę na całym ciele przy tych słowach.

Podciągam się wyżej na łóżku.

– Marc…

– Zejdź z łóżka.

Znowu to samo – Marc przejmuje kontrolę. Marc dominuje. W głowie mam zamęt, ale moje ciało dokładnie wie, czego chce. Zdradza mnie. Moje nogi zsuwają się z łóżka. Pragnę go. Bardzo. Na każdy sposób, jaki przyjdzie mu do głowy.

Marc chwyta mnie i niesie w stronę okna, pod którym znajduje się solidny metalowy grzejnik – staroświecki, taki, jakie mieliśmy kiedyś w szkole.

Kładzie mnie na podłodze, a ja czuję ciepło na czubku głowy i miękki dywan pod plecami.

Marc przyciska dłonie do moich nóg, a mnie przeszywa dreszcz. Nie ma mowy, żebym mu się teraz sprzeciwiła; oboje o tym wiemy. Siedzę na koniu, który poniósł; jedyne, co mogę teraz zrobić, to mocno się trzymać.

Marc wpatruje się we mnie z taką siłą, że nie jestem w stanie oderwać wzroku od jego oczu. Widzę w nich głód, ale Marc walczy ze swoją słabością, zmusza się, żeby zwolnić tempo. Pewnie po to właśnie potrzebuje tych kajdanek, uświadamiam sobie. Pomagają mu nad sobą panować. Do czego ja najwyraźniej straciłam zdolność.

Próbuję podnieść się i przysunąć do niego, ale Marc opiera silną dłoń o moją pierś i kładzie mnie z powrotem na podłodze.

Potem bierze kajdanki i ciężkie metalowe kółka uderzają o siebie z brzękiem. Przełykam ślinę, z trudem.

– Na pewno pamiętasz, jak przyjemnie zostać skrępowanym.

Czuję, jak włosy elektryzują mi się na dywanie.

– Nie zapomniałam.

Marc chwyta mnie za rękę. Uderza jedną częścią kajdanek w mój nadgarstek i czuję, jak metalowe kółko zamyka się na nim z kliknięciem.

Przez chwilę patrzy z zachwytem na moje nadgarstki. Potem przekłada kajdanki wokół rury łączącej kaloryfer z podłogą. Chwyta moją wolną rękę i zatrzaskuje na niej drugie metalowe kółko.

Teraz jestem całkowicie zdana na jego łaskę.

Leżę z rękami nad głową, przykuta kajdankami do grzejnika. Poruszam rękami i słyszę metaliczny brzęk. Kajdanki naprawdę mocno trzymają. Jeśli spróbuję poruszyć się bardziej, oparzę sobie ręce o rurę grzejnika. Marc wstaje teraz i chodzi po pokoju tam i z powrotem. W oczach ma wyraz siły, jak łowca, ale widzę też, że jego pierś podnosi się i opada szybko, i wiem, że stara się nad sobą zapanować.

Moje piersi także unoszą się i opadają. Leżę tam, naga i rozpalona, ale nie mogę zrobić nic, jeśli on mi na to nie pozwoli.

– Czekaj tu. – Marc znowu zmierza do drzwi.

– Czekać? – Chyba żartujesz. Wiercę się w kajdankach i zostaję nagrodzona parzącym dotykiem kaloryfera. – Au!

Marc unosi jedną brew.

– Rób, co ci mówię, a nic ci się nie stanie. – Znika za drzwiami.

Och, jestem teraz taka sfrustrowana. To już za wiele. Można się droczyć i można posunąć się za daleko. Staram się spowolnić oddech. Uspokoić krew burzącą się w żyłach. Ale nie jestem w stanie. Pragnę go, pragnę go, pragnę go.

Mijają minuty, a moje ciało trawi gorączka. Wiem, że jest gdzieś blisko, a jednocześnie nie mogę go mieć, i to doprowadza mnie do szaleństwa. Dosłownie.

Szarpię kajdankami, usiłując się uwolnić, ale tylko parzę sobie znowu palce.

I w chwili, kiedy wydaje mi się, że nie zniosę tego już ani chwili dłużej, w drzwiach pojawia się wysoka, mocna sylwetka Marca.

– Próbujesz mnie torturować?! – krzyczę.

– Troszeczkę. Ale dla twojego dobra.

– Dla mojego dobra?

– Twój orgazm mi za to podziękuje.

– Gdzie byłeś?

– U hotelowego jubilera. Musiałem coś dla ciebie kupić.

Rozdział 17

W lewej ręce Marc trzyma czarne aksamitne pudełko. Spoglądam na nie podejrzliwie.

– Co to jest? – pytam.

– Coś, co przedłuży torturę. Albo przyjemność. Zależy, jak chcesz na to patrzeć.

– Och, Marc. Proszę. Już dość. Nie zniosę tego.

– Z tego co widzę, za bardzo nie masz wyboru.

Patrzę na niego gniewnie.

– Uwolniłbyś mnie, gdybym o to poprosiła, i oboje o tym wiemy.

– Czy tego właśnie chcesz?

Szarpię kajdankami.

– Może.

– Cóż, proszę szybko podjąć decyzję, panno Rose. Nie mogę czekać cały dzień. Albo tak, albo wcale. Chcesz, żebym cię uwolnił, czy nie?

Odwracam wzrok i opuszczam go na piersi, które unoszą się i opadają.

– Nie.

– Tak myślałem.

– Więc co jest w pudełku?

– Coś, co sprawi, że sytuacja stanie się dla ciebie jeszcze bardziej nie do zniesienia. – Rzuca mi przewrotny, złośliwy uśmieszek i otwiera pudełko.

Na różowej satynie leży długi naszyjnik z pereł.

Marc klęka między moimi nogami i wsuwa perły w moje majtki. Potem kładzie na nich płasko dłoń i porusza perłami na wszystkie strony.

– Och – jęczę. – Jakie to przyjemne. Jakie przyjemne.

Patrzę na niego głodnym wzrokiem. Ciągle jest całkowicie ubrany i klęczy przy moich kolanach, ale widzę twarde wybrzuszenie w jego spodniach.

– Jeszcze nie – warczy i wyczuwam, że przywołuje na pomoc całą swoją samokontrolę. Kładzie dłoń na moich majtkach i wpycha perły we mnie mocniej. Czuję ich chłodną, gładką powierzchnię. Poruszają się na wszystkie strony.

– Och. O Boże. O Boże.

Nagle Marc ściąga mi majtki w dół.

Perły opadają w stronę moich pośladków.

Marc zdejmuje mi majtki, a potem unosi moje uda do góry, tak że czuję chłodne powietrze na pośladkach.

Opiera sobie moje nogi na ramionach, a potem opuszcza perły między moimi pośladkami i znowu podciąga je do góry, w dół i do góry, po jednej… och!

Prawie podrywam się z podłogi i szeroko otwieram oczy. To takie dziwne uczucie mieć je tam, w pierwszej chwili nie wiem nawet, czy mi się to podoba. Kilka pereł zwisa tam,

tocząc się między pośladkami.

– Odpręż się. – Marc przez chwilę podpiera mi pośladki dłonią, a potem chwyta mnie mocno za biodra i manewruje tak, żeby jego krocze spotkało się z moim. – Niedługo zacznie ci się to podobać. Obiecuję.

Perły poruszają się i rzeczywiście po chwili staje się to przyjemne.

Wiercę się na dywanie, ale to tylko sprawia, że doznania stają się jeszcze przyjemniejsze. Nogi ciągle mam oparte na jego ramionach; Marc ściska je rękami tak, że prawie nie mogę się poruszyć.

Potem sięga do własnych spodni i moment później jego długi, twardy członek celuje prosto we mnie.

Przez chwilę naprawdę wydaje mi się, że się we mnie nie zmieści. Zwłaszcza że w środku ciągle są perły. Ale kiedy wsuwa się między moje nogi, uświadamiam sobie, jak bardzo jestem już gotowa, a on wślizguje się do środka właściwie bez problemu.

Wchodzi do końca, a ja czuję się tak wypełniona, że prawie nie mogę oddychać. On też z trudem nad sobą panuje. Nigdy jeszcze nie widziałam, żeby tak zaciskał zęby ani żeby jego oczy wpatrywały się we mnie z taką intensywnością.

Patrzymy sobie w oczy, starając się oddychać równo. Powoli. Ale to trudne. Wiem, że on za chwilę się poruszy, a czekanie na to jest rozkoszną agonią, którą coraz trudniej mi wytrzymać.

Wzrok Marca opada na moje piersi, a on przesuwa po nich wierzchem dłoni i zsuwa je na mój brzuch. Potem chwyta mnie w pasie i mocno trzyma.

– Gotowa? – pyta, zdyszany, znowu spoglądając mi w twarz.

Kiwam głową i przełykam.

– Jeszcze nie pomieszało ci się w głowie? – rzuca mi ten uśmiech, który rozkłada mnie na łopatki.

– Niewiele brakuje.

– Ciesz się tym, póki możesz.

Robi okrężny ruch biodrami, dotykając miejsc, których nikt nigdy wcześniej nie dotykał.

Rozdział 18

O Boże. O Boże – jęczę.

Perły także się poruszają, a ja mam wrażenie, że całe moje ciało obudziło się do życia.

– Och. Och! – krzyczę, zaciskam powieki i pozwalam, by zawładnęły mną te doznania.

Marc zaczyna teraz poruszać się tam i z powrotem, z każdym ruchem wchodząc we mnie głębiej. Mimo zamkniętych oczu czuję, jak jego wzrok pali moje powieki. Teraz należę do niego, cała, a on nie ma najmniejszego zamiaru puścić mnie wolno.

Przyjemność, jaka płynie z tarcia, które czuję, niemal odbiera mi rozum… chyba naprawdę pomieszało mi się w głowie, bo mi się w niej kręci.

Czuję, jak Marc zaciska palce na mojej talii i słyszę jego krzyk – przeciągły i niski – który wypełnia moje ciało dziką przyjemnością.

Teraz Marc porusza się szybciej i czuję, jak zatracamy się w sobie nawzajem. Nie ma już nic, tylko nasze dwa ciała, które poruszają się w jednym rytmie i moje nadgarstki trące o metal.

Marc podnosi moje nogi wyżej i wchodzi we mnie jeszcze głębiej. Tak głęboko, że gwałtownie wciągam powietrze i czuję, jak zaciskam pośladki.

– O mój Boże.

– Czekaj – warczy Marc. – Jeszcze nie. Jeszcze nie kończ. – Sięga do moich pośladków i chwyta sznur pereł. A potem pociąga. Mocno. Perły wysuwają się, muskając i pocierając wszystkie właściwe miejsca.

To za wiele. Nie mogę tego wytrzymać. Moje ciało eksploduje rozkoszą, wibracje przetaczają się przez moje biodra i uda.

– Marc. Och, Marc. – Czuję, jak pulsuję wokół niego. Rozkosz jest tak wielka, że przez chwilę mam przed oczami tylko białe i pomarańczowe plamy. Ale kiedy świat na powrót zaczyna składać się w całość, odwracam się do Marca, który ma mocno zaciśnięte powieki i ciężko dyszy.

Jęczy, kiedy kurczę się i rozluźniam wokół niego. Chwyta mnie za uda i uderza we mnie coraz mocniej.

Po moim ciele rozlewa się fala ciepła. Otwieram oczy i widzę Marca – zaciska zęby i oczy. Marszczy brwi, ale widzę, że z przyjemności.

– Chcę, żebyś skończył – mruczę, żałując, że nie mogę sięgnąć i pogłaskać go po twarzy.

– Jeszcze nie. – Marc wchodzi we mnie głęboko z taką siłą, że przesuwa mnie po dywanie. Boleśnie trę pośladkami o podłogę i słyszę, jak Marc wydaje długi jęk.

Kurczę się i rozluźniam wokół niego, bez końca, wciągając go w siebie.

– Sophio – jęczy. – Zaczekaj. Sophio. Nie. Nie mogę się powstrzymać. Nie mogę przestać.

Rozluźnia zęby i jęczy przeciągle, wchodząc we mnie jeszcze głębiej.

A potem opada na mnie, ciągle jęcząc i poruszając się tam i z powrotem. Czuję, jak mięknie i słyszę, jak jego oddech uspokaja się powoli.

Marszczy czoło, a potem odpręża się i jego ciało bezwładnie spoczywa w moich ramionach.

Oplatam go nogami i przyciągam do siebie mocniej.

Jesteśmy teraz tak blisko siebie, jakbyśmy zlali się w jedno. Cały świat przestał istnieć. Nie ma żadnych problemów. Nie ma prawdziwego życia. Jesteśmy tylko my dwoje. A kiedy jesteśmy tak bardzo razem, jak w tej chwili, wszystko jest w porządku.

Po chwili Marc otwiera oczy, sięga po kajdanki, naciska coś i zamknięcie puszcza.

Mam wolne ręce i obejmuję Marca, a on przewraca się na plecy i wciąga mnie na siebie. Leżę na nim, czuję jego silne ciało i widzę jego piękną twarz; wargi, lekko rozchylone; oczy, zamglone, ale przytomne, zaledwie kilka centymetrów od moich.

– To było niezwykłe – dyszę, patrząc, jak poruszają się jego ciemne rzęsy.

Marc nie odpowiada. Zamiast tego wyciąga rękę i gładzi mnie po głowie, ale widzę, że myślami jest gdzie indziej.

Opieram głowę na jego ramieniu i widzę tę zdumiewającą bladą skórę i malutkie blizny na piersi. Kładę na nich dłoń, czując pod palcami ciemne włosy.

– Marc?

Czuję się tak, jakbym coś w nim złamała, ale nie wiem co.

Marc milczy, tylko przyciska mnie do siebie mocniej i czuję, jak zaczyna się ode mnie oddalać, centymetr po centymetrze.

Leżymy tak bardzo długo. Za długo. Coś jest nie tak.

Rozdział 19

Kiedy Marc wreszcie podnosi mnie ze swojej piersi, wbija wzrok w sufit.

Jego oczy mówią mi, że się boi. Stracił kontrolę, a nie chciał tego. Przeraża mnie to, ten wyraz jego oczu.

Na policzku ma rzęsę, więc wyciągam rękę. Marc nie próbuje mnie powstrzymać, ale nie reaguje też w żaden inny sposób. Jakby zapadł się w jakieś odrętwienie.

– Pomyśl życzenie – mówię, wyciągając przed siebie rzęsę.

Przez chwilę Marc leży bez ruchu, bez słowa. Potem unosi się na dłoniach. Mruga, uśmiecha się łagodnym, ale nieobecnym uśmiechem i dmucha na rzęsę.

Mam wrażenie, że wrócił – trochę, nie całkiem.

– Czego sobie życzyłeś? – pytam.

– Niczego, o czym chciałabyś wiedzieć – odpowiada, prawie jak Marc. Mój Marc. Ten, który wczoraj w nocy wspiął się na balkon mojego pokoju i kochał się ze mną. Ale nie do końca ten.

– Chciałabym.

Marc wzdycha.

– Życzyłem sobie, żeby pewne rzeczy, które mnie dotyczą, na zawsze pozostały przed tobą ukryte.

– Nie chcę, żeby cokolwiek było przede mną ukryte – mówię.

Marc się śmieje.

– Teraz tak mówisz. Ale wierz mi, czasami niewiedza jest błogosławieństwem.

A więc straciłam go. Przynajmniej na razie. Jest mi smutno.

– Kiedy mamy tę sesję fotograficzną? – pytam i zdaję sobie sprawę, że to, tak jak wszystko inne tego dnia, zostało zaaranżowane przez Marca.

– O trzeciej po południu. Nie tutaj. W studiu nad Tamizą.

– Dlaczego nie tutaj?

– Uznałem, że to nie byłby dobry pomysł pokazywać, że mieszkamy razem w pokoju hotelowym. To po prostu… byłoby w złym tonie. Te zdjęcia powinny być w dobrym guście.

Zrywa się z łóżka i wkłada bokserki. Nawet kiedy czuję, że nie jest między nami tak, jakbym chciała – na przykład w tej chwili, i tak lubię patrzeć na jego ciało. Na krągłość pośladków, wystających znad bielizny i bladą krzywiznę pleców. Wszystko to jest takie silne i twarde, i męskie. Takie inne od tego, jaka jestem ja.

– Nie jestem pewna, czy ja i dobry gust mamy ze sobą wiele wspólnego – mówię.

Marc się uśmiecha.

– Och, Sophio, Sophio. Wszystko w tobie jest w dobrym guście. Jesteś autentyczna. Naturalna. I nawet tego nie widzisz, prawda?

– W co mam się ubrać?

– W co tylko chcesz, ale myślę, że jako dodatek powinnaś włożyć perły.

Śmieję się.

– Marc, naprawdę chciałabym z tobą porozmawiać o…

– Sophio, nie jestem w stanie prowadzić z tobą teraz głębokiej, znaczącej rozmowy. – Marc otwiera szafę i wyjmuje z niej spodnie garniturowe i koszulę.

– Jak sprowadziłeś tu swoje rzeczy? – pytam, widząc więcej garniturów wiszących w szafie.

– Nie sprowadziłem. Poprosiłem portiera, żeby kupił nowe i powiesił je tu, kiedy udzielaliśmy wywiadu. Jest też trochę strojów dla ciebie, ale nie wyglądają na takie, które mogłyby ci się spodobać. – Spogląda na zegarek. – Muszę się z kimś spotkać i już jestem spóźniony.

Z kimś?

– Z kim? Z tą kobietą, która jest u ciebie w domu? – Znowu ogarniają mnie mdłości.

Zapinając koszulę, Marc nachyla się, żeby szybko pocałować mnie w czoło. Za szybko, jakby chciał mnie zbyć.

– Po prostu z kimś, w porządku? Wierz mi, lepiej dla ciebie, żebyś na razie nie wiedziała z kim.

Bierze swoje bojówki i sięga do kieszeni. Wyciąga z niej portfel ze skóry w kolorze burgunda, otwiera go i wręcza mi złotą kartę kredytową.

– Weź ją – mówi. – Numer pin to 1966. I Old and New Bond Street są tuż za rogiem. I sklepy wszystkich znanych projektantów. Idź i kup sobie wszystko, czego możesz potrzebować.

Waha się, ale kładzie kartę na nocnym stoliku.

– I Sophio? – słyszę w jego głosie niepewność.

– Tak? – prostuję się.

Kręci głową.

– Porozmawiamy później, dobrze?

Kiwam tępo głową, czując, jak odsuwa się ode mnie i zamyka w sobie.

– Z kim się spotykasz? – Słyszę, że znowu zadaję to pytanie, zirytowana tym, jak błagalnie brzmi.

– Z kimś z mojej przeszłości – mówi Marc. – Kto, mam nadzieję, pomoże mi wyprostować moją przyszłość.

Żałuję, że nie mogę na zawsze zatrzymać wyrazu jego twarzy, kiedy wypowiada te słowa. Zatrzymać, zamknąć, schować w swoim sercu. Bo kiedy mówi: „moją przyszłość”, widzę w jego oczach, co dla niego znaczę. Przez ułamek sekundy. Potem światło gaśnie i Marc znowu chowa się przede mną pod maską chłodu.

– Ktoś zawiezie cię do studia, dobrze? – mówi. – Wróć do pokoju o wpół do trzeciej. A do tego czasu baw się dobrze. Kup sobie, cokolwiek zechcesz.

Rzuca na stolik klucz do pokoju. I znika.

Rozdział 20

Z kim się spotyka? Z kim? Och, doprowadzam się do szaleństwa, zwłaszcza że cały czas dręczy mnie myśl o kobiecie w jego domu. Chodzę po apartamencie, przez przedpokój, salon i główną sypialnię, w kółko, aż zaczyna mi się kręcić w głowie.

Po kolejnej rundce siadam na kanapie w salonie i postanawiam zadzwonić do Jen.

Kiedy wyciągam iPhone, widzę, że mam trzydzieści siedem nieodebranych połączeń. Nigdy nie miałam ich więcej niż trzy, w całym swoim życiu. Przesuwam numery. Większość to londyńskie numery, których nie rozpoznaję, ale mnóstwo jest też od Jen, Toma, Tanyi i taty.

Jen odbiera po pierwszym sygnale.

– Soph? O mój Boże, dzwonię do ciebie i dzwonię. Gdzie jesteś?

– W Carlo – mówię.

– W Carlo? To znaczy w Carlo Hotel? To znaczy, w królewskim hotelu Carlo?

– Uch… tak.

– Jezu kurde Mario! Co ty tam robisz? Och, głupie pytanie. Jesteś z Markiem Blackwellem. Więc domyślam się, że pogniotłaś już pościel.

– Byłam tu z Markiem Blackwellem – mówię. – Już go tu nie ma. Poszedł się z kimś spotkać. Nie wiem z kim. Właśnie udzieliliśmy wywiadu dziennikarce z magazynu „Gossip".

– „Gossip"? – prawie skrzeczy Jen. – O mój Boże. Właśnie zostałaś królową mediów. Miałaś też sesję?

– Jeszcze nie – mówię. – Zdjęcia mają nam zrobić po południu.

– W co chcesz się ubrać?

– Jeszcze nie wiem. Marc dał mi swoją kartę kredytową, żebym poszła na zakupy. W pewnym sensie zasugerował Bond Street, więc chyba chce, żebym kupiła coś od znanego projektanta.

– O mój Boże! – wrzeszczy Jen. – Więc dlaczego tracisz czas na gadki przez telefon? Idź i wydawaj, wydawaj, wydawaj!

– Myślisz, że to może przetrwać? On i ja?

Chwila milczenia.

– Naprawdę jesteście z dwóch różnych światów.

– Tak – mówię. – Z dwóch zupełnie różnych światów, Jen. Ja tu nie pasuję. To nie jestem ja. Kupowanie ciuchów od znanych projektantów to nie jestem ja.

– Czy powiedział, że chce, żebyś poszła do tych sklepów?

Zastanawiam się przez chwilę.

– Nie. Ale może tak myślał… Czułam, że tego chce.

– Kochasz go? – pyta Jen poważnie.

– Tak – mówię. – A przynajmniej… – Myślę o tym, co powiedział wcześniej. O tym, żebym uważała, czego sobie życzę i poznawaniu go lepiej, i o kobiecie w jego domu. – … to, co o nim wiem. Ale może są rzeczy, o których nie wiem.

– To już dobry początek – mówi Jen. – Hej, chcesz, żebym przyjechała i pomogła ci znaleźć coś do ubrania? To żaden problem, i tak jestem dzisiaj w Londynie.

– Nie, nie, przecież jesteś w pracy. Poradzę sobie.

Rozdział 21

Wiem, że brzmi to żałośnie, ale naprawdę muszę zebrać się na odwagę, żeby wyjść z hotelu. Marc zna język tej krainy, ja jestem tu obca i czuję się nie na miejscu.

Pracownicy hotelu kiwają mi głowami, kiedy przechodzę przez hol, a ja przyklejam do twarzy uśmiech i mruczę: „Dzień dobry", kiedy ich mijam. Zauważam, że inni goście ignorują obsługę, ale mnie wydaje się to po prostu niegrzeczne. Może moi rodzice nie mieli pieniędzy, ale nauczyli mnie, że dobre maniery nic nie kosztują.

Zbiegając na zewnątrz ze stopni, uświadamiam sobie, że nie mam pojęcia, dokąd idę. Przy obrotowych drzwiach stoi siwowłosy portier, więc pytam go, gdzie jest Old Bond Street.

– Tuż za rogiem – mówi i w jego ogorzałych policzkach pojawiają się dołeczki. – Trudno nie trafić.

Jego akcent przypomina mi mojego dziadka Jacka. Uśmiecham się.

– Pochodzi pan ze wschodniego Londynu? – pytam.

Portier uśmiecha się szeroko.

– Z Highbury. Dlaczego… zna pani tę dzielnicę?

– Czy znam? – Ja też się uśmiecham. – Kiedyś co roku przyjeżdżałam na Boże Narodzenie do Walthamstow. Moi dziadkowie tam mieszkają. Na Highbury oglądaliśmy mecze.

– Och, naprawdę? Piłkarska dziewczyna, co?

– Nie bardzo, ale kiedyś uwielbiałam oglądać mecze na żywo.

– A więc mamy ze sobą coś wspólnego. Ja nie znoszę futbolu, ale mecz na żywo to co innego. Lata świetlne od tego miejsca, co? Stare dobre mecze. Pie i Bovril, i wszystkie te piosenki.

– Też tak to pamiętam.

Portier wyciąga do mnie dłoń w białej rękawiczce.

– Bill.

– Sophia. – Ściskam ciepłą białą rękawiczkę i po raz pierwszy tego dnia czuję się jak w domu. – Naprawdę miło cię poznać.

– Widziałem cię wcześniej – mówi Bill. – Z naszym panem Blackwellem. Dobry był dla nas przez te wszystkie lata; nie wierz w to, co wypisują gazety. – Rzuca okiem na ulicę. – Posłuchaj, gdybyś potrzebowała jakiejś pomocy, póki tu jesteś, przyjdź do mnie. Zaopiekuję się tobą. A jeśli twój chłopak przekroczy granicę… – Bill podnosi ramię i przecina nim powietrze. – Wystarczy, że do mnie przyjdziesz.

Oboje się śmiejemy.

– Dziękuję, Bill. – Może powinnam poćwiczyć takie ciosy. Wydają się skuteczne.

Przechodzę przez ulicę i znajduję się u wylotu Old Bond Street – i innego świata.

Rozdział 22

W porządku. Więc znam takie nazwy jak Gucci i Dolce and Gabbana z serialu *Seks w wielkim mieście* i wiem, że celebryci wkładają stroje z metkami wielkich projektantów na ważne okazje. Ale pochodzę z małej wioski pod małym miasteczkiem i nigdy nie widziałam prawdziwych sklepów, które sprzedają takie rzeczy. Chyba że można zaliczyć do takich projektantów Nike.

Przechadzka po Old Bond Street ma wymiar edukacyjny. Przede wszystkim nigdy nie widziałam sklepów, przed którymi stoją ochroniarze. To po pierwsze. A po drugie, nigdy nie widziałam tak wspaniale udekorowanych wystaw.

W jednym oknie stoi ogromna choinka cała obsypana sztucznymi brylantami i spryskana czymś białym. W innym wiszą setki płatków śniegu umocowane na drucie wokół balowych sukien. Piękne.

Mijam sklep, w którym jakaś kobieta podaje kupującym różowe koktajle. Rany. Patrzę na diamenty, zegarki i torebki z wyprzedaży, które kosztują więcej niż domek mojego ojca.

Myślę o karcie kredytowej Marca, która ciągle leży na nocnym stoliku. Nie byłam w stanie jej wziąć. Po prostu nie jestem dziewczyną, która wydaje pieniądze z cudzego konta. Mam własną kartę kredytową i spłacę zadłużenie, pracując, jak zawsze. No dobrze, mój limit to tylko kilkaset funtów, ale wystarczy, żeby coś kupić. Na pewno.

Mijam sklep za sklepem. Patrzę na witryny i zawsze znajduję jakiś powód, żeby nie wejść do środka.

Zbyt eleganckie. Nie w moim stylu. Zbyt ekstrawaganckie. Zbyt młodzieżowe. Zbyt klasyczne. Ale prawda jest taka, że czuję się nieswojo na myśl o tym, że miałabym wejść do takiego sklepu. Czuję się tak, jakby każdy od razu miał poznać, że nie należę do tego świata.

Sophio, jesteś śmieszna. Po prostu wejdź do sklepu. O, do tego. Do tego tutaj.

Widzę witrynę pełną złotych butów, białych garniturów i okularów przeciwsłonecznych na chudych manekinach. Przełykam z trudem i wchodzę do środka.

Od czego zacząć?

Podchodzi sprzedawczyni. Ma na sobie dokładnie taki sam zestaw jak te na wystawie, łącznie z ciemnymi okularami. Rzuca okiem na moje dżinsy i buty.

– Oglądamy?

– Och… uch. Tak. Na razie. – Rozglądam się po sklepie, szukając wieszaków z rzeczami z wyprzedaży. Stare nawyki mocno się trzymają. Ale wyprzedaży tu nie ma. No oczywiście. Niedługo Boże Narodzenie.

Dostrzegam wieszak z sukienkami i podchodzę do niego. Sprzedawczyni sunie za mną.

– Ta jest ładna – mówię, muskając ręką dopasowaną szarą sukienkę ze srebrnym

haftem.

Sprzedawczyni zdejmuje okulary. Jej oczy są wrogie.

– Tak na wszelki wypadek… Przymierzalnia jest dla osób, które poważnie rozważają zakup.

Moja ręka opada.

– Ona poważnie rozważa zakup – mówi głęboki męski głos.

O mój Boże.

Odwracam się i patrzę na Marca. Ma na sobie białą koszulę, czarny garnitur i wygląda obłędnie przystojnie. Gdyby się nie ruszał, można by go wziąć za element witryny.

Rozdział 23

Szeroko otwieram oczy.

– Co ty tu robisz?

Wrogie oczy sprzedawczyni omal nie wyskakują z orbit.

– Pan… Marc Blackwell… Marc Blackwell. Ja… najmocniej przepraszam. Mam nadzieję, że nie zabrzmiało to niegrzecznie. Tylko że…

Marc patrzy na nią zimno.

– Nie będziemy pani już potrzebowali, dziękuję. Może pani prezentować swoje kiepskie maniery komuś innemu.

Sprzedawczyni mruga kilka razy, chwieje się lekko na swoich wysokich obcasach, mamrocze: „Przepraszam", i odchodzi chyłkiem.

– Zapomniałaś tego. – Marc sięga do kieszeni i wyciąga swoją kartę kredytową.

Tak się cieszę, że go widzę. Mam ochotę rzucić mu się na szyję, ale jesteśmy w miejscu publicznym.

– Nie zapomniałam – mówię. – Tylko… jakoś wydało mi się, że nie powinnam jej brać.

Marc marszczy brwi.

– Dlaczego?

– Bo… – Jak mam to wyjaśnić, skoro sama siebie nie rozumiem? – Po prostu byłoby w tym coś nie tak. To wszystko.

– Jest coś nie tak z tym, że chcę się tobą opiekować?

– Nie… Ja… chyba nie czułam, że chodzi w tym o opiekę. Poczułam się tak, jakbym nie była dorosła.

– Nie chciałem, żebyś się tak poczuła.

– Wiem. – Kręcę głową. – Wiem, że miałeś dobre intencje.

– Więc może weźmiesz tę cholerną kartę?

– Czy pan mnie prosi, panie Blackwell, czy mi rozkazuje?

– Proszę. – Kącik jego ust drga lekko. – Ale nie przyzwyczajaj się do tego. Raczej nie wejdzie mi to w nawyk.

– Och? Jesteś tego pewny?

– Całkowicie.

Na moment reszta świata znika i jesteśmy tylko my, Marc i ja, naprzeciw siebie.

– Jak mnie znalazłeś? – pytam.

– Pokojówka zadzwoniła i powiedziała, że moja karta kredytowa została w sypialni. Więc pomyślałem, że lepiej wrócę.

– Przecież miałeś się z kimś spotkać?

– Ta osoba rozumie, że stało się coś ważnego. Ale teraz muszę do niej wrócić.

– No tak.

Kto to jest? Kto to jest? Kto to jest?

– Czy chciałabyś, żebym przysłał do ciebie kogoś z hotelu, żeby ci pomógł? – Znowu rzuca mi ten krzywy uśmieszek, od którego miękną mi nogi. – Był twoim ochroniarzem?

– Jednego już mam.

– Owszem, masz.

– Nie mówię o tobie.

Brwi Marca podjeżdżają do góry.

– Czy mam konkurencję?

– Z całą pewnością. Ona jest w tym bardzo dobra.

– Ona?

– Tak, ona. Moja najlepsza przyjaciółka, Jen. I musi cię zaakceptować, jeśli my dwoje mamy do czegokolwiek razem dojść. Więc myślę, że niedługo powinniście się poznać.

– Och, przypuszczam, że mnie zaakceptuje – mówi Marc. – Kobiety prawie zawsze mnie akceptują.

Śmieję się. Chyba ma prawo być trochę arogancki, biorąc pod uwagę, jak działa na kobiety.

Marc opiera ręce na moich barkach i znowu czuję ten cudowny, miękki, piżmowy zapach. Zapach sosen po deszczu. Prawie mnie odurza, muszę się postarać, żeby kolana się pode mną nie ugięły.

– Muszę już iść – mówi Marc, głosem głębokim jak studnia. – Ale wrócę na sesję fotograficzną. I chciałbym wtedy poznać tego twojego ochroniarza.

Jeszcze raz wciągam jego zapach, oddycham nim.

– Zaraz do niej zadzwonię.

Rozdział 24

Spotykam się z Jen przed Vivienne Westwood na Conduit Street. Jen idzie szybko, niosąc dwa papierowe kubki ze Starbucksa. Ma na sobie elegancki szary kostium ze spodniami i karmelowy płaszcz.

– Wiem, powinnam przyjść wcześniej – woła, stukając obcasami po chodniku. Podaje mi kubek i obejmuje mnie jednym ramieniem. – Paliwo na zakupy – mówi, wskazując kubki. Czuję nosem, że w moim jest gorąca czekolada i widzę przez dziobek topniejącą bitą śmietanę. – Chodź. Kupimy ci jakieś buty. – Jen wciąga mnie za łokieć do Vivienne Westwood, a ja uśmiecham się do siebie. Znowu znalazłam się w tym szalonym pociągu zakupowym, który Jen prowadzi z szybkością stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę.

Domyślam się, że napoje w papierowych kubkach nie są mile widziane w tym sklepie, ale nikt nie odważy się zaczepić Jen w tym nastroju. Jest jak buldog. Wpada do sklepu, jakby była jego właścicielką i zaczyna rozmawiać ze sprzedawczynią w profesjonalnym designerskim narzeczu.

– Jaki to krój? Przypomina sezon wiosna–lato 1998, prawda? Barwy neutralne, to się teraz nosi, nie?

To dla mnie obcy język, więc tylko patrzę z podziwem, jak Jen ze znawstwem peroruje o sezonach, kolorach, powrocie lat osiemdziesiątych i strojach na różne „okazje".

Pakuje mnie do przymierzalni z trzema wspaniałymi strojami, które wyglądają jak dzieła sztuki i każe sprzedawczyni przytrzymać moją czekoladę.

Trzeci strój, który mierzę, jest najlepszy. To dopasowana sukienka w wyrazistym niebieskim kolorze, z naszytymi wszędzie małymi literkami „z" z czarnej skóry. Jest elegancka, ale nadaje się na dzień i leży na mnie jak rękawiczka. Moja talia wydaje się w niej węższa, a krój powiększa biust. Wszystko jak trzeba.

Dodajemy do tego czarne buty do kostki z mnóstwem klamerek i jestem gotowa.

Wkładam na to swój kaszmirowy płaszcz i czuję się dobrze. Naprawdę dobrze. Jak ktoś, kto pasuje do Bond Street. A przynajmniej mogę teraz podnieść głowę.

– Marc chce cię poznać – mówię Jen, kiedy wychodzimy pod ramię ze sklepu. Moje dżinsy i buty zostały wciśnięte do torby Vivienne Westwood i teraz, kiedy mam na sobie nowe rzeczy, wydają się brudne i podniszczone.

– Ja też chcę go poznać – mówi Jen głosem ze stali. – Po tym, co ukazało się dziś rano drukiem, muszę z nim poważnie porozmawiać o jego ekipie PR.

– Gazety – mówię i zatrzymuję się. – Jeszcze ich nie widziałam. Co napisali?

– Nie jest… bardzo źle – mówi Jen, ale znam ją dość długo, że wiem, kiedy wchodzi w tryb PR. – Mam je przy sobie. Chodźmy do twojego hotelu, to sama przeczytasz.

Rozdział 25

Prasa nie jest dobra. Prawdę mówiąc, to niedopowiedzenie. Jest wredna. W większości gazet piszą o „puszczalskiej" studentce, która uwiodła nauczyciela i przedstawiają mnie jako obłąkaną nimfomankę, która nie wypuszcza Marca ze swoich szponów.

Jen i ja siedzimy w moim apartamencie w Carlo na dywanie w saloniku, a wszędzie wokół walają się gazety.

Kiedy przyszłyśmy, kamerdyner przyniósł nam podwieczorek, „na życzenie pana Blacwella", ale nie zwracamy większej uwagi na srebrną tacę pełną babeczek, kanapek i ciast. Interesują nas przede wszystkim gazety.

Czytam artykuł w „Daily News" i mrugam w osłupieniu.

– O mój Boże. Jen, czytałaś to? Przeprowadzili wywiad z kimś z mojego college'u.

– Gdzie? – Jen nachyla się nad moim ramieniem i czyta na głos tytuł i pierwszy paragraf: – „Seksowna studentka Marca. Napalona studentka, Sophia Rose, zaciągnęła do łóżka jednego z najseksowniejszych kawalerów Hollywood. – Parska śmiechem, ale czyta dalej i marszczy brwi. – Kto to jest Cecile?

– Dziewczyna z mojego kursu – mówię. – Nie mogę uwierzyć, że opowiada te wszystkie bzdury.

Pod nagłówkiem jest moje zdjęcie z karty zgłoszenia, na którym mam zamglone, maślane spojrzenie. Wzdrygam się. Musieli to zdjęcie wziąć ze strony internetowej mojego poprzedniego uniwersytetu. Zdjęcie, na którym jestem razem z Markiem, na szczęście jest bardzo ziarniste i niewyraźne.

Oboje wyglądamy na zaskoczonych, ale nie sprawiamy wrażenia, jakbyśmy byli sobie bliscy – nic nie wskazuje na to, że coś nas łączy. Równie dobrze Marc mógł po prostu odwiedzić akademik. To znaczy, gdyby Cecile nie udzieliła tego wywiadu.

Jeszcze raz czytam wywiad i zgrzytam zębami.

„Sophia narzucała się Marcowi od chwili, kiedy przyjechała do college'u", mówi koleżanka z roku, Cecile Jefferson. „Nauka jej nie interesowała. Tylko spotkanie sławnego Marca Blackwella. Robiła wszystko, żeby zwrócić na siebie jego uwagę, zostawała po zajęciach, kiedy wszyscy wyszli już z sali".

Bardzo ci dziękuję, Cecile. Mocno zasiliłaś plotkarski młyn.

– Nie mogę uwierzyć, że powiedziała coś takiego – mówię. – To same kłamstwa.

Potem dostrzegam nazwisko dziennikarza, który z nią rozmawiał. Giles Getty. Nic dziwnego, że był dzisiaj rano pod college'em.

– Niech się modli, żebym nie dostała jej kiedyś w swoje ręce – mówi Jen, czytając gazetą ponad moim ramieniem. – Zrobić coś takiego mojej przyjaciółce. Czy ona w ogóle cię zna? Poznałyście się?

– Kilka razy – przyznaję. – Marc bardzo jej się podoba. To wszystko. Jest po prostu

zazdrosna.

– Soph, musisz trochę stwardnieć. To już nie plotki z kampusu, to ogólnokrajowa gazeta. Ta dziewczyna rozpuszcza o tobie te bzdury po całym UK.

Wzdycham.

– Ale co ja mogę z tym zrobić, Jen?

– Cóż, na początek musisz wziąć sobie porządną firmę PR.

– Naprawdę? – Unoszę jedną brew. – A znasz jakąś?

Obie się śmiejemy.

– Poważnie, Soph. – Jen krzyżuje ramiona. – Nie powinna pozwolić, żeby gazety wydrukowały coś takiego. Marc musi poszukać kogoś lepszego. Niekoniecznie mnie. Po prostu, kogoś lepszego.

Zastanawiam się nad tym.

– Porozmawiam z Markiem.

– A tak swoją drogą, kiedy poznam twojego księcia z bajki?

– Lada chwila. – Rzucam okiem na zegar w karocy stojący na kominku. Przy potężnym bukiecie róż wydaje się bardzo mały. – Powiedział, że będzie tu o drugiej.

Jak na zamówienie zegar bije dwa razy i otwierają się drzwi. Wiem, że to Marc, chociaż nie patrzę. Można być pewnym, że zawsze będzie na czas.

Rozdział 26

Sophio? – woła. Słyszę w jego głosie niepokój.

– Tutaj – odpowiadam.

Marc wchodzi do pokoju i widzę, że na mój widok zdecydowanie mu ulżyło.

– Cieszę się, że wróciłaś cała i zdrowa.

Całuje mnie w czoło.

– Nie byłam w afrykańskiej dziczy – mówię z uśmiechem. – Tylko po drugiej stronie ulicy.

Marc dostrzega Jen i podchodzi do niej, wyciągając rękę.

– To musi być ta najlepsza przyjaciółka, o której tyle słyszałem. Miło mi cię poznać, choć żałuję trochę, że w takich okolicznościach.

– Tak. – Jen ściska jego dłoń. – Czytałam dzisiejsze gazety. Nie najlepszy start dla was dwojga.

– Ktoś już się tym zajmuje.

Jen i ja patrzymy na siebie. Jen wyraźnie zastanawia się, czy powiedzieć mu, co myśli o jego ekipie od PR-u teraz, czy później.

– Czy twoja ekipa ma plan ograniczenia szkód? – pyta Jen.

– Owszem – mówi Marc. – Ale nie weszli dość zdecydowanie. Rozmawiałem z nimi rano. Następnym razem zareagują mocniej. – Nalewa sobie czarnej kawy ze srebrnego dzbanka, który przyniesiono razem z podwieczorkiem.

Jen chrząka.

– Nie sądzisz, że jest już trochę za późno na zdecydowane wejście? Po publikacji? Na twoim miejscu natychmiast zaatakowałabym te gazety. Nie pozwoliłabym, żeby to, co się stało dziś rano, uszło im na sucho.

Marc odwraca się do niej i unosi jedną brew. Nie wiem, czy jest zirytowany, ale jeśli tak, to zaraz dojdzie do małej eksplozji. Jen na pewno się nie wycofa.

– O? A co byś zrobiła, żeby powstrzymać takie artykuły?

– Zagroziłabym pozwem do sądu. Obiecałabym coś w zamian za życzliwość. Postarałabym się, żeby artykuły były bardziej pochlebne. Wygląda na to, że te gazety napisały, co im się żywnie podobało. Nie czuły żadnej presji. Nie było nic, co mogłoby je powstrzymać.

– Jen zawodowo zajmuje się R-em – wyjaśniam.

Marc siada na fotelu naprzeciw nas i popija kawę. Jest odprężony. Opanowany. Wytrawny biznesmen.

– Chcesz powiedzieć, że moi ludzie powinni byli szantażować gazety, żeby przedstawiły wszystko w lepszym świetle?

Jen uśmiecha się cierpko.

– Nie szantażować. Pohandlować z nimi. Zaoferować coś w zamian za przyjazne artykuły.

– Coś?

– Więcej zdjęć, ale takich, które pokazują was w dobrym świetle. Albo wyłączność na wywiad.

Marc w zamyśleniu wydyma wargi. Boże, jaki jest seksowny. Nawet kiedy marszczy brwi, moje ciało na niego reaguje.

– No cóż. To niezły pomysł. Mówiłaś, że dla kogo pracujesz?

Twarz Jen rozciąga się w oślepiającym bielą, stuwatowym, promiennym uśmiechu.

– Prometheus PR. Ale niedługo otworzę własną firmę. To tylko kwestia czasu.

– Interesujące. – Marc przenosi wzrok na mnie.

– Ale nie sądź, że próbuję ci sprzedać swoje usługi – dodaje Jen. – Zależy mi tylko na Sophii.

– A więc mamy ze sobą coś wspólnego. Słucham tego, co mówisz i mam wrażenie, że doskonale znasz się na swojej pracy.

– A skoro mowa o pracy. – Jen zrywa się na równe nogi. – Powiedziałam im, że wrócę godzinę temu.

Całuje mnie w policzek i robi ręką taki ruch, jakby rozmawiała przez telefon.

– Zadzwonię do ciebie, dobrze? Miło było cię poznać, Marc. – Chwyta swój płaszcz i rusza do drzwi.

Marc odstawia filiżankę.

– My też powinniśmy się już zbierać. Gotowa na sesję?

Kiwam głową.

– Na tyle, na ile to możliwe.

Marc podaje mi rękę i podnosi mnie do góry.

– Nowa sukienka?

– Dopiero teraz zauważyłeś?

– Rzadko dostrzegam, co masz na sobie. Dostrzegam ciebie, nie twoje ubrania.

– W kampusie zauważyłeś, że nie mam płaszcza, pamiętasz?

– To co innego. Nie zauważyłem, jak jesteś ubrana, tylko że jest ci zimno. Pomijając ubranie, wygląda pani niezwykle czarująco, panno Rose. Nieco zbyt czarująco, jak na mój gust. Nie jestem pewny, czy będę w stanie utrzymać ręce przy sobie podczas tej sesji.

– Myślałam, że o to właśnie chodzi w tych zdjęciach – mówię, czując, jak na myśl o jego rękach przebiega mnie dreszcz. – Żebyś nie trzymał rąk przy sobie. Przecież mamy wyglądać jak para.

Marc zbliża usta do mojego ucha.

– W takim razie trudno mi będzie się powstrzymać.

Tak! Mam ochotę śpiewać. Małymi kroczkami, powoli zbliżam się do celu. Ta sławna samokontrola w końcu musi puścić.

– Czy na sesji to nie fotograf mówi, co mamy robić? – pytam, unosząc jedną brew. – Myślisz, że to wytrzymasz?

– Nie przepadam za wykonywaniem poleceń – mówi Marc, zsuwając dłoń na moje plecy. – Ale chyba dam radę. Dla ciebie. I kto wie? Może uda mi się wydać kilka

własnych poleceń?

Rozdział 27

Studio fotograficzne zupełnie nie wygląda tak, jak się spodziewam. Wyobrażałam sobie jakiś wielki bungalow z gumolitem na podłodze, tonami sprzętu fotograficznego i wielkimi lampami. A tymczasem to po prostu jedno z pomieszczeń w siedzibie GMQ – firmy, która wydaje magazyn Arabelli i kilka innych plotkarskich gazet.

Pokój jest zupełnie biały, pozbawiony okien i bardzo mały. Wręcz ciasny. Podłogę pokrywają długie pasma białego papieru, a na niej stoi tylko jedna lampa na srebrnym trójnogu.

Wielki ekran stoi w jednym rogu, a za nim tekturowe pudła pełne rekwizytów.

Nie ma aparatów na statywach ani ludzi ustawiających światła. Jest tylko fotograf – z brązową brodą, w koszulce z napisem „Led Zeppelin", który wygląda na naprawdę szczęśliwego faceta.

Marc podchodzi do niego, ściska jego dłoń i klepie go po ramieniu.

– Danny. Co u ciebie?

– Marc, miło cię znowu widzieć. – Fotograf ściska dłoń Marca. – Kupa roboty. A ty?

– Spytaj mnie pod koniec tygodnia.

Fotograf odwraca się do mnie.

– Ty musisz być Sophia. Jestem Danny. Miło mi cię poznać.

Uśmiecham się.

– Nawzajem.

– Cóż. – Danny wypuszcza rękę Marca ze swojej. – Macie ochotę na kawę? Herbatę? Pączki?

Wskazuje blat, na którym stoją kubki ze styropianu, plastikowe butelki z wodą i cukiernica, a obok pudełko pączków z różowym lukrem.

– Marc, mam dwadzieścia fajek Marlboro, gdybyś miał później ochotę.

Marc kręci głową.

– Rzuciłeś?

– Odkąd poznałem Sophię, właściwie nie palę.

Uśmiecham się.

– Naprawdę?

Marc unosi jedną brew.

– Zastąpiłem jedną używkę inną, o wiele lepszą.

– Więc jestem używką? – uśmiecham się szeroko.

– Tak. Silnie uzależniającą i bardzo piękną.

Danny chrząka.

– A więc, Sophio… masz ochotę na drinka?

– Dla mnie tylko woda, dziękuję – mówię.

– Nie ma sprawy. – Danny bierze plastikowy kubek i nalewa do niego wody. – A ty, Marc? Pamiętasz tę kawę z ubiegłego razu, prawda? Smakuje jak fusy, ale z cukrem da się wypić.

Marc wsuwa ręce do kieszeni.

– Nie zapomniałem. Napisałem już do delikatesów na dole, żeby przynieśli nam świeżą. Latte z syropem orzechowym dla ciebie, gorącą czekoladę dla Sophii.

Danny spogląda na mnie i mruży jedno oko.

– Nie pracowałem z nim od miesięcy, a on pamięta, jaką kawę piję. Za zamkniętymi drzwiami nie jest ani w połowie takim złym chłopcem, jak o nim mówią.

Rozdział 28

Och, nadal miewam swoje trudne chwile za zamkniętymi drzwiami. – Marc spogląda na mnie, a ja marszczę brwi i rzucam mu spojrzenie, które mówi „nie tutaj”. Och, Marc, Marc, jak to możliwe, że kilka twoich słów i jedno znaczące spojrzenie sprawiają, że wszystko we mnie topnieje?

– Jak my wszyscy – mówi przyjaźnie Danny, wyraźnie nie dostrzegając rozedrgania, które mnie ogarnęło. – Jesteście przebrani?

– Przebrani? – pytam.

– Chcecie mieć zdjęcia w tym, co macie na sobie? – Danny kieruje obiektyw na moją sukienkę.

Patrzę w dół.

– Tak planowałam.

– To dobrze. Wyglądasz świetnie. No dobra, pomyślałem, że wykorzystamy kilka rekwizytów.

– Rekwizytów? – Marc unosi jedną brew.

– Pokażę wam. – Danny znika za wielkim ekranem, a my słyszymy szelesty i pobrzękiwania, kiedy grzebie w swoich pudłach.

Ktoś puka do drzwi i do środka zagląda dostawca z delikatesów.

– Napoje dla studia numer dwa? – W rękach trzyma tacę z papierowymi kubkami, a na głowie ma czapeczkę z napisem „Delikatesy Daryl”.

Na widok Marca otwiera szeroko usta, ale szybko dochodzi do siebie, poprawia czapeczkę i wyciąga przed siebie tacę.

– Szybka dostawa. Dzięki. – Marc odbiera od niego tacę.

– Czy mogę prosić o autograf? – jąka się chłopiec. Ma jakieś siedemnaście lat i czerwone plamy na policzkach.

– Jasne. – Marc stawia tacę na białej papierowej podłodze i wyciąga długopis Parkera z kieszeni.

Chłopiec wyciąga serwetkę.

– Czy to wystarczy?

– Och, mamy tu chyba coś lepszego – mówi Marc. Klęka na podłodze, podpisuje się na białym papierze, a potem starannie odrywa róg i wręcza oderwany kawałek chłopcu.

Chłopak wygląda na tak uszczęśliwionego, że chyba zaraz zemdleje.

– Dziękuję, panie Blackwell, dziękuję, dziękuję.

– Drobiazg – mówi Marc. – Proszę. To też weź. – Podaje mu długopis.

– Naprawdę? – mówi chłopak piskliwie. Robi coś w rodzaju niezręcznego ukłonu i wycofuje się z pokoju. – Dziękuję. Dziękuję.

– Nie ma o czym mówić – rzuca Marc, a jego oczy łagodnieją.

Chłopiec uśmiecha się i zamyka drzwi, a ja wyobrażam sobie, że tuż za nimi zaczyna skakać do sufitu.

Uśmiecham się do Marca.

– Co? – pyta.

– Jakoś nie wyglądałeś mi na kogoś, kto rozmawia z wielbicielami.

– To, że lubię swoją prywatność, nie znaczy, że nie doceniam ludzi, dzięki którym znalazłem się tu, gdzie dzisiaj jestem.

– Tak, ale… nie przypuszczałam, że potrafisz być taki słodki.

– Słodki?

Znowu ten prąd. Jak on to robi, że tak na mnie działa, nawet stojąc po drugiej stronie pokoju?

– Tak, słodki – mówię. – Byłeś teraz naprawdę słodki.

Marc uśmiecha się tym swoim niebezpiecznym uśmiechem.

– Niewielu ludzi tak by mnie określiło, panno Rose. Ale to ciekawe… Myślałaś, że nie rozmawiam ze swoimi fanami?

Wzruszam ramionami.

– Jakoś nie podejrzewałam, że tak po prostu rozdajesz autografy. To było bardzo miłe z twojej strony – uśmiecham się coraz szerzej. Wiem, że stąpam po grząskim terenie. Że robi się naprawdę gorąco. Ale nic na to nie mogę poradzić. Uwielbiam droczyć się z nim w taki sposób.

Marc podchodzi do mnie dwoma wielkimi krokami.

– Jeszcze jedno słowo, panno Rose – szepcze – a przełożę panią przez kolano.

Oblewam się rumieńcem i uśmiech znika z mojej twarzy.

Zza ekranu wyłania się Danny i Marc odwraca się do niego.

– Co o tym sądzicie? – pyta Danny, wyciągając wielki czarny parasol. – Pomyślałem, że moglibyście stanąć pod nim razem. Później mógłbym dodać deszcz. Tylko wy dwoje, pośród burzy. Bardzo londyńska wizja, no nie?

– Bardzo podoba mi się ten pomysł – mówię cicho, spoglądając na Marca. – Jest taki… słodki.

Marc marszczy brwi, ale jego oczy się uśmiechają.

Rozdział 29

No, dobrze, chciałbym, żebyście stanęli bliżej siebie – mówi Danny, podając Marcowi parasol. – Ale nie chodzi mi o ckliwe objęcia ramionami. Po prostu stańcie obok siebie.

Stoję obok Marca, czuję się nieswojo i nie wiem, co mam zrobić z rękami. Wolałabym, żeby objął mnie ramieniem. Ale chyba rozumiem, co chce zrobić Danny. Zależy mu na subtelnym, eleganckim efekcie. Nie na sztampowym rodzinnym zdjęciu.

Pstryk, pstryk, pstryk. Danny robi zdjęcie za zdjęciem, każde pod innym kątem.

Często podchodzi do nas i poprawia coś – moje włosy, marynarkę Marca, to, jak stoimy. Ale głównie pstryka, powtarzając: „Świetnie, wyglądacie świetnie. Wspaniale".

To ciężka praca, stać w jednej pozycji i moje ciało szybko zaczyna boleć z wysiłku. Już mam poprosić o szklankę wody, kiedy słyszę skrzypnięcie drzwi.

Na progu staje Arabella. Ma okulary w czarnych oprawkach i włosy ciaśniej związane w kucyk, tak że nie wymyka się z niego ani jedno pasmo.

Uśmiecha się na nasz widok.

– Rany – mówi. – Na pewno jest między wami chemia. Aż stąd ją czuć.

Patrzę na Marca, który uśmiecha się, ale jednocześnie marszczy brwi.

– Co cię tu sprowadza, Arabello?

– Nie pan, panie Blackwel, jeśli o to pan pyta. – Uśmiecha się do niego zalotnie, co zupełnie mi się nie podoba. – Prawdę mówiąc, chciałam porozmawiać z Sophią. Zaszły nowe okoliczności.

– Okoliczności? – rzuca Marc.

Ze zdenerwowania ściska mnie w żołądku.

– Jakie okoliczności? – Marc obronnym ruchem przysuwa się bliżej mnie.

– Dowiedzieliśmy się pocztą pantoflową, że Sophia dostanie propozycję – mówi Arabella. – W nowej wersji musicalu *Piękna i Bestia*. Na West Endzie.

Patrzę na nią, osłupiała.

– *Piękna i Bestia*? – powtarza Marc powoli. – W Tottenham Theatre?

– Dokładnie tak – mówi Arabella.

– Skąd masz tę informację? – pyta Marc.

– Asystentka reżysera puściła farbę – mówi Arabella. – Na razie nikt ma o tym nie wiedzieć. Aktorka, która miała zagrać główną rolę, przeszła załamanie nerwowe. Problemy osobiste. Więc chcą zatrudnić kogoś młodego, kto zapewni im zainteresowanie mediów. Sophia, jak sądzę, doskonale się do tego nadaje.

Wydaje mi się, że za chwilę dostanę palpitacji serca.

– Nie, to nie może być prawda – mówię. – Jak to możliwe? Nie byłam na żadnym przesłuchaniu… nikt nigdy nie widział, jak gram… nie umiem śpiewać.

– Witaj w show-biznesie – mówi Arabella. – Ich nie obchodzi, czy jesteś dobra.

Najważniejszy jest rozgłos.

– Ona jest utalentowana – warczy Marc.

– Ale naprawdę nie umiem śpiewać – mówię. – Musical? Nie, to naprawdę nie moja liga.

– Umiesz śpiewać – mówi Marc. – Ale to bez znaczenia. – Odwraca się do Arabelli. – Kiedy złożą jej tę propozycję?

– Już wydzwaniają i próbują ustalić, kto jest jej agentem. Więc powiedziałabym, że kiedy tylko uda im się z nią skontaktować. To trochę zmienia kwestię wywiadu. Nie chcemy sprawiać wrażenia, że nie jesteśmy na bieżąco, dlatego chciałabym zapytać Sophię, czy przyjmie tę rolę.

– Getty węszy wokół nas, więc nie jest to odpowiednia chwila – mówi Marc. – Nie byłoby rozsądnie przyjąć tej roli.

Uśmiecham się.

– Marc, sama potrafię podejmować decyzje.

– Zdaję sobie z tego sprawę. Ale znalazłaś się w świecie, o którym wiesz bardzo niewiele. Tak czy inaczej, proponują ci tę rolę z niewłaściwych powodów. A aktor, który ma zagrać główną rolę męską, nie nazwałbym go artystą dużego kalibru.

– Czy słusznie wyczuwam ziarno zazdrości, panie Blackwell? – pyta Arabella.

– Zazdrości? O Leo Falkirka? – Marc marszczy brwi i wkłada ręce do kieszeni. – Nie sądzę.

– Leo Falkirk zagra główną rolę męską? – skrzeczę.

Marc unosi jedną brew.

– Proszę, tylko nie mów, że miałaś go na plakacie w swoim pokoju.

– Nie – mówię. Ale miała go Jen. – Ale on jest… cóż… bardzo sławny. Pochlebia mi, że ktokolwiek w ogóle pomyślał, żeby obsadzić mnie razem z nim. Ja jestem nikim.

– To wszystko jest zdecydowanie zbyt niebezpieczne – mówi Marc. – W tej produkcji *Pięknej i Bestii* liczą się tylko dwie role: Pięknej i Bestii. Wszystkie oczy będą zwrócone na was. Na was skupi się prasa. W tym także Getty. Nie jesteś na to gotowa.

Arabella patrzy raz na mnie, raz na Marca.

– Jesteś pewny? – mówi. – Wiesz, wiele młodych aktorek dałoby się zabić za tę rolę. No i żeby partnerować Leo Falkirkowi… Cokolwiek o nim myślisz, to duża szansa.

– Będą jeszcze inne szanse – mówi Marc.

– Może zapomniałeś, ale nie jest łatwo być młodym, nieznanym aktorem – mówi Arabella. – Jesteś pewny, że nie udzielasz Sophii złej rady dla własnych celów?

Marc marszczy brwi.

– Własnych celów? Chcę tylko, żeby była bezpieczna.

– Och, daj spokój, Marc. I tak niedługo będzie musiała doświadczyć prawdziwego świata. Z całą jego brzydotą. Nie jest ptakiem w klatce.

Przełykam i próbuję się wyprostować. Arabella ma rację. Większość aktorek byłaby w siódmym niebie, gdyby zaproponowano im tę rolę. Nie powinnam jej odrzucać tylko dlatego, że tak chce Marc.

– I cóż? – pyta mnie Arabella. – Przyjmiesz tę rolę, czy nie?

Przygryzam paznokieć.

– Chciałabym, ale muszę się nad tym zastanowić.

Czuję, jak stojący obok Marc sztywnieje.

– Na pewno nie chcesz podjąć decyzji teraz? – Arabella wydaje się prawie wkurzona i rozumiem ją. Wstrzymuję publikację jej artykułu.

– Żałuję, ale nie jestem w stanie zdecydować tak od razu.

– Niedługo zwróci się do ciebie reżyserka – mówi Arabella. – W ten czy inny sposób. Kiedy to zrobi, zadzwoń do mnie, dobrze? Daj znać, co postanowiłaś.

– Dobrze – kiwam głową.

– Och, i jeszcze jedno – mówi Arabella. – Prasa wie, że jesteście w Carlo. Na zewnątrz jest całe mnóstwo paparazzich.

– Skąd się o tym dowiedzieli? – pyta Marc.

Arabella wzrusza ramionami.

– Ktoś musiał im powiedzieć.

Rozdział 30

Wychodzimy z Markiem ze studia, trzymając się za ręce, ale każde z nas pogrążone jest we własnych rozmyślaniach. Kiedy idziemy korytarzami i schodami w stronę recepcji, czuję, jak Marc rozluźnia dłoń.

– Marc? – mówię, kiedy schodzimy krętymi schodami. – Czy jesteś na mnie zły, że zastanawiam się nad tą rolą?

Marc ma zmarszczone brwi i prawie na mnie nie patrzy.

– Nie potrafiłbym być na ciebie zły, nawet gdybym chciał. Powinnaś to już wiedzieć. Ale… martwię się o ciebie.

– Martwisz się?

Marc kiwa głową.

– Martwię się, że jeśli nie posłuchasz mojej rady, nie będę w stanie zapewnić ci bezpieczeństwa.

– Muszę żyć własnym życiem, Marc. Podejmować własne decyzje, nawet jeśli będą błędne.

Marc puszcza moją dłoń.

Jesteśmy teraz na pierwszym piętrze. Zauważam damską toaletę.

– Muszę skorzystać z łazienki – mówię. Nie jest to prawda, ale potrzebuję kilku chwil dla siebie. I chcę zadzwonić do Jen.

Marc krótko kiwa głową.

– Limuzyna czeka przed wejściem. Spotkamy się w środku. I tak lepiej, żebyśmy nie wychodzili stąd razem.

Znowu ten chłód.

W łazience wycieram i poklepuję skórę wokół oczu i przygładzam włosy. Mój nos i wargi są czerwone; wiem, że jestem na krawędzi łez.

W porządku, mówię sobie. Dopiero z Markiem zaczynamy. Będą przeszkody, ale jeśli razem je pokonamy, wyjdziemy z tego silniejsi. Tak zawsze mówiła moja mama. Ale ona chyba nigdy nie spotkała kogoś takiego jak Marc Blackwell.

W łazience nie ma zasięgu i nie mogę zadzwonić do Jen, więc tylko gapię się przez chwilę na swoje odbicie w lustrze i myślę, myślę. Potem widzę, że ktoś wychodzi z kabiny.

I sztywnieję.

O mój Boże.

To Cecile.

Cecile z Ivy College.

Ma na sobie obcisłe białe dżinsy, buty na wysokich obcasach i błękitną bluzkę wpuszczoną w spodnie. Nawet w dżinsach wygląda elegancko.

Podnoszę głowę tak wysoko jak to tylko możliwe i odwracam się do niej.

– Co ty tu robisz?

Cecile otwiera szeroko oczy, kiedy mnie rozpoznaje, ale tylko na sekundę. Potem bez słowa podchodzi tanecznym krokiem do umywalki i odkręca kurek.

– No? – pytam, kiedy zaczyna myć ręce pod bieżącą wodą.

– To samo, co ty – odpowiada. – Pracuję na historyjkę dla gazet.

– Przyszłaś tu, żeby znowu o mnie nakłamać?

Cecile otrzepuje ręce nad umywalką i sięga po papierowy ręcznik.

– Prawda jest różna, w zależności od tego, gdzie siedzisz.

Czuję, jak ogarnia mnie gniew.

– Wiesz, że to, co im naopowiadałaś, to nieprawda. Dlaczego tak mnie oczerniasz? Nigdy nic ci nie zrobiłam.

– Pozwolę sobie mieć inne zdanie na ten temat – mówi Cecile, wycierając ręce. – Zawsze wiedziałaś, że chcę Marca. To ze mną powinien być. Kim ty jesteś? Dziewczyną z jakiegoś małego miasteczka. To ja znam ludzi, których warto znać. Ja nie przynosiłabym mu wstydu. Mnie nie musiałby ubierać. – Patrzy lodowato na moją sukienkę. – Domyślam się, że ten strój wybrał ci Marc?

Ja też patrzę na swoją sukienkę i na chwilę tracę grunt pod nogami. To nie był wybór Marca, ale też niezupełnie mój. Owszem, wybrałam ją. Ale nigdy nawet nie weszłabym do tego sklepu, gdyby nie Marc.

– Jesteś po prostu zazdrosna – mamroczę.

– Nie grałaś fair – mówi Cecile. – Udawałaś, że on cię nie interesuje, a potem zabrałaś się do niego za moimi plecami. Więc teraz moja kolej. Zrobię wszystko, żeby go zdobyć. A jeśli to oznacza, że będę musiała powiedzieć całemu światu, jaka naprawdę jesteś, niech tak będzie. On sam i tak w końcu się zorientuje, z czym ma do czynienia.

– Ja nie jestem taka jak ty – mówię. – To wszystko po prostu się stało. Nie planowałam tego…

– Nie tak to wygląda z mojego punktu widzenia – mówi Cecile. – Ani niczyjego innego. Jesteś tylko dziewczyną znikąd, która sypia z Markiem, żeby zaistnieć. Wszyscy tak uważają. Gazety. Wszyscy. To nie tak, że musieli tę historię wycisnąć ze mnie… Była już właściwie napisana, kiedy zaczęli ze mną rozmawiać.

Au. Czy rzeczywiście wszyscy tak uważają? Nie rozmawiałam jeszcze z Tomem i Tanyą – czy oni też wierzą w to, co piszą gazety?

– Jak sobie pościeliłaś – rzuca Cecile, sunąc do drzwi – tak się wyśpisz.

Szukam jakiejś ciętej riposty – czegoś, co pokazałoby Cecile, gdzie jest jej miejsce. Ale nic nie przychodzi mi do głowy. Przyjdzie później, a ja będę od nowa rozgrywała tę scenę, żałując, że nie powiedziałam czegoś inteligentnego i ostrego.

Drzwi łazienki zamykają się z trzaskiem, a ja stoję i patrzę na nie, bezradna, samotna i zła.

Rozdział 31

Ciągle wściekła, schodzę do holu GMQ. Rzadko bywam zła, ale kiedy już jestem, ciężko mi logicznie myśleć.

Za automatycznymi szklanymi drzwiami widzę limuzynę Marca. Dwoma kołami stoi na chodniku.

Tak jestem zaprzątnięta swoim gniewem, że dostrzegam tego człowieka dopiero w chwili, kiedy czuję, że ktoś ściska mnie za łokieć.

– Sophia – mówi męski głos.

Odwracam się. O mój Boże.

To Giles Getty.

Jest wyższy, niż wydawał się mi się rano przed bramą college'u. Nie tak wysoki jak Marc, ale jednak wysoki – moje oczy znajdują się na wysokości kołnierzyka jego koszuli. Jest ubrany modnie, w stylu typowym dla ludzi pracujących w mediach – czarne dżinsy, luźna, biała, zmięta koszula i granatowa marynarka.

Wygląda dość normalnie. Niemal przystojnie. Ale oczy ma wyłupiaste i dzikie i widzę, że nie potrafi wytrzymać bez ruchu. Wydaje się podniecony. Nie ma w nim spokoju.

Spoglądam w dół na swój łokieć i widzę owłosione palce ściskające mój kaszmirowy płaszcz.

– Proszę mnie nie dotykać. – Staram się powiedzieć to tak stanowczo, jak tylko potrafię, choć wcale nie czuję się stanowcza. Prawdę mówiąc, w tym człowieku jest coś przerażającego.

– Chciałem tylko porozmawiać, to wszystko. Chyba nie masz nic przeciw temu? – mówi szybko. Za szybko.

Jego szare oczy strzelają na wszystkie strony.

– Muszę już iść – odpowiadam i wyrywam ramię. – Marc jest przed budynkiem.

– Zaraz, zaraz. Poczekaj. – Zagradza mi drogę, przeskakując z jednej nogi na drugą. Przypomina boksera na ringu, tuż przed walką. Energia i złość. Przez niego nie widzę już limuzyny. – Posłuchaj, znam Marca od bardzo dawna. Od lat. Po prostu interesuje mnie nowa kobieta w jego życiu, to wszystko. Czy to takie złe?

Wydyma lekko dolną wargę, co pewnie w zamierzeniu ma dodawać mu uroku, ale on wcale nie wygląda uroczo.

– Może kieliszek szampana?

– Nie. Naprawdę muszę już iść.

– Jest tu twoja przyjaciółka Cecile. Wiedziałaś o tym?

– To nie jest moja przyjaciółka. – Próbuję go obejść, ale on znowu zagradza mi drogę.

– Nie chciałabyś zarobić trochę pieniędzy, Sophio? – Kiedy wypowiada moje imię, mam wrażenie, że oślizgły wąż oplatał mi ramię. – Słyszałem, skąd pochodzisz.

Widziałem twój dom rodzinny. Nie macie za dużo pieniędzy. A ja mógłbym cię poznać z odpowiednimi ludźmi, nauczyć, jak sprzedawać swoją historię.

– Nie naopowiadał pan już dość kłamstw?

Getty wybucha długim, gardłowym śmiechem.

– Mamy tu, jak widzę, szlachetnego krzyżowca. Prawda, uczciwość i sprawiedliwość? Jasne, Marc nie zdecydowałby się na mniej. Powiedz mi, Sophio, jaki on jest w łóżku?

Ręce zaczynają mi drżeć; próbuję znowu go wyminąć, a on znowu blokuje mi drogę.

– Związuje cię i daje klapsy, tak jak innym kobietom?

Rozglądam się po holu, ale jesteśmy sami. Za blatem recepcji nikogo nie ma. Czy Getty to zaplanował? Ja w pustym holu?

– Możesz być pewna, Sophio, że jesteś dla niego tylko nowością. Zabawką. Nie przetrwasz. Żadna nie przetrwała. Sprzedaj swoją historię i zarób na niej trochę pieniędzy, póki jeszcze możesz. Jak już mówiłem, znam Marca już bardzo długo.

– Zbyt długo. – Echo tych słów odbija się od ścian holu. Za plecami Getty'ego pojawia się Marc. – Odejdź od niej.

Getty się odwraca. Oczy omal nie wyskoczą mu z głowy.

– No, no. Bohater chwili. A ty tak naprawdę nie jesteś bohaterem. Prawda? – Mówi jeszcze szybciej niż zwykle, a jego twarz zbladła jak papier.

– Chyba nie tobie wypowiadać się na temat heroizmu. Zejdź jej z drogi. Ale już.

Getty odsuwa się na bok. Jego oczy naprawdę zaraz wyjdą mu z czaszki.

– Wybacz. Wykonuję tylko swoją pracę.

– Więc rób to gdzie indziej.

– To wolny kraj.

Getty wyciąga przed siebie aparat i robi zdjęcie, zanim któreś z nas ma czas zareagować.

Błysk flesza oślepia mnie na moment, ale Marc rzuca się do przodu, odpycha Getty'ego i przyciąga mnie do siebie, a potem ciągnie w stronę drzwi.

– Do diabła z nim! – krzyczy, kiedy zbiegamy ze schodów do czekającej limuzyny. Marc otwiera drzwiczki i pomaga mi wsiąść. Opadam na skórzane siedzenie i słyszę, jak za nami zatrzaskują się drzwiczki. – Nie pozwolę mu tego zrobić. Nie tym razem.

Rozdział 32

Samochód rusza, rzucając mnie na skórzaną kanapę.

Marc siada naprzeciw mnie, pochyla się i bierze mnie za ręce.

– Nic ci nie jest?

Przełykam.

– Trochę się zdenerwowałam.

– Chryste, jestem takim idiotą. Powinienem to przewidzieć. Znam Getty'ego dość długo.

– Skąd? – pytam. – On też mówił, że cię zna. Jak go poznałeś?

Marc kręci głową i puszcza moje ręce.

– To bez znaczenia. – Patrzy w okno w mruczy: – Skąd on wiedział, że tu jesteś?

– Może to zbieg okoliczności? – mówię. – Wydaje mi się, że to on przywiózł tu Cecile.

– Nie ma czegoś takiego jak zbieg okoliczności. Nie w przypadku Getty'ego. Nie, on wiedział. Dlaczego z tobą nie zostałem? Myślałem… myślałem, że GMQ jest bezpieczne. Getty nie ma tam żadnych powiązań. Byłem tego pewny. Chryste, jestem takim głupcem. A teraz on ma nasze zdjęcie.

– Czy takie złe? – mówię. – Może teraz zostawi nas w spokoju.

Marc się śmieje.

– Zostawi nas w spokoju? Tak długo, jak będzie mógł zarabiać na naszych zdjęciach, będzie je robił. A jeśli gazety stracą zainteresowanie faktami, będzie sam fabrykował swoje historie. Zrobi wszystko, żeby mi dopiec.

– Ale dlaczego? Dlaczego chce ci dopiec?

– Powiedzmy, że mamy wspólną przeszłość i tam to zostawmy.

– Dokąd jedziemy? – pytam, kiedy samochód wyjeżdża z centrum Londynu.

– Do jedynego miejsca, w którym mogę ci zapewnić bezpieczeństwo. Do mojego domu.

– Ale mówiłeś przecież… Czy nie masz tam gościa?

– Cóż, będziemy jakoś musieli sobie z tym poradzić.

Marc patrzy przez okno i nic więcej nie mówi.

Rozdział 33

Na parkingu przy domu Marca grupa fotoreporterów przepycha się i walczy o najlepsze pozycje. Na ich widok kulę się na siedzeniu. Szyby są przyciemnione, ale i tak mam wrażenie, że mogą mnie zobaczyć.

Kiedy dostrzegają limuzynę, ruszają do nas biegiem, przytykając aparaty do szyb i uderzając w okna.

– Marc! Marc! Czy Sophia jest tam z tobą?

– Czy to prawda, że ona jest z tobą tylko dla sławy?

Przypominam sobie słowa Arabelli: „ptak w klatce". Dokładnie tak się czuję. Jak bardzo przestraszony ptak w klatce.

Marc z niepokojem marszczy czoło i szybko siada obok mnie. Obejmuje moje drżące ramiona, a ja ukrywam twarz na jego piersi, usiłując odciąć się od tych krzyków i uderzeń. Przejeżdżamy przez bramę; dziennikarze się zatrzymują. Pewnie wiedzą, czym grozi wtargnięcie na teren prywatny. Widzę ich przez tylną szybę, krążą przy wjeździe z aparatami zwisającymi z rąk.

Kiedy wjeżdżamy do garażu, słońce znika i widzę już tylko ciemność i beton.

– Jak długo będziemy musieli tu zostać? – pytam. – W ukryciu?

– Kilka tygodni. Kilka miesięcy. To zależy.

– Kilka miesięcy?

– Sophio, po prostu chcę, żebyś była bezpieczna – szepcze Marc w moje włosy. – Tu mogę się tobą zaopiekować. Całe lata pracowałem nad systemem alarmowym.

Kiwam głową i wysiadam z samochodu w ciemną, podziemną przestrzeń. Jego słowa powinny dodać mi otuchy, ale… nie chcę tkwić w domu, bez względu na to, jak jest bezpieczny, przez całe tygodnie albo i miesiące. Potrzebuję słońca.

W garażu stoją samochody Marca, lśniące i kosztowne. Niemal słyszę pomruk silników.

Jego ford mustang parkuje w kącie, błyszczy i zdaje się rwać do biegu. Znowu widzę też tamten żółty samochód. Ten, który w ogóle do Marca nie pasuje. Za moimi plecami skórzane buty Marca stukają o beton posadzki.

– Nadal nie powiedziałeś mi, dlaczego zatrzymałeś samochód ojca – mówię i odwracam się do niego.

– Lepiej mieć wrogów na oku, czy nie tak powiedziałem?

– No tak, ale to niewiele wyjaśnia.

– Nie lubię mówić o przeszłości.

– Marc, ja chcę naprawdę cię poznać. Jeśli to ma być prawdziwy związek, będziesz musiał bardziej się otworzyć.

– Nie zostawisz tego w spokoju, co? – Marc idzie w stronę schodów.

– Pewnie nie. – Doganiam go i biorę za rękę. – Opowiedz mi o swoim ojcu. Jak umarł?

– Na raka – rzuca krótko Marc. – Dawno temu.

– A ty… nigdy nie żałowałeś, że tam nie byłeś? Na jego pogrzebie?

– Nie. Jedyne, czego żałuję w związku ze swoim ojcem, to że lepiej nie chroniłem przed nim siostry.

– Ale przecież byłeś wtedy młodym chłopcem. Właściwie dzieckiem.

– To nie zmienia tego, jak się z tym czuję. – Marc zaciska wargi.

– Więc opowiedz mi o tym samochodzie.

– Zatrzymałem samochód, bo ojciec kupił go za pieniądze, które zarobiłem jako dziecko. Czy to jest lepsze wyjaśnienie?

– Trochę… ale nie do końca.

Marc wypuszcza powietrze.

– Co pamiętasz ze swojego dzieciństwa?

– Mnóstwo rzeczy. Zabawy z Jen. Mecze, na które zabierał mnie dziadek. Przedstawienia szkolne. Boże Narodzenie. Obozy w lesie. Złe rzeczy też… Śmierć mamy i to, co działo się po tym z ojcem. Ale staram się na tym nie skupiać.

– Wszystko, co ja pamiętam ze swojego dzieciństwa, to praca. Ten samochód został kupiony za pieniądze, które za nią dostałem. Więc chyba można powiedzieć, że ten samochód to moje dzieciństwo.

– To… trochę smutne, ale też w jakiś sposób piękne – mówię, ściskając go za rękę. – Więc dlatego go trzymasz? Bo nie chcesz pozwolić, żeby twoje dzieciństwo odeszło?

– Nie. Trzymam go, bo nie chcę zapomnieć, co zrobił mi własny ojciec. Chcę mieć coś, co stale będzie mi o tym przypominało.

– Marc, czy to na pewno jest zdrowe?

Marc wzrusza ramionami.

– Pewnie nie. Ale taki już jestem.

– A ja takiego cię kocham.

Jesteśmy u szczytu schodów, kiedy Marc odwraca się nagle, obejmuje mnie ramionami i zaczyna całować, długo, powoli. Przywieram do niego, czując ruchy jego ust i języka, który muska i pieści moje wargi. Zatracam się w świecie zmysłów – dłoni Marca, które przesuwają się w dół moich pleców, jego piersi przyciśniętej do mojego ciała i jego pięknego zapachu.

Ten pocałunek jest taki czuły. Tak zupełnie inny od tego, jak Marc zwykle mnie całuje – choć w nim też wyczuwam głód.

Nagle Marc odsuwa się ode mnie, a ja chwieję się na nogach, zdezorientowana. Czuję się jak oszołomiona uczennica. Marc obejmuje mnie ramieniem, otwiera drzwi do domu i wprowadza do wielkiego holu.

– Za co ten pocałunek? – pytam z uśmiechem.

– Narzekasz? – Marc unosi jedną brew.

– W żadnym razie.

– Powiedzmy, że uderzyło mnie, jak bardzo potrafiłem pokochać kobietę w tak krótkim czasie.

Uśmiecham się szerzej.

– Ja też cię kocham.

Widzę znajome ryciny z budynkami na ścianach, i czerwony dywan, ciągnący się aż na schody.

W kuchni słychać jakiś brzęk.

– Marc? – woła czyjś głos. Kobiecy, lekki i melodyjny.

Rozdział 34

Twój gość? – mówię i mam nadzieję, że w moim głosie nie ma zazdrości.

Marc kiwa głową.

– Kto to jest?

Marc nie odpowiada. Zamiast tego obejmuje mnie w pasie i wchodzimy razem do kuchni.

– Wstałaś. Myślałem, że będziesz jeszcze w łóżku.

W łóżku?

Przy kuchennym blacie widzę wysoką, szczupłą kobietę o bardzo długich brązowych włosach, które opadają jej do pasa. Przez materiał zwiewnej, kwiecistej sukienki widać kości jej kolan i barków.

Oczy ma bladoniebieskie, a wokół nich zmarszczki, jakby się czymś martwiła.

Na widok Marca zaczyna płakać – głęboki, niepowstrzymany szloch wstrząsa jej szczupłą piersią.

– Marc, och, Marc… tak mi przykro. Tak bardzo, bardzo mi przykro.

Marc podchodzi do niej, a ona obejmuje go w pasie ramionami.

– Powiedziałam im, gdzie jesteś, Marc. Ale naprawdę nie chciałam. Zadzwonili tu… Udawali, że są z college'u. Więc im powiedziałam, gdzie jesteś. Gdzie się wybierasz.

Podnosi głowę i wtedy mnie zauważa.

– Och! Ty musisz być Sophia. – Próbuje się uśmiechnąć. – Tak mi przykro. Co za zamieszanie.

Marc odwraca się do mnie.

– Sophio – mówi łagodnie. – To jest moja siostra, Annabel.

Przypominam sobie rodzinne zdjęcie w pudle na piętrze i ciemnowłosą dziewczynę, którą na nim widziałam. Ta kobieta jest do niej bardziej niż podobna. Ale na odwrocie fotografii były imiona Joan, Mike'a, Marca i Emily. Żadnej Annabel. Czy Marc ma jeszcze jedną siostrę?

Annabel odsuwa się od brata i odgarnia włosy z twarzy. Na lewym policzku, koło ucha, ma długi fioletowy ślad.

Marc też go dostrzega i przykuca, unosząc dłonią brodę Annabel.

– Jeśli to się wkrótce nie zagoi, wzywam lekarza.

Annabel odwraca głowę.

– Tym razem musisz odejść od niego na dobre – mówi Marc. – Rozumiesz? Nie możesz do niego wrócić. Nie obchodzi mnie, że on chce się z tobą ożenić. Musisz myśleć o swoim synu.

– Wiem. Wiem, Marc.

Wstaje ze stołka.

– Sophio, tak mi przykro. – Wygląda tak, jakby ledwo była w stanie utrzymać się na nogach. – Tak chciałam być zdrowa, kiedy się spotkamy, ale… znowu jestem wrakiem.

– Wszystko w porządku, naprawdę. – Jest tak krucha, że mam ochotę się nią zaopiekować. Otulić ją ciepłym ubraniem i porządnie nakarmić.

Kiedy podchodzi do mnie z wyciągniętą ręką, lekko się potyka, więc rzucam się, żeby ją podtrzymać. Marc robi to samo. Chwytamy ją oboje, ja wpół, Marc za ramiona.

– Musisz odpocząć – mówi Marc.

– Musisz coś zjeść – mówię, pomagając jej z powrotem usiąść na stołku. – Zrobię ci zupę.

– Nie, proszę. – Annabel kręci głową. – Naprawdę, co ty sobie o mnie pomyślisz? Tak bardzo chciałam zrobić na tobie dobre wrażenie. – Patrzy na Marca i uśmiecha się słabo. – Na dziewczynie, dzięki której mój brat jest w siódmym niebie.

– Pozwól, żebym ci coś przyrządziła – mówię, upewniając się, że stabilnie siedzi na stołku. – Chociaż herbatę. Albo gorący bulion.

Podchodzę do lodówki – jest wypchana różnymi delikatesami: jest mięso z krabów, dojrzewająca szynka, wędzony łosoś i koszyk egzotycznych owoców przewiązany wstążką.

– Masz może rosół z kurczaka? – pytam Marca.

Marc podchodzi do mnie i zagląda do lodówki.

– Rodney zrobił zapasy, na wypadek gdyby Annabel miała ochotę coś zjeść. Ale nie wiem, czy na jego radarze pojawił się rosół.

– Myślisz, że mogłabyś zjeść trochę zupy? – pytam Annabel.

– Mogę spróbować. – Annabel uśmiecha się słabo do Marca. – Ona jest piękna, Marc. Tak jak mówiłeś. Na zewnątrz i w środku. Rozumiem, dlaczego ci się spodobała.

Uśmiecham się do siebie w duchu i zerkam na Marca, ale on nie pokazuje po sobie niczego, więc zaczynam otwierać i zamykać szafki w poszukiwaniu solidnych, rozgrzewających pokarmów – takich, na jakie masz ochotę, kiedy jesteś chory i roztrzęsiony. Nie wiem, co dolega Annabel, ale rosół z kurczaka pomaga na większość kłopotów.

W szafkach są jednak tylko ekstrawaganckie pasty do pieczywa, egzotyczne przyprawy, specjalistyczne mąki i ciepły szampan.

Wracam do lodówki i znajduję paczkę pieczonych udek z kurczaka z Harrodsa i trochę świeżego estragonu. Na drzwiach są też resztki jarzyn: pęczek marchewki z długimi liściastymi łodygami, kawałek kapusty i paczka ziemniaków Royal Jersey.

Kiedy grzebię w szafce, szukając mąki, zauważam, że Marc obserwuje mnie z lekkim uśmiechem na twarzy.

– Rosół z kurczaka – mówię, zaczynając kroić warzywa na marmurowej płycie. – Upiekę też chleb.

Rozdział 35

Dzięki świetnej organizacji Rodneya w kuchni pracuje się łatwo, i wkrótce na kuchence gotuje się rosół a w piekarniku piecze się chleb.

Podaję Annabel miseczkę zupy, a ona bierze łyżkę i uśmiecha się.

– Mm – mruczy. – Od dawna nie jadłam czegoś takiego. – Patrzy na Marca. – Założę się, że ty też nie. Domowy posiłek.

– Przeciwnie – mówi Marc. – Zaledwie wczoraj Sophia ugotowała dla mnie obiad. W domu swojego ojca.

– Jeśli był tak pyszny jak ta zupa, to szczęściarz z ciebie – mówi Annabel.

– Był wyśmienity.

Rumienię się, kiedy Marc to mówi. Jadał pewnie w najlepszych restauracjach świata, a mimo to smakuje mu moja kuchnia.

– Myślisz, że dasz radę zjeść trochę chleba? – pytam Annabel i pochylam się, żeby zajrzeć do piekarnika.

– Pachnie tak pięknie – mówi Annabel. – Bardzo chętnie.

Wyciągam bochenek z piekarnika i odcinam małą kromkę dla Annabel. Nie smaruję jej masłem – to byłaby może przesada – ale Annabel wydaje się zadowolona, kiedy zanurza go w zupie.

Teraz ma zaróżowione policzki i siedzi bardziej wyprostowana.

– Co ty sobie musisz o mnie myśleć, Sophio? – mówi, skrobiąc łyżką o dno miseczki. – Dorosła kobieta w tak opłakanym stanie.

Myślę o tym, co powiedziała mi Jen, zanim zaczęłam studiować w Ivy College. O tym, że siostra Marca jest uzależniona od heroiny. Ale nawet jeśli to prawda, nie dbam o to. Nie osądzam innych ludzi. Zastanawiam się jednak, jaki związek ma z tym wszystkim Giles Getty.

– Nie mów o sobie w taki sposób – proszę Annabel. – Pomyśl o swoim synku, nie chciałby, żeby mama tak o sobie myślała.

Po policzku Annabel spływa łza.

– Nie jestem matką. Mój syn jest w rodzinie zastępczej.

– Boże, bardzo ci współczuję – mówię. – To musi być dla ciebie okropne.

Annabel kiwa głową i pociąga nosem.

– To był mój wybór. Poprosiłam, żeby go zabrali. Do czasu, kiedy się wyleczę i uwolnię od jego ojca, tam będzie mu lepiej. Tym razem musi mi się udać. Musi, bo inaczej zabiorą mi go na zawsze.

– Teraz powinnaś się przespać. – Marc marszczy brwi. – Potrzebujesz odpoczynku.

– Tak. – Annabel zsuwa się ze stołka. – Bardzo ci dziękuję, Sophio. Nie tylko za jedzenie. – Spogląda na mnie wielkimi, poważnymi oczami. – Za twoją troskę.

– Pomogę ci – mówi Marc.

– Nie, nie. – Macha ręką. – Proszę. I tak już źle się czuję, że spotkałam się z Sophią akurat w takim dniu. Zostańcie tu. Poradzę sobie – uśmiecha się do niego słabo. – Wiesz, że sobie poradzę. Nieraz widziałeś mnie w takim stanie.

– I za każdym razem bardzo się o ciebie boję.

– Wiem – mówi Annabel, kuśtykając do drzwi. – I za to cię kocham.

– Dlaczego mi nie powiedziałeś? – pytam łagodnie, odnosząc miseczkę Annabel do zlewu.

– Czego? – Marc siada na stołku, z jedną nogą zwisającą nad podłogą.

– Że to siostra jest twoim gościem. I że jest chora.

– Chora? Różnie można to nazwać.

– Wyobrażałam sobie różne rzeczy.

– Och? – Marc unosi jedną brew. – Byłaś zazdrosna?

Patrzę w podłogę.

– Może. Trochę. Umysł płatał mi różne figle.

Marc wybucha długim, niskim śmiechem, a mnie robi się ciepło w środku.

– Zawsze myślałem, że takie mroczne uczucia to domena ludzi takich jak ja.

– Może nie jestem takim aniołem, jak ci się wydaje.

– Jesteś aniołem. Ale może nie będziesz, kiedy już z tobą skończę.

– To znaczy?

– Myślę, że dokładnie wiesz, co to znaczy.

Żołądek podchodzi mi do gardła i czuję, że ogarnia mnie ta fala ciepła, roztapiająca całe ciało, która sprawia, że rzucam się w ramiona Marca, kiedy tylko pstryknie palcami. Opieram się jej tym razem. Musimy omówić kilka ważnych spraw.

– Nie rozumiem, dlaczego to musi być taka wielka tajemnica – mówię. – Czy to z nią rozmawiałeś przez telefon? Kiedy byliśmy w hotelu?

Marc patrzy na mnie i powoli kiwa głową.

– I to z nią musiałeś się tak pilnie spotkać? To ona jest tą osobą, która ma ci pomóc na przyszłość?

– Chcę, żeby Annabel wyszła na prostą. Uwolniła się od tego faceta i zaczęła normalnie żyć. Dopóki to się nie stanie, zawsze będzie we mnie złość. A dopóki będę zły… między nami będzie jakaś bariera.

– Więc dlaczego mi o tym nie powiedziałeś?

Marc rozkłada ręce.

– Nie chciałem, żebyś miała do czynienia z… z czymś takim. Tak szybko. Chciałem, żebyś poznała Annabel, kiedy już z tego wyjdzie.

– Wyjdzie? Z czego?

– Z uzależnienia od heroiny. – Marc opiera brodę na łokciu, nie spuszczając ze mnie wzroku.

– Słyszałam o tym – mówię. – Ale nie wiedziałam, czy to prawda.

– Prawda. W tej chwili przechodzi detoks. Dzień czwarty. Jest już światełko na końcu

tunelu.

– Jak możemy jej pomóc?

Marc uśmiecha się i kręci głową.

– I ty się zastanawiasz, dlaczego cię kocham? Ona nikim dla ciebie nie jest, a jednak chcesz jej pomóc. Większość ludzi pomyślałaby: „narkomanka”, i uciekła z krzykiem.

– Oczywiście, że tak nie myślę. Ona jest ludzką istotą. Wszyscy mamy swoje problemy. I tak, chcę pomóc, jeśli mogę. To twoja siostra. Dlaczego miałabym jej nie pomóc?

– Do tego trzeba czegoś więcej, Sophio, niż kilku talerzy zupy. – Marc obejmuje głowę rękami. – Przepraszam. Źle to zabrzmiało. Nie chciałem… – Podnosi głowę. – To wspaniałe, co dla niej zrobiłaś. Ale zmagamy się z tym od lat. Wielu lat. Ona chce to rzucić, ale coś zawsze przyciąga ją z powrotem. Nie, nie coś. Ktoś. Jej chłopak.

– Ten, którego uderzyłeś? – Słowa wychodzą z moich ust, zanim mam czas je powstrzymać.

Rozdział 36

Marc szeroko otwiera oczy.

– Skąd…

– Jen – mówię. – Ona pracuje w agencji PR, pamiętasz?

– Och, no tak. Ten mały buldog. Oczywiście. Z pewnością zna się na rzeczy. Była moją główną podejrzaną, kiedy prasa dowiedziała się, gdzie jesteśmy.

– Jen?! – Jestem oburzona. – Ona nigdy nie zrobiłaby czegoś takiego. Jesteśmy jak siostry. Jak mogłeś w ogóle tak pomyśleć?

Marc uśmiecha się seksownie.

– Zazdrosna złośnica? Mam dzisiaj okazję zobaczyć pani inną stronę, panno Rose. – Wypuszczam powietrze.

– To był ciężki dzień.

– Rozumiem. – Marc podnosi ręce, ciągle się uśmiechając. – Może ja nie nabieram zaufania tak łatwo jak ty. Ale nie martw się. Dostałem nauczkę. To jasne, że Jen wiele dla ciebie znaczy. Cofam swoje słowa.

– Dziękuję. – I dodaję z wahaniem: – Marc?

– Tak?

– Kto to jest Emily?

Marc patrzy na mnie przez chwilę.

– Jak się…

– Widziałam to imię na waszym rodzinnym zdjęciu. W pudle w twojej sypialni. Masz jeszcze jedną siostrę?

– Nie. – Marc kręci głową. – Emily to imię, które mama nadała mojej siostrze. Ale kiedy mama zmarła, a my przeprowadziliśmy się do Stanów, ojciec je zmienił. Emily było dla niego zbyt proste.

– To… okropne – mówię. – On wydaje się trochę… szalony.

– Nie szalony, tylko nieprawdopodobnie skupiony na sobie. To najgorszy przykład ludzkiej istoty.

Rozlega się wibrujący dźwięk i Marc wyciąga z kieszeni telefon. Marszczy brwi na widok numeru, ale odbiera.

– Minty. Tak. Tak, słyszałem. – Mocniej marszczy czoło, brwi zbiegają się u nasady jego nosa. – Więc sądzili, że załatwią to przeze mnie? Cóż, tak się składa, że Sphia tu jest. Nie, to nie będzie konieczne. Nie ma żadnej decyzji, jaką mogłaby podjąć. Powiedz im, że nie przyjmie tej roli.

Rozłącza się.

– Marc? – Czuję się bardzo nieswojo. – Co się właśnie stało?

– Dzwonili z musicalu *Piękna i Bestia*. Nie mogli się skontaktować z tobą, więc

zamiast tego zadzwonili do mojego PR-u.

– A ty… co im właściwie powiedziałeś?

– Przecież słyszałeś, co jej powiedziałem.

– Powiedziałeś, że… nie wezmę tej roli? Nie pytając mnie o zdanie? Czy ja dobrze słyszę?

– Bardzo dobrze. To nie jest bezpieczne.

Cofam się, ale nie wiem, gdzie się zwrócić czy pójść.

– Jak mogłeś… Nie miałeś prawa.

– To dla twojego dobra, wierz mi.

Podchodzi do mnie, ale ja znowu cofam się o krok i potrząsam głową.

– Nie mogę uwierzyć, że to zrobiłeś. Marc, ja muszę do nich zadzwonić. Powiedzieć im, że to nie była moja decyzja.

– Nie widzę powodu, żebyś miała to robić.

– Nie widzisz powodu? – Jestem tak zła, że słowa z trudem przechodzą mi przez gardło. – Nie widzisz powodu? – Mam wrażenie, że lecę gdzieś w przestrzeń, wszystko wokół się rozmywa. – Nie mogę być teraz przy tobie – słyszę własne słowa. – Muszę zostać sama.

Wybiegam z kuchni na korytarz, ale zaraz dociera do mnie, że nie mam dokąd uciec. Na zewnątrz czekają paparazzi.

Zawracam w holu.

– Sophio… – Marc pojawia się obok mnie.

– Nie zbliżaj się teraz do mnie. Mówię poważnie. Nie jestem dzieckiem. Kto ci dał prawo… Czy ty w ogóle mnie szanujesz?

Wydarzenia tego dnia wracają do mnie wszystkie naraz i nagle przypominam sobie słowa Gilesa Getty'ego.

Jesteś dla niego tylko zabawką.

– Sophio, musisz zrozumieć…

Podnoszę dłoń.

– Proszę, przestań się tłumaczyć.

Marc patrzy na mnie długą chwilę, wsuwając ręce do kieszeni. Nie wydaje się zły, tylko… rozczarowany. Zamyślony. Jakby miał ochotę udzielić mi reprymendy, ale nie wie za bardzo jak. U nasady jego nosa pojawiają się zmarszczki.

– Więc chcesz zostać sama? – pyta w końcu.

– Muszę pomyśleć… – Ale prawda jest taka, że nie jestem w stanie. Nie, kiedy jestem tak wściekła.

– Jak sobie życzysz. – Marc mija mnie i idzie do drzwi garażu. Kładzie rękę na klamce. – Na górze jest Rodney. Dostarczy ci wszystko, czego będziesz potrzebowała. Jeśli chcesz być sama, możesz skorzystać z mojej sypialni. Znasz drogę.

– Wychodzisz? Dokąd?

– Żeby zostawić ci więcej przestrzeni. Zadzwonię później.

Drzwi zamykają się z trzaskiem; słyszę ryk silnika – szybkiego, sportowego.

Zostaję w holu sama, zaskoczona i bardzo, bardzo zagubiona. Wiem, powiedziałam, że chcę być sama, ale Marc wyszedł w taki sposób… że jestem teraz jeszcze bardziej zła.

Rozdział 37

Siedzę na łóżku Marca jak nadąsana nastolatka i gapię się na telefon. Mimo wszystko czekam na jego telefon. Ale przecież powinnam wiedzieć, że Marc nie rzuca słów na wiatr. Naprawdę daje mi przestrzeń, przynajmniej na razie.

Piszę esemes do Jen:

„Marc postanowił właśnie, że nie powinnam przyjąć roli w dużym musicalu *Piękna i Bestia*. Nawet mnie nie spytał".

Jen odpowiada:

„Co?!!! To duża rola. Co za jaskiniowiec. Nie może tak robić. Proszę, napisz, że posłałaś go do diabła".

Odpisuję:

„Pokłóciliśmy się i on wyszedł. Zdaje się, że nie zrozumiał, o co mi chodzi".

I znowu Jen:

„Faceci. Wszyscy są stuknięci. A mówią, że to z kobietami jest coś nie tak".

Czytam właśnie ostatnią wiadomość od Jen, kiedy słyszę ciche pukanie do drzwi.

– Sophio? To ja, Annabel. Mogę wejść?

Wstaję z łóżka i uchylam lekko drzwi.

– Nie miałam zamiaru się zamykać – mówię. – Ale mam wiele rzeczy do przemyślenia.

– Czy mój brat coś zrobił? – Patrzy na mnie wielkimi, zatroskanymi oczami. Wygląda lepiej niż wcześniej, pewniej trzyma się na nogach. Ale nadal jest taka krucha.

– Podjął decyzję za mnie, nie pytając mnie o zdanie. Wiem, że miał na uwadze moje dobro, ale to nie w porządku.

Annabel kiwa głową, która chwieje się jak u kukiełki.

– Mogę wejść?

Otwieram drzwi szerzej.

– Proszę.

Annabel siada na łóżku.

– Nie chcę, żebyście się kłócili.

– Właściwie się nie kłócimy – mówię, siadając obok niej. – On wyszedł.

– To typowe dla mojego brata. Ucieka, kiedy sytuacja robi się zbyt trudna. Tak sobie próbuje poradzić. Ale pomyśl o tym tak: gdyby taki nie był, może skończyłby tak jak ja.

Patrzy w dół, na swoje szczupłe dłonie. Zauważam sińce na jej palcach.

– Nie traktuj się tak surowo – mówię. – Tobie też przecież nie było łatwo.

– Nigdy nie słyszałam, żeby o kimkolwiek mówił tak jak o tobie. Zmienił się od czasu, kiedy go ostatnio widziałam. Słyszę to w jego głosie – mówi Annabel. – Widzę w jego twarzy. Wydaje się łagodniejszy. Delikatniejszy. To musi być twój wpływ.

Kręcę głową.

– Chciałabym mieć na niego taki wpływ. Ale… teraz dość łatwo przyszło mu po prostu mnie zostawić.

– On ma własne problemy. Ale to, jak o tobie mówi… dla niego jesteś aniołem. Ocalasz go.

– Gdybym była aniołem, nie bywałabym zazdrosna, zła i przerażona. Albo zdezorientowana.

– Wiesz, Marc nie jest taki skomplikowany, jak może się wydawać – mówi Annabel. – On też się boi. To, że próbuje zawsze nad wszystkim przejąć kontrolę, to jego sposób, żeby sobie z tym poradzić.

Myślę o tym, co powiedziała. To ma sens. Marc chyba boi się, że mogłabym przyjąć tę rolę. Boi się, że straci kontrolę i coś mi się stanie. Ale ja nie potrafię tak żyć.

– Słuchaj, zostawię cię teraz, żebyś się nad wszystkim zastanowiła – mówi Annabel i wstaje z łóżka, ziewając szeroko. – Idę się jeszcze przespać. Cokolwiek się stanie, bardzo się cieszę, że Marc cię poznał.

Wychodzi z pokoju.

Ja znowu sprawdzam telefon, na wypadek gdyby jakimś cudem Marc dzwonił, a ja tego nie usłyszałam. Nie dzwonił, ale po rozmowie z Annabel trochę złagodniałam.

Wystukuję wiadomość.

„Przykro mi, że się pokłóciliśmy. Możemy porozmawiać?”

Odpowiedź przychodzi natychmiast.

„Już wracam do domu”.

Nie ma buziaków, ale Marc nie przesyła buziaków. Wzdycham. Kiedy już wróci, wszystko razem poukładamy. Na pewno wszystko zrozumie. Wiem, że muszę się o to postarać. Bo jeśli nie zrozumie… och, nie jestem nawet w stanie o tym myśleć.

Rozdział 38

Wydaje mi się, że siedząc w pokoju Marca, zwariuję, więc schodzę na dół, ściskając w ręce telefon.

Annabel chyba ciągle jeszcze śpi, bo w kuchni ani w salonie nikogo nie ma. W domu Marca jest dość ciepło, a jednak wydaje mi się chłodny. Nie wiem dlaczego. Ryciny z budynkami nie dodają mu ciepła ani brak kolorów. Zasłony i rolety są kosztowne, ale gładkie. Nie przyciągają uwagi. Jakby dom został urządzony na potrzeby konferencji biznesowych.

Idę do kuchni. Przez drzwi na patio dostrzegam, że ogród ciągle jest zarośnięty i bardzo przydałoby mu się trochę uwagi i uczucia. Bluszcz wspina się na drzewa i mury. Jest piękny, ale trzeba go nieco przyciąć i nadać mu kształt.

Drzewa to głównie cisy i ostrokrzew, więc ciągle są bujne i zielone, ale rosną zupełnie dziko, a ich zielone liście zasłaniają światło.

Telefon w mojej ręce wibruje. Odbieram natychmiast, w nadziei że to Jen albo Marc.

– Witam. – Głos jest wytworny. Pretensjonalny. I kobiecy. – Czy to Sophia Blackwell?

– Tak – mówię. – Sophia.

– Mówi Davina Merryweather.

Następuje chwila ciszy, więc domyślam się, że powinnam rozpoznać moją rozmówczynię. Ale nie mam pojęcia kto to taki.

Słyszę uprzejme chrząknięcie.

– Reżyseruję musical *Piękna i Bestia* w Tottenham Theatre.

– Och. – Moja ręka trzęsie się trochę, więc przytrzymuję ją drugą. – No tak. Oczywiście. Tak, słyszałam… Miło mi. Skąd ma pani mój numer?

– Mam swoje sposoby. – Słyszę, jak uśmiecha się do słuchawki. – Proszę posłuchać, chciałam porozmawiać z tobą osobiście. Byłam bardzo zawiedziona, że nie przyjęłaś tej roli. I pomyślałam sobie… – parska krótkim śmiechem – …że może zdołam cię przekonać. Mamy coraz mniej czasu, a ludzie z marketingu uważają, że świetnie się nadajesz.

Odchrząkam.

– Prawdę mówiąc, nigdy nie powiedziałam, że nie wezmę tej roli. Mój… to znaczy Marc odpowiedział za mnie.

– Doprawdy?

– Uznał, że działa w moim najlepszym interesie.

– Bardzo w stylu lat pięćdziesiątych.

– Tak. Więc… cóż, ja nie podjęłam dotąd żadnej decyzji co do tego.

– Więc jesteś zainteresowana?

– Zainteresowana, tak. Ale ciągle jeszcze się zastanawiam. Czy może mi pani dać

trochę czasu?

– Ale niezbyt wiele. Musimy znać odpowiedź do końca dnia. Do szóstej wieczorem.

– Rozumiem.

– Cóż… mój numer z pewnością pokazał się na twoim telefonie. Zadzwoń do mnie, kiedy podejmiesz decyzję.

Połączenie zostaje przerwane.

Odsuwam telefon od ucha i dopiero teraz w pełni dociera do mnie, że przed chwilą rozmawiałam z Daviną Merryweather. Widziałam ją lata temu w filmie dokumentalnym BBC o teatrze muzycznym. Chyba jest bardzo sławna. Ciekawa jestem, czy Denise Crompton ją zna.

Żałuję, że nie mam więcej czasu, żeby to przemyśleć. Dzisiaj do szóstej… To bardzo mało.

Jest późne popołudnie i Londyn jest skąpany w różowej poświacie, ale w ogrodzie Marca światło ginie w gęstwinie drzew.

Dostrzegam parę zielonych kaloszy przy drzwiach patia i wsuwam do nich stopy. Są kilka numerów za duże, ale muszą wystarczyć. Domyślam się, że należą do Rodneya. Pewnie wkłada je, kiedy musi brodzić w mokrej trawie, żeby wyrzucić śmieci.

W ogrodzie powietrze jest chłodne, ale niebo jasne i czyste. Rozglądam się dookoła, wdychając piękny zapach ziemi i roślin.

Trawa sięga mi kolan. Rośnie w niej mnóstwo mleczy, a małe patio przy drzwiach jest zielone od mchu. Zastanawiam się, czy stopa Marca kiedykolwiek tu postała. Pewnie nie. Jego domeną jest architektura. Nie przyroda.

W kącie stroi rozchwiana szopa z obluzowanymi drzwiczkami; w środku dostrzegam sekator, łopatę i packę.

Kiedy docieram przez mokra trawę do szopy, mam już w głowie plan uporządkowania ogródka.

Bluszcz zostaje, oczywiście. Jest piękny. Uwielbiam bluszcz, bo przez cały rok, nawet przy najgorszej pogodzie, jest zielony, srebrzysty i piękny. Ale drzewa trzeba przyciąć, żeby światło mogło się przez nie przedrzeć, a trawę przystrzyc, żeby słońce ogrzewało glebę. Wykopię też małą grządkę warzywną, jeśli wystarczy mi czasu, i poproszę Rodneya, żeby kupił trochę nasion i cebulek.

Biorę sekator i zaczynam przycinać gałęzie i pierzaste liście. Kiedy wokół robi się jaśniej, zabieram się do trawy. Nie ma kosiarki, więc strzygę ją sekatorem, posuwając się do przodu na kolanach.

Zostawiam kilka wyższych kęp z mleczami, które zdobią ogród. Potem wykopuję łopatą małą prostokątną grządkę i spulchniam ziemię, żeby słońce mogło się do niej dostać. Widzę sporo dżdżownic, więc wiem, że gleba jest zdrowa.

Kiedy się cofam, zarumieniona z wysiłku, z błotem za paznokciami, ogarnia mnie duma. Ogród wygląda o wiele lepiej. Lżej. Jaśniej. Piękniej. Nie jest idealny, ale przynajmniej trochę zadbany.

Czuję na sobie czyjś wzrok i odwracam się. Marc patrzy na mnie przez szybę, z rękami w kieszeniach.

Rozdział 39

Przygładzam włosy, nagle skrępowana, i ruszam do niego, ślizgając się w kaloszach, które spadają mi ze stóp.

– Może powinienem zatrudnić cię na pełny etat – mówi Marc, kiedy zamykam drzwi patia i tupię nogami na wycieraczce.

– Kogoś na pewno powinieneś zatrudnić – mówię. – To przestępstwo mieć taki ogród i z niego nie korzystać.

– Chcesz, żebym oddał twoją sukienkę do pralni?

– Och, cholera. – Patrzę w dół, na poplamioną trawą i ziemią sukienkę od Vivienne Westwood. Czasami praca w ogrodzie tak mnie porywa, że zapominam o podstawowych sprawach, takich jak jedzenie, picie czy zmiana ubrania. Sukienka nie jest zniszczona, ale trzeba ją wyprać. – Musimy porozmawiać.

– Dobrze.

Patrzymy na siebie.

– Miałaś czas, żeby pomyśleć? – pyta Marc.

– O czym?

– O tym, czy przyjąć tę rolę. O tym, jak nierozsądne by to było.

Kręcę głową.

– Nie mogę w to uwierzyć. Marc, czy ty w ogóle rozumiesz, dlaczego wcześniej byłam taka zła?

– Pewnie nie podobało ci się, że podjąłem decyzję za ciebie.

– Właśnie. – Podchodzę do zlewu i zmywam z rąk ziemię. – Może po prostu przeprosisz i ruszymy dalej?

– Nie rozumiem, dlaczego miałbym przepraszać za to, że chciałem zapewnić ci bezpieczeństwo. – Marc przysuwa sobie stołek.

– Wiem, że chcesz tego, co dla mnie najlepsze – mówię. – Ale w tej chwili nie jesteś moim nauczycielem. To jest prawdziwe życie. Musisz pozwolić mi dokonywać własnych wyborów.

– O ile są słuszne.

– Nie, Marc. Musisz pozwolić, żebym to ja decydowała, co jest dobre, a co nie. Moje decyzje nie zawsze będą słuszne. Ale musisz pozwolić mi popełniać własne błędy.

– To śmieszne – mówi Marc. – Najwyraźniej nie jesteś w nastroju do racjonalnej rozmowy. Więc przełóżmy ją do czasu, kiedy będzie możliwa.

Teraz już gotuję się z wściekłości. Jak on śmie?

– To jest racjonalna rozmowa. To właśnie to, co ty mówisz, jest bez sensu.

– Sophio, ta rozmowa jest bez sensu. Najwyraźniej się nie zgadzamy.

– Kiedy cię nie było, zadzwoniła do mnie Davina Merryweather – mówię.

– Zadzwoniła do ciebie? – Marc zrywa się ze stołka, który chwieje się pod nim gwałtownie.

– Owszem.

– I co jej powiedziałaś?

– To nie powinno mieć dla ciebie żadnego znaczenia. Ja podejmuję tę decyzję.

Marc uderza dłońmi o kuchenny blat.

– Chcesz powiedzieć, że przyjęłaś tę rolę na złość mnie? Sophio…

– Tak o mnie myślisz? Dzięki za zaufanie. Nie, nie przyjęłam tej roli na złość tobie ani z żadnego innego powodu. Powiedziałam jej, że muszę się zastanowić.

– To nie jest bezpieczne. Zwłaszcza że Getty się na nas zaczaił.

– Marc, on jest tylko fotoreporterem…

– Chcę cię tylko chronić. – Marc kołysze się na piętach. – Jeśli przyjmiesz tę rolę, znajdziesz się na obcym terenie. Sama. Bezbronna.

– Chcesz powiedzieć, że nie potrafię się o siebie zatroszczyć? Że jeśli ty nie będziesz się mną opiekował, z niczym sobie nie poradzę?

– Chryste. – Marc odrzuca głowę do tyłu i patrzy w sufit. – Sophio, naprawdę nie rozumiesz? Teraz, kiedy wyszliśmy z ukrycia, nie jest już bezpiecznie. Przywiozłem cię tutaj, żeby móc cię chronić.

– Więc nie wolno mi stąd wychodzić?

– Na razie rozsądniej byłoby, gdybyś nie wychodziła.

Znowu przypominają mi się słowa Gilesa Getty'ego.

– Jestem ludzką istotą, Marc, nie pieskiem pokojowym. Nie możesz mnie tu trzymać dlatego, że ty się boisz.

– Sophio, zachowujesz się jak dziecko.

– Mylisz się. Próbuję właśnie zachowywać się jak osoba dorosła. I żyć normalnym, dorosłym życiem. – Mijam go szybko. – Chcę zostać teraz sama. Możesz poprosić Keitha, żeby mnie gdzieś zawiózł?

– A dokąd się wybierasz?

– Nie wiem. Może do taty. Potrzebuję przestrzeni. Takiej, w której nikt nie będzie próbował kontrolować mojego życia.

– Kontrolować twojego życia? – Marc marszczy brwi. – Ja chcę tylko zapewnić ci bezpieczeństwo. – W jego niebieskich oczach dostrzegam ból.

– Naprawdę? Bo ja widzę kogoś, kto się boi. Tak bardzo się boi, że podejmuje decyzje w moim imieniu. – Przykładam rękę do czoła. – Potrzebuję przestrzeni.

– Pozwól przynajmniej, żebym ci coś zorganizował. U ojca nie będziesz bezpieczna. Getty może cię tam znaleźć.

Waham się. Nie chcę, żeby moja rodzina została w to wszystko wciągnięta.

– W porządku. Cóż. W takim razie znajdę sobie inne miejsce.

Marc robi krok w moją stronę.

Odwracam wzrok.

– Marc, proszę. Nie mogę…

– W Ivy College jest bezpiecznie. Wróć do swojego pokoju. Do nauki. Nie będę wchodził ci tam w drogę, jeśli tego nie chcesz. Będzie tak, jakbym nie istniał.

Znowu czuję ten ból w piersi. Nie chcę, żeby przestał istnieć. Boli mnie sama myśl o tym, że nie będę go widywała. Ale naprawdę muszę być teraz sama. Tutaj nie jestem w stanie logicznie myśleć. I wiem, że on ma rację co do Ivy College. Tam będę bezpieczna.

– W porządku.

Rozdział 40

Patrzę na szarą drogę przez szybę, kiedy Keith odwozi mnie do college'u. Nie rozmawiamy, co zwykle nam się zdarza. Zamiast tego gapię się w okno na uciekający w tył Londyn.

Zaczyna padać – najpierw drobne krople, ale po chwili niebo przybiera szary odcień i strugi deszczu biją wściekle w przednią szybę

– Piękna pogoda – zauważa Keith.

– Urocza – mruczę. Zabawne, jak zmienne jest życie. Tego ranka byłam pełna nadziei. Widziałam przed nami przyszłość. Teraz niczego nie jestem pewna. Mam wrażenie, że jakiś ciężar ciągnie moje usta w dół i ściska mnie w żołądku.

Chcę być z Markiem, ale jak ma się nam udać, jeśli on chce mnie trzymać w klatce i nie pozwalać mi dokonywać własnych wyborów?

Słyszę cichą melodię i z roztargnieniem zauważam, że mój telefon błyska światłem. Numer Daviny.

Odbieram.

– Halo?

– Sophia? Chcę tylko zapytać, co u ciebie.

– Och. Cześć. – Zerkam na Keitha.

– Podjęłaś już decyzję?

Myślę o Marcu i o tym, w jaki sposób chce mi zapewnić bezpieczeństwo. A potem o życiu, w którym nigdy nie będę mogła sama o sobie decydować. Nie wiem, co zrobi Marc, jeśli przyjmę tę rolę. Może ze mną zerwie. A może to mocniej nas ze sobą zwiąże. Tak czy inaczej, muszę mu pokazać, że sama jestem w stanie podejmować decyzje. Słuszne decyzje. Decyzje, które pomogą mi w przyszłości. Staram się nie myśleć o Gettym.

– Przyjmę ją – mówię. – Tak, przyjmę tę rolę.

– Cudownie! – Przerwa. – Nie wydajesz się uszczęśliwiona.

– Nie, tylko… Mam tyle na głowie.

– Nie mamy wiele czasu. Możesz być u nas jutro z samego rana?

– Tak, świetnie. Do zobaczenia.

Już mam się rozłączyć, kiedy słyszę jeszcze:

– Sophia!

Znowu podnoszę telefon do ucha.

– Przepraszam. Tak?

– Nie zapytasz gdzie? I o której?

– Och, racja. Tak, oczywiście.

– O siódmej rano w Tottenham Theatre. Przyślemy po ciebie kierowcę. Tylko podaj mi

adres.

– Ivy College – mówię.

– Ivy College? Nie mieszkasz u Marca?

– W tej chwili nie.

– Och. – Następuje chwila ciszy, w której niemal słyszę jak poruszają się trybiki w jej mózgu.

– Coś nie tak? – pytam.

– Nie, nie. Prawdę mówiąc, Ivy College jest super. Podaj mi swój e-mail, dobrze? Przyślę ci scenariusz i kilka MP-trójek.

Podaję.

– Doskonale – mówi Davina. – Do jutra zatem.

Ciągle pada, kiedy wysiadam z samochodu na parkingu pod college'em. Dziękuję Keithowi, naciągam płaszcz na głowę i biegnę po żwirze do budynku.

Na terenie college'u nie widzę żadnych studentów, ale stołówka jest jasno oświetlona. Chyba wszyscy są w środku na kolacji.

Ja też powinnam coś zjeść, ale tak bardzo nie chce mi się jeść, że jest aż śmieszne. Mój żołądek jest jak zgnieciona kartka papieru, całe ciało przenika smutek.

Idę szybko, patrząc na pryskające spod stóp drobiny żwiru. Na twarzy i nogach czuję krople deszczu.

Kiedy docieram do akademika, czuję, że zaraz się rozpłaczę. Jak inaczej może być – wystarczy jeden dzień… Czy nie takie są słowa tej piosenki? Tego ranka wychodziłam stąd za rękę z Markiem. Nie było idealnie, ale mieliśmy przed sobą przyszłość.

Teraz – po prostu sama nie wiem.

W moim pokoju jest zimno i ciemno, ale to pasuje do mojego nastroju, więc nic z tym nie robię. Przebieram się w piżamę, wślizguję pod kołdrę i pozwalam łzom płynąć.

Nie mam nawet siły, żeby porządnie płakać. Łzy po prostu cieknią i wydają mi się zimne i szare, jak wszystko w tej chwili.

Kiedy uświadamiam sobie, że nie zasnę, podlewam rośliny i sprawdzam telefon.

Marc dzwonił pięć razy. I przysłał esemes.

„Sophio, daj mi znać, że jesteś bezpieczna".

Rozdział 41

Już jestem gotowa odpisać, ale waham się. Dlaczego miałabym to robić? Kiedy się nad tym zastanawiam, rozlega się pukanie do drzwi.

Telefon wypada mi z ręki i uderza w podłogę. Naciągam na siebie kołdrę, zrywam się z łóżka i sunę w skarpetkach do drzwi.

Powiedziałam mu, że chcę być sama. Czy on naprawdę tego nie rozumie?

– Czego chcesz? – rzucam, otwierając drzwi.

Na progu stoi Tanya, a z jej ładnej, bladej twarzy powoli znika uśmiech. Na policzkach i okularach ma krople deszczu. Jest ubrana w wodoodporne spodnie, beżową bluzę z dekoltem w serek i anorak.

– Przepraszam, Soph. Chciałam tylko…

Kręcę głową.

– Nie, nie. Przepraszam cię, Tanyu. Wzięłam cię za… kogoś innego.

– Widziałam cię na balkonie – mówi Tanya. – Cały dzień się tu kryłaś?

– Nie. Wcześniej byłam z Markiem.

– Widziałam gazety. Mocne, prawda?

Kiwam głową.

– Można tak powiedzieć.

– Nie widziałam jeszcze Cecile, ale kiedy ją spotkam… – Tanya uderza drobną piąstką w otwartą dłoń.

– Ja ją dzisiaj widziałam – mówię. – W biurach GMQ. Sprzedawała kolejną historię.

Tanya przewraca oczami.

– Biedna bogata dziewczynka nie dostała Marca. A ty tak. Więc jest wściekła. Wpuścisz mnie czy mam stać na progu jak świadek Jehowy?

Uśmiecham się minimalnie.

– Wejdź.

– Super. – Tanya wpada do pokoju i włącza światło. – Ciemno tu. I zimno.

Zasłaniam oczy.

– Czekaj, rozpalę w kominku. – Tanya kuca przy palenisku i rozpala ogień za pomocą gazety i kilku polan. – Co ty tu robisz, w tym lodowatym, ciemnym pokoju? Wszystko w porządku? Wyglądasz okropnie.

– Wielkie dzięki – mówię, usiłując się uśmiechnąć.

Ogień z kominka oświetla jej blade policzki i rzuca cień okularów na czoło. Jest coś tak uroczego w tych okrągłych policzkach. Coś tak przyjaznego. Miło ją widzieć.

– Znasz mnie, mówię, co widzę. Co się stało? Czy ten drań coś ci zrobił? – Potrząsa okularami i wyciera je o kołdrę.

Zagryzam wargi.

– Nie.

– Przejęłaś się tym, co piszą w gazetach? – Tanya odsuwa pasmo rudych włosów z mokrej twarzy. – Bo nikt z nas nie uwierzył w te bzdury. Wiesz o tym, prawda? Nie musisz się tu chować.

– Nie o to chodzi – mówię, opadając na łóżko. – Przepraszam, że nie odpowiadałam na telefony. Wiele się dzisiaj działo.

– Tego się akurat domyślaliśmy. Nie martw się. Trzeba by czegoś więcej, żebyśmy się obrazili. Więc? Nie przejęłaś się gazetami?

– Nie podoba mi się, co wypisują, ale… trudno.

– Więc o co chodzi? – Tanya wkłada okulary. – Wyglądasz tak, jakby umarła ci cała rodzina.

Obejmuję głowę rękami.

– Pokłóciłam się z Markiem. – Czuję, jak łzy przeciekają mi między palcami.

– O co?

– Dostałam propozycję roli w *Pięknej i Bestii*.

– W *Pięknej i Bestii*? – Tanya siada po turecku na kołdrze. – Chyba żartujesz. Jak to? O, zaraz… rozumiem. Z powodu kochasia. – Podnosi wzrok na okno.

– Tak – przyznaję. – Ale Marc uważa, że to nie jest bezpieczne. Z powodu tych wszystkich dziennikarzy. Więc odmówił.

– On odmówił? Przyjęcia twojej roli?

– Wiem. Właśnie o to była ta kłótnia.

– Więc co zrobiłaś?

– Przyjęłam tę rolę. Reżyserka sama do mnie zadzwoniła.

– Zrobiłaś to, żeby mu pokazać, kto tu rządzi?

– Nie. – Kręcę głową. – Nie po to. Chyba… chyba chcę go poddać próbie. Nas. Poddać próbie nas. I pokazać mu, że sama potrafię podejmować decyzje.

– Uważasz, że to dobra decyzja?

– Uch… mam nadzieję. Teraz już się stało. Teraz muszę zrobić wszystko, żeby była dobra.

– Więc zagrasz w *Pięknej i Bestii*. – Głos Tanyi dobiega jakby z daleka, jej oczy znowu wpatrują się w okno.

Słyszę telefon i czuję, jak wibruje moja poduszka.

– To musi być twój telefon – mówi Tanya. – *Wiosna* Vivaldiego. Ta muzyka bardzo do ciebie pasuje.

– Ten utwór tak się nazywa? – mówię, patrząc na poduszkę. – Wybrałam ją, bo mi się podobała.

Tanya wyciąga mój telefon spod poduszki.

– To on. Marc.

Robi mi się niedobrze.

– Chcesz, żebym odebrała? – pyta Tanya. – Powiedziała mu, żeby spadał?

– Nie. Ale jestem zbyt zdenerwowana, żeby z nim teraz rozmawiać. Przestaw go tylko na pocztę głosową.

Tanya przełącza telefon.

– Będziesz dalej chodziła na jego zajęcia?

– On nie będzie mnie już uczył – mówię. – Uzgodniliśmy to na samym początku.

– Brzmi rozsądnie. A więc – kiedy zaczynasz próby do *Pięknej i Bestii*?

– Jutro – mówię, patrząc na swoje odbicie w drzwiach balkonowych. – A wyglądam okropnie.

– Cóż, jeśli ktokolwiek może wyglądać dobrze z zaczerwienionymi oczami i w zmiętych ciuchach, to właśnie ty.

– Dzięki – ziewam szeroko. Czuję się strasznie zmęczona.

– Może pójdę już, żebyś mogła się przespać? – pyta Tanya.

– Chyba powinnam spróbować.

– Jesteś taka smutna. I to z powodu jednej kłótni?

– Tak. Żałosne, prawda? Ale ta jedna kłótnia była naprawdę straszna.

– Wszystko wyjdzie w praniu. – Tanya zdecydowanie poklepuje mnie po plecach. – Wszystko będzie dobrze. Zobaczymy się jutro?

– Może uda mi się przyjść na zajęcia Denise po południu. Ale nie jestem pewna.

– W porządku. – Tanya zsuwa się z łóżka. – Posłuchaj, idę na dół. Gdybyś czegoś potrzebowała, czegokolwiek, po prostu do mnie zadzwoń. Albo do Toma.

Czuję, że chce mi jeszcze coś powiedzieć, ale zamiast tego tylko wyciąga z kieszeni rulonik karmelków i częstuje mnie jednym.

– Karmelka?

– Dzięki – mówię – ale trochę mi niedobrze.

Tanya wkłada cukierek do ust i zaczyna ssać.

– Jesteśmy tu, Soph, możesz na nas liczyć. Nie zapominaj o tym.

– Nie zapomnę.

Po wyjściu Tanyi sprawdzam pocztę elektroniczną. Nie ma nic od Marca, ale Davina przysłała już scenariusz i kilka plików muzycznych. Chce, żebym na jutro nauczyła się połowy tekstu. Jezu. To bardzo dużo.

Lepiej, żebym zabrała się do roboty.

Rozdział 42

Następnego ranka budzę się z drżeniem i dopiero po chwili dociera do mnie, że przez sen zrzuciłam kołdrę z łóżka i leżę tylko w starym podkoszulku i spodniach.

Jakiś ciężar leży mi na piersi, ściska mnie w żołądku. Myśli o Marcu nie dają mi spokoju. Czekają na mnie, jeszcze zanim otworzę oczy.

Przyciskam kolana do piersi i patrzę na pomarańczowo-brązowe liście za oknem. Jesienią uwielbiam wychodzić wczesnym rankiem i brodzić w liściach, ale dzisiaj z trudem siadam na łóżku.

Wkładam wczorajsze rzeczy, które leżą na podłodze i wypijam szklankę wody. Czuję się tak źle, że nie mam ochoty na gorącą czekoladę ani jedzenie.

Wyciągam telefon spod poduszki i sprawdzam, czy Marc dzwonił albo przysłał esemes. Nie ma od niego nic, ale mam kilka nieodebranych połączeń z jakiegoś londyńskiego numeru.

Cholera.

Davina. Tottenham Theatre. Która godzina?

Dziewiąta.

Mnie prawie nigdy nie zdarza się zaspać. Więc dlaczego akurat dzisiaj?

Davina mówiła, że o której mam być? O siódmej? Cholera, cholera, cholera. Oddzwaniam, ale nikt nie odbiera.

Już mam spróbować jeszcze raz, kiedy mój telefon zaczyna dzwonić.

– Halo?

– Cześć, skarbie. Co u ciebie?

To Jen.

– Kiepsko. Powinnam już być w teatrze. Zaspałam. – Pocieram oczy.

– Przyjęłaś tę rolę?

– Mhm. Powiedziałam, że dzisiaj o siódmej przyjadę na próbę.

– Więc co ty wyprawiasz, gadając przez telefon? Zbieraj się do tego teatru. Mam ci wezwać taksówkę?

– Nie, pójdę pieszo. To tylko kilka przecznic. Taksówką byłoby dłużej.

– Cieszę się, że wzięłaś tę rolę – mówi Jen. – Idź i pokaż im, na co cię stać. Pokaz im wszystkim.

– Przede wszystkim Marcowi.

W głowie słyszę cichy głos, który mówi: „Marc uważa, że to niebezpieczne. A ty wiesz, że nie umiesz śpiewać”.

– Daj czadu, dziewczyno – mówi Jen.

– Chciałabym mieć więcej odwagi – mruczę.

– Jesteś odważniejsza, niż ci się wydaje – woła Jen. – Wierz mi. Znam cię od dawna.

Tottenham Theatre to naprawdę piękny budynek. Nie wiem, kiedy został wybudowany ani nic w tym rodzaju, ale wygląda jak gigantyczny tort weselny – biało-różowy i ozdobiony mnóstwem kamiennych kwiatów.

Przychodzi mi do głowy, że Marcowi na pewno bardzo by się podobał i czuję, jak ogarnia mnie smutek.

Mimo wczesnej pory drzwi teatru są otwarte. Wchodzę do środka, zastanawiając się, gdzie znajdę Davinę.

Niepotrzebnie się tym kłopoczę – jest w holu, krąży po czerwonym dywanie i powarkuje do swojej komórki. Natychmiast rozpoznaję jej głos.

– Teraz, zaraz – krzyczy. – To nagły wypadek.

Jest bardzo wysoka, ma kruczoczarne włosy obcięte równo na wysokości brody z bardzo prostą grzywką, spiczasty nos i czerwone usta. Ma na sobie ołówkową spódnicę, skórzane brązowe oficerki i coś w rodzaju wełnianego szala, który na pewno kosztował fortunę, ale wygląda jak ciuch wyszperany w sklepie z używaną odzieżą.

Na mój widok przyciska telefon komórkowy do piersi.

– Sophia! – Wymawia moje imię w taki sposób, jakby cieszyła się na mój widok, a jednocześnie była na mnie wściekła. – Gdzie ty się podziewałaś?

– Dzwoniłam – mówię. – Naprawdę bardzo mi przykro. Zaspałam. Zwykle nigdy…

– Zdajesz sobie sprawę, jak mało mamy czasu?

Szybko ciągnie mnie w stronę podwójnych drewnianych drzwi.

– Próbowaliśmy bez ciebie całymi godzinami. Leo… cóż, trzeba co najmniej katastrofy kolejowej, żeby wytrącić go z równowagi, ale to nie był najprzyjemniejszy poranek. Powinnaś była dać nam znać, że jesteś w drodze. Fotografowie już czekali.

– Dzwoniłam, ale powinnam była dłużej próbować. Przepraszam. Fotografowie?

– No tak, oczywiście. Mieliśmy zamiar zrobić trochę zdjęć, ale jest już za późno.

– Ale o jakich fotografów chodzi?

Davina unosi grubą czarną brew.

– Sophio, moja droga, czy ty mieszkasz w jaskini? Chodzi o fotografów prasowych. Potrzebujemy dobrych artykułów o naszej sztuce.

– Och. No tak. Artykuły. Oczywiście. Ależ ja jestem głupia.

– Straciliśmy okazję – mówi Davina, wyraźnie wkurzona i wpycha mnie w drzwi prowadzące w głąb teatru.

Widok audytorium zapiera mi dech w piersi. Sala jest wielka i piękna, a rzędy krzeseł ciągną się tak wysoko w górę, że zakrawa na cud, iż ludzie na samej górze w ogóle widzą scenę.

Wzdłuż rzędów ciągną się żółte frędzle, a z sufitu zwisa potężny żyrandol.

Widzę wielką, łukowatą scenę i tło ze złowieszczo wyglądającym lasem – pełnym powyginanych drzew, groźnych ptaków i szarych gałęzi.

Na scenie stoi bardzo mocno zbudowany, bardzo przystojny mężczyzna z długimi do brody, rozjaśnionymi słońcem włosami.

Leo Falkirk.

Rozdział 43

Leo! – woła Davina. – Już jest! Twoja partnerka!

Cisza. A potem długi okrzyk, przy którym prawie podskakuję.

– Ju-huuuu! Nareszcie.

Mężczyzna zeskakuje ze sceny i ląduje dokładnie w przerwie między rzędami. A potem rusza do mnie.

Rany. Leo Falkirk. Prawdziwy. Z filmów.

Mimo obrazów Marca, szczelnie wypełniających mój umysł, nie mogę nie zauważyć, jak przystojny jest Leo. Wysoki, potężny, o umięśnionych brązowych ramionach. Ma na sobie białą marynarską koszulkę i obszarpane dżinsy. Spłowiałe od słońca włosy zakłada za uszy.

Widziałam go w paru filmach. Zwykle gra uroczych drani w komediach romantycznych i choć nie jest Markiem Blackwellem, jest bardzo atrakcyjny.

Teraz podchodzi do mnie z wyciągniętą ręką. Podaję mu swoją.

– Hej, miło cię poznać. – Ma czysty, teksański akcent, ciepły jak syrop na toście. – Nie mogę się doczekać, kiedy zostaniesz moją dziewczyną. – Uśmiecha się, a jego brązowe oczy mrugają. – Na scenie, oczywiście. Poza sceną jesteś czyjąś inną dziewczyną, prawda? I to nam właśnie zapewni cały ten rozgłos.

– Tak słyszałam.

– Powiedz mi – mówi Leo – co słychać u pana Blackwella?

Nie wypuścił jeszcze mojej dłoni ze swojej, więc wysuwam ją z jego ciepłego uścisku.

– Grał w jednym z moich pierwszych filmów, wiedziałaś o tym? – Leo gładzi jasny zarost na brodzie. – *Życzenie Gideona*. Widziałaś go?

– Raz. Dawno temu. Marc był fantastyczny.

– Z pewnością był fantastyczny – mówi Leo. – Praca z nim… to było coś.

– Grałeś w tym filmie?

Leo się śmieje.

– W pewnym sensie. Grałem tego chłopaka z deskorolką w poczekalni. Pamiętasz go?

– Nie – uśmiecham się.

– To nie była mówiona rola. Ale i tak cieszyłem się, że ją dostałem. Do diabła, byłem uszczęśliwiony. Powiedziałem o tym wszystkim kumplom ze szkoły, a moi rodzice wydali przyjęcie. Nie mogli uwierzyć, że ich mały chłopczyk gra w hollywoodzkim filmie. Nadal nie mogą w to uwierzyć – uśmiecha się szeroko. – Ja zresztą też. Pewno dnia to wszystko weźmie w łeb, ale dopóki sen trwa, mam zamiar dobrze się bawić. Mniejsza z tym. Pamiętam Marca. Miły facet. Skryty. Niewiele gadał, ale kiedy już miał coś do powiedzenia, wszyscy słuchali.

– To do niego podobne.

– Kiedy skończyliśmy zdjęcia, zaprosił wszystkich na dim sum i szampana do tej fantastycznej chińskiej restauracji. Naprawdę wszystkich. Kaskaderów. Kostiumografów. Nawet epizodystów, takich jak ja. Nigdy wcześniej nie jadłem nic takiego jak dim sum, nie mogłem uwierzyć, że ta wielka gwiazda zaprosiła mnie do knajpy. Nigdy tego nie zapomniałem. Prasa nigdy o takich rzeczach nie pisze. Ale tobie chyba nie muszę o tym mówić.

– Czy teraz będziemy próbować?

– Jasne.

Poprzedniego wieczoru dokładnie przeczytałam scenariusz. Nie udało mi się nauczyć na pamięć wszystkiego, co chciała Davina, ale myślę, że zapamiętałam dość dużo.

Dzisiaj mamy próbować scenę dwunastą, w której Bestia oprowadza Piękną po swoim zamku. Leo i ja mówimy kilka kwestii, i wkrótce odkrywam, że dobrze nam się razem pracuje. Leo jest miły w obejściu i wkłada w to, co robi, całe serce, tak jak ja.

Ale kiedy Leo mówi, że chciałby popróbować piosenkę, zasycha mi w ustach.

– Nie wiem, czy jestem już na to gotowa – mruczę.

– Chodź, spróbujmy – mówi Leo. – Davina poszła gdzieś zadzwonić. – Wskazuje kciukiem hol. – To najlepszy moment. A jeśli ja mogę śpiewać, ty na pewno też potrafisz.

– A gdzie uczyłeś się śpiewu? – pytam.

– Obiecujesz, że nikomu nie powiesz?

– Obiecuję.

– W szkolnym chórze.

Śmieję się.

– A ty?

– Ja właściwie nigdzie – mówię. – Naprawdę byłam zaskoczona, że zaproponowali mi tę rolę.

– Jestem pewny, że będziesz świetna – mówi Leo. – Wystarczy trochę praktyki. – Zeskakuje ze sceny i po chwili słyszę muzykę, magiczną, jakby nie z tego świata, płynącą z głośników.

Jest piękna, a ja rozpoznaję tę melodię.

– Davina przesłała mi wczoraj tę piosenkę – wołam. – Ale… ta wersja brzmi trochę inaczej.

Leo wskakuje z powrotem na scenę.

– To aranżacja Geraldine Jones. Mnie też się podoba. Dlaczego nie śpiewasz?

– Chyba przegapiłam moment – mówię. – Zasłuchałam się.

– Mam puścić od początku?

– Tak, proszę. – Biorę głęboki oddech i wstrząsam ramionami. – W porządku. Jestem gotowa.

Leo włącza muzykę, a ja odchrząkam.

Śpiewam kilka pierwszych wersów: „Zagubiona w tym zamku, z sercem pełnym obaw…”, a potem urywam. Następny wers: „Jak ptak w złotej klatce”.

Coś ściska mnie w gardle; chwytam się dłonią za szyję. Łzy napływają mi do oczu,

więc staram się je powstrzymać. Jestem na siebie wściekła.

– Jak… – próbuję, ale słowa nie chcą mi przejść przez gardło. Łzy spływają mi po policzkach; zbiegam ze sceny i zaczynam grzebać w torbie, szukając chusteczek. W torbie mam jak zwykle beznadziejny bałagan, więc znajduję tylko gumę do żucia, kilka monet, podniszczony zeszyt i całe mnóstwo papierków po czekoladkach.

Rozdział 44

Hej, wszystko w porządku? – pyta Leo za moimi plecami. – Świetnie ci szło. Co się stało?

Kręcę głową.

– Nic. Tylko… te słowa. Jakoś trudno mi je wypowiedzieć.

– Niektóre z tych piosenek są bardzo emocjonalne, prawda?

Kiwam głową.

– Hej, zróbmy sobie przerwę.

– Dobra myśl.

Siadamy w piątym rzędzie. Leo opiera swoje długie nogi na oparciu siedzenia przed nami. Jesteśmy kilka metrów od sceny i z miejsca, w którym siedzimy, scenografia wygląda absolutnie zachwycająco. Te ciemne, powykręcane drzewa, jak z jakiejś gotyckiej baśni. Wrażenie jest dość niesamowite, ale mnie się podoba.

– Dobrze sobie radziłaś – mówi Leo. – Masz ładny głos.

– Dziękuję. Wiem, że nie jest najsilniejszy, ale może jeśli będę dużo ćwiczyła… Muszę porozmawiać z Denise Crompton. Ona mi pomoże.

– Denise Crompton? Ta Denise Crompton?

– Jest nauczycielką w Ivy College.

Leo uderza się dłonią w czoło.

– Oczywiście! Marc bardzo się z nią przyjaźni, prawda?

Cholera! A już przestałam płakać. Teraz znowu się rozkleiłam i łzy spływają mi po policzkach.

– Powiedziałem coś nie tak? Coś się stało? Czy… to dlatego, że wspomniałem o Marcu? – Leo, zdezorientowany, marszczy płowe brwi.

Wiem, że moje milczenie bardzo wiele mówi, ale nie jestem w stanie wykrztusić ani słowa.

– Pokłóciliście się, czy co? – Dołeczki znikają z policzków Leo.

Zagryzam wargę.

– My… wszystko się teraz bardzo skomplikowało.

Słyszę za sobą chrząknięcie, więc odwracam się. Za nami stoi Davina.

– Skomplikowało?

– Och! Davina!

– Skomplikowało? Co chcesz przez to powiedzieć?

– Cóż… musimy omówić kilka spraw.

– Ale ciągle jesteście razem? – rzuca ostro Davina.

– Tak myślę, ale… właściwie to nie wiem.

– Nie wiesz? – Davina mruży oczy. – Sophio, bez Marca jesteś nikim. Rozumiesz to,

prawda? Bez Marca na nic się nam nie przydasz.

– Nie wiem, co mam powiedzieć – mówię, upokorzona. – Nie mogę przysiąc, że ciągle jesteśmy razem, Marc i ja. Zrozumiem, jeśli uznasz, że nie jestem już dla was odpowiednia. Nie chciałam nikogo wprowadzić w błąd.

– Hej. – Leo kładzie dłoń na moim ramieniu. – Wszystko w porządku. Potrzebowaliśmy aktorki do głównej roli i teraz ją mamy. W czym problem?

Wokół oczu Daviny pojawiają się zmarszczki.

– Ona jest… słuchaj, Leo, nie chcę być nieuprzejma, ale wynajęliśmy ją dla rozgłosu. Jeśli nie może nam tego dać, co nam po niej?

– Nie czytasz gazet? – mówi Leo. – Ta dziewczyna pobiła tysiące innych aktorów, którzy starali się o miejsce w college'u Marca Blackwella. Więc musi być naprawdę dobrą aktorką. W ogóle mamy szczęście, że znaleźliśmy kogoś w ostatniej chwili. Wydzwaniałaś cały ranek, bez skutku. Mam rację?

Davina przykłada rękę o czerwonych paznokciach do czoła.

– Nie rozumiesz, Leo. Rozgłos, potrzebujemy go jak tlenu. Bez niego umrzemy. Musimy znaleźć kogoś innego. Nawet jeśli to ostatnia chwila.

Rusza w stronę sceny, siada w pierwszym rzędzie i wyciąga komórkę.

– Dziękuję, że się za mną wstawiłeś – mówię do Leo i wdycham. – To by było tyle, jeśli chodzi o moje własne decyzje.

– Decyzje?

Kręcę głową.

– Och… nic.

Leo przysuwa się bliżej, a jego oczy patrzą na mnie ze współczuciem.

– Ze mną możesz porozmawiać. Nie jestem Daviną. Nie sprzedam nikomu twojej historii. Podjęłaś jakąś złą decyzję, czy co?

– Może. Marc twierdził, że nie powinnam przyjąć tej roli. Więc chciałam mu pokazać…

– Że się myli?

– Czy to bardzo dziecinne?

– Wprost przeciwnie. Po prostu ustalasz podstawowe zasady.

– Teraz to już i tak bez znaczenia. Przykro mi tylko, że zawiodłam Davinę.

Leo obejmuje mnie ramieniem.

– Nie przejmuj się. Ona nie jest taka groźna, jak się wydaje. Mnie na początku nie znosiła. Teraz chce, żebym przyszedł na przyjęcie z okazji szesnastych urodzin jej córki. Zresztą… mam pewien pomysł.

– Pomysł?

– Tak. Żeby Davina dostała ten rozgłos, na którym jej tak zależy.

Przyjemnie jest tak siedzieć; ramię Leo jest ciepłe, kojące. Zaczynam się zastanawiać, co powiedziałby Marc, gdyby nas teraz zobaczył. Znowu ściska mnie w brzuchu.

Pochylam się do przodu.

– Rozgłos?

Zielone oczy Leo błyszczą. Naprawdę jest uroczy, przypomina opalonego chłopaka z jakiegoś boys bandu. Muszę go jakoś poznać z Jen.

– Jasne. – Leo uśmiecha się szeroko. – Naprawdę masz cudowne oczy. Czy ktoś ci to już mówił?

– Och. – Spuszczam wzrok, zakłopotana. – Dziękuję.

– No, przy mnie nie musisz udawać takiej nieśmiałej. Zaczekaj tu. – Leo zrywa się z krzesła i schodzi w dół. – Hej, Davina! Hej!

Rozdział 45

Tak, Leo? – Davina podnosi głowę i uśmiecha się słodko.

– Tak się zastanawiałem… – Leo mruga do mnie nad ramieniem Daviny. – Chcesz rozgłosu, prawda?

– Tak.

– To co powiesz na to: idziemy z Sophią na kawę. Prasa nas widzi. Pstryk, pstryk, pstryk. Rusza lawina plotek. Leo zauroczony swoją teatralną partnerką. I hej, presto. Już mamy historię na okładki.

Davina bębni palcami o poręcz krzesła.

– To chyba mogłoby zadziałać. Jest to jakaś możliwość. I Bóg jeden wie, jak się namęczyłam, żeby kogoś znaleźć. Zdaje się, że o tej porze roku wszyscy są na odwyku. No, dobrze. Dałam już znać prasie, że Sophia tu jest.

Leo wraca do mnie z uśmiechem słodkiego drania na twarzy, dzięki któremu tak świetnie nadaje się do tych wszystkich komedii romantycznych.

– Widzisz? I po kłopocie.

Przygryzam paznokieć.

– Mówisz poważnie? Naprawdę chcesz celowo dać się przyłapać paparazzim?

– Tak. Witaj w świecie show-biznesu.

– Ale… – Przypomina mi się Giles Getty. – Czy to nie jest trochę niebezpieczne?

– Kto mieczem wojuje, od miecza ginie. Spójrz na to tak: jaki mamy teraz wybór? Ja potrzebuję partnerki, Davina marzy o rozgłosie, a ty chcesz pokazać Marcowi, co potrafisz. Zgadza się?

Idę z Leo w stronę kas, ale nogi mam jak z ołowiu.

– Jesteś pewny, że to dobry pomysł? – pytam.

– Już za późno. – Leo wyciąga rękę przed siebie. – Oni już nas zauważyli.

Patrzę tam, gdzie wskazuje jego palec i widzę ciemny tłum fotografów za drzwiami.

– Davina musiała dać im znać, kiedy przyjechałaś – mówi Leo. – Powinnaś być dumna. Ja nie jestem dość interesujący, żeby zebrać tylu dziennikarzy w jednym miejscu.

– O Boże. – Chwytam go za ramię. – I co my teraz zrobimy? Nie przejdziemy między nimi.

– Dlaczego nie? Oni chcą tylko zrobić zdjęcia.

– Ale… ja chyba nie jestem gotowa na coś takiego. Jeszcze nie.

– Daj spokój. Przyzwyczaisz się. Oni nie są tacy źli.

– Może dla ciebie. Widziałeś, co wypisują o mnie?

Patrzę na tłum fotoreporterów – przepychają się, wyciągają aparaty ponad głowami i między ramionami innych, krzyczą.

Przez drzwi dość wyraźnie docierają do mnie ich słowa:

– Sophia, Sophia! To prawda, że Marc cię wiąże? Czy on lubi dominować? Musisz robić wszystko, co ci każe? Sophia, a gdzie jest teraz Marc? Czy on wie, że jesteś z Leo?

– Trudne pytania – mruczy Leo. – Ale nie martw się. Cofną się, kiedy wyjdziemy.

– Jesteś pewny?

– Tak. Ale jest tylko jeden sposób, żeby się o tym przekonać.

Leo otwiera drzwi i razem schodzimy na pojedynczy stopień przed drzwiami.

Wrzask się nasila, więc zasłaniam uszy rękami. To dla mnie za dużo. Za głośno. Wszyscy napierają na nas, a ja mam ochotę uciec z powrotem do budynku.

Czuję, że drzwi za nami się zamykają i tłum zaczyna nas potrącać. Mocniej chwytam Leo za ramię.

– Hej, wszystko w porządku – szepcze. – Po prostu rób swoje, a potem wrócimy do środka. – Obejmuje mnie, ale moja ręka zsuwa się z jego ramienia.

Wiem, że to dla rozgłosu. Wiem. I wiem, że powinnam odegrać swoją rolę, ale jakoś źle się z tym czuję. Bo chcę, żeby obejmował mnie tylko Marc.

Robię krok do przodu, wysuwając się spod ramienia Leo, ale zapominam, że jestem na stopniu. Spadam do przodu. Palcami muskam jakąś skórzaną kurtkę, a potem pochłania mnie tłum.

Chwytają mnie czyjeś ręce, ktoś podstawia mi obiektyw przed twarz. Próbuję zasłonić oczy przed światłem fleszy, ale błyska ich tyle, że wszystko wokół zaczyna się rozpływać.

Zagubiona w tej masie dziennikarzy słyszę, jak woła mnie Leo.

– Leo! – krzyczę do niego, ale widzę wokół tylko obce twarze reporterów. Jeden jest wyższy od reszty, ma krótko przystrzyżone baczki i czarne włosy.

O mój Boże.

Giles Getty.

Jest daleko, ale odsuwa innych i coraz bardziej się zbliża.

Na jego twarzy widzę gniew i tryumf jednocześnie; cały czas, nieprzerwanie, porusza szczęką, jakby coś żuł.

Ktoś łapie mnie za sweter i czuję, jak moje włosy w coś się wplątują – chyba zamek błyskawiczny, ale nie jestem pewna. Próbuję się uwolnić, nie spuszczając wzroku z Getty'ego, który jest coraz bliżej.

Getty podnosi aparat i robi zdjęcie mojej przerażonej twarzy. Wydaje się rozbawiony. Podniecony. Robi mi się niedobrze na myśl, że moja twarz jest w taki sposób wystawiona na jego widok.

Próbuję ją zasłonić, ale tracę równowagę.

Ostre szarpnięcie uwalnia włosy, a ja potykam się na chodniku i padam do przodu

Zamykam oczy, pewna, że zaraz upadnę na ziemię. Ale tak nie jest. Zamiast tego unoszę się do góry.

Otwieram oczy i widzę przed sobą niebieskie oczy Marca Blackwella.

Rozdział 46

Aparaty szaleją, pstrykają i błyskają, ale dziennikarze się cofają. Zachowują dystans. W Marcu jest coś takiego, że ludzie go słuchają, a w tej chwili wyraz jego twarzy bardzo wiele mówi.

Jego niebieskie oczy są ciemne i chmurne, skóra na kościach policzkowych napięta, brwi ściągnięte w jedną prostą linię. Czuję, że naprawdę potrafi jednym spojrzeniem zamienić człowieka w kamień.

Widzę nad sobą białe niebo i budynki. Marc niesie mnie przez tłum. Ma tak silne ramiona. Opuszcza mnie powoli przed swoją czarną, lśniącą limuzyną.

Słyszę kliknięcie, a potem Marc wsuwa mnie do samochodu i kładzie na skórzanym siedzeniu. Drzwiczki się zamykają, światło dnia znika, samochód rusza.

Prostuję się, zsuwając z siedzenia stopy w adidasach. Marc siedzi naprzeciw i patrzy na mnie.

– Dziękuję, że mnie stamtąd wyciągnąłeś – mówię. – To… to było straszne.

– Może zechcesz mi powiedzieć, co to za zabawa? – Marc splata palce. Jego białe dłonie wydają się zupełnie bezkrwiste, drobne blizny widać na nich wyraźniej niż zwykle.

Siadam, odsuwając włosy z twarzy drżącymi rękami.

– My… to znaczy Leo wymyślił… bo ta sztuka potrzebuje rozgłosu…

– Leo wymyślił? – Niebieskie oczy Marca ciemnieją.

– To miała być tylko taka gra. Nic więcej.

– Obejmował cię ramieniem. – Widzę, jak na szyi Marca występują żyły.

– No tak, ale… To znaczy nie. Próbowałam się odsunąć. Właśnie dlatego nas rozdzielili.

– Co ty tam w ogóle robiłaś? W tym teatrze?

– Ja… byłam na próbie.

– Na próbie?

– Tak. Przyjęłam tę rolę.

Marc sztywnieje.

– Czy teraz już rozumiesz, dlaczego to zły pomysł? Przyjęcie tej roli?

Znowu to samo.

– Wiem, że to, co dzisiaj zrobiłam, było głupie. Popełniłam błąd. Ale przyjęcie roli…

– Nie sprzeczaj się ze mną, Sophio.

Biorę głęboki oddech i wypuszczam powoli powietrze. Ruch samochodu trochę mnie uspokaja, ale ręce cięgle mi się trzęsą.

– Nie sprzeczam się.

– Naprawdę nie widzisz, jak głupio się zachowałaś?

– No tak. Przed chwilą, ale… Czy tobie nie zdarzyło się popełnić błędu?

– Popełniłem mnóstwo błędów. Kiedy nie było nikogo, kto mógłby mi wskazać drogę. – Twarz Marca łagodnieje. – zabiorę cię z powrotem do domu. Albo przynajmniej do Ivy College.

– Żebyś mógł mnie trzymać jak ptaka w klatce?

Marc się śmieje.

– Bardzo bezpiecznej klatce.

Patrzę w okno. Londyn jest dziś piękny. Mijamy miejskie kamienice, a na chodnikach leżą wielobarwne jesienne liście.

Wzdycham.

– Co by się stało, Marc, gdybym zapomniała o tej roli i odjechała z tobą w stronę zachodzącego słońca?

– Byłabyś bezpieczna.

– Ale czy szczęśliwa?

W oczach Marca widzę ból i wiem, że go zraniłam.

– Nie mówię, że nie jestem z tobą szczęśliwa, Marc – mówię. – Ale jeśli oddam tę rolę, zawsze już będzie tak, że ty wiesz wszystko lepiej. Nigdy nie będziesz szanował moich decyzji. Zawsze to ty będziesz wskazywał mi drogę.

– To takie złe?

– Tak – mówię. – Chcę być z tobą. Ale chcę ci pokazać, że sama potrafię podejmować decyzje i że one mogą być dobre. W porządku, raz zrobiłam coś głupiego. Ale uczę się. Jeśli nie pozwolisz mi uczyć się na własnych błędach, nie ma dla nas przyszłości.

– Nie mogę po prostu siedzieć i patrzeć, jak narażasz się na niebezpieczeństwo. Chcę, żebyś zrezygnowała z tej roli. – Marc marszczy brwi, patrząc na mijane kamienice.

– Marc, ja nie mogę tak żyć. Robić tylko tego, co mi powiesz. Jestem człowiekiem, nie zabawką.

– Czy kiedykolwiek potraktowałem cię jak zabawkę?

– To coś… co powiedział Giles Getty.

– Och, doprawdy? Więc wolisz posłuchać raczej jego rady niż mojej?

– Nie chcę słuchać niczyich rad. Chcę żyć własnym życiem. Chcę zagrać w tym musicalu, to wspaniała okazja.

– Teraz, kiedy się ujawniliśmy, jesteś bardziej wystawiona na niebezpieczeństwo. Muszę cię chronić. Nie mogę spokojnie patrzeć, jak dzieje ci się krzywda.

– Kto powiedział, że stanie mi się krzywda?

– Ja. Znajdziesz się na świeczniku. Dokładnie tam, gdzie Getty będzie mógł cię dorwać.

– Nie. Będę w teatrze. Marc, to jest związek. Nie klasa w szkole. To nie tak, że ty ustalasz zasady, a ja muszę się do nich stosować.

– Och, nie? Wydaje mi się, że w sypialni moje zasady bardzo ci się podobają.

– To co innego. – Czuję, że się czerwienię. – Ale jeśli chcesz dominować nade mną przez cały czas, nic z tego nie będzie.

– Sophio, muszę cię chronić. Albo to zaakceptujesz, albo…

– Albo?

– Skończymy to.

Rozdział 47

Och, te dwa krótkie słowa. Zraniły mnie bardziej niż jakiekolwiek inne, które w życiu słyszałam.

– Skończymy to? – jąkam się. – Chcesz powiedzieć, że jeśli nie zrezygnuję z tej roli, zerwiesz ze mną?

Marc odwraca głowę i patrzy w okno samochodu. Nie widzę jego oczu i wydaje mi się, że właśnie o to mu chodzi.

– Jeśli nie będziemy razem, prasa zostawi cię w spokoju. Więc przynajmniej w ten sposób będę mógł cię chronić.

– Naprawdę byś to zrobił? Naprawdę zakończyłbyś nasz związek, jeśli nie zrezygnuję z tej roli?

– Tylko tak mogę cię ochronić.

– Nie mogę zrezygnować – mówię. – Już się zgodziłam. Musiałabym zawieść zbyt wielu ludzi.

– Więc nie możemy być razem. – Marc nie patrzy na mnie.

– Co? Ty… Nie mówisz tego poważnie.

– Owszem. Mówię poważnie. Muszę cię chronić.

– Zatrzymaj samochód – mówię.

Marc kręci głową.

– Nie tutaj.

– Zatrzymaj samochód! – krzyczę, rzucając się do przodu i stukając w przyciemnioną szybę. Część szyby się odsuwa i widzę tył głowy i palce Keitha na szkle.

– Wszystko w porządku?

– Keith, proszę, czy możesz zatrzymać samochód?

– Jasna sprawa. Muszę tylko znaleźć jakieś miejsce.

Nie patrzę na Marca, kiedy limuzyna zaczyna zwalniać.

– Sophio, zaczekaj.

Chwytam za klamkę i wysiadam na zimny londyński chodnik. Kamienice górują nade mną, a ja czuję się bardzo mała i samotna.

– Sophio.

Odwracam się do Marca.

– Czy możesz wrócić do samochodu? Proszę?

– Ale dlaczego? Po co?

– Chcę mieć przynajmniej pewność, że bezpiecznie wróciłaś do college'u.

– Ja nie wracam do college'u. Wracam do teatru. Na próbę. Proszę, Marc. Nie utrudniaj tego jeszcze bardziej.

Zdaje się, że trafiłam we właściwy punkt. Marc robi krok do przodu, cofa się znowu,

przeczesuje włosy palcami.

– Ja… wierz mi, Sophio, nie chcę cię ranić. Nigdy tego nie chciałem. Nigdy nie chciałem narażać cię na żadne niebezpieczeństwo.

Przełykam.

– Wiem. Ale chyba nie układa nam się w prawdziwym świecie. – Nie chcę tego powiedzieć. Mówię te słowa tylko dlatego, że chcę, żeby Marc im zaprzeczył. Powiedział, że to nieprawda. Ale on tego nie robi.

– Dam znać swoim ludziom, że nasz związek… się zakończył. – Marc patrzy w chodnik, a potem odwraca się i idzie z powrotem do samochodu.

Och.

Przykładam jedną rękę do brzucha, drugą zasłaniam usta. Nie mogę uwierzyć, że to powiedział. Chcę prosić go, żeby zaczekał. Powiedzieć, że nie chciałam. Że zrobię wszystko, czego chce, jeśli tylko będziemy razem. Ale wiem, że nie mogę tego zrobić. Czuję łzy pod powiekami.

Przy samochodzie Marc odwraca się jeszcze.

– Podwiozę cię tam. Przynajmniej na to mi pozwól.

Kręcę głową. Po policzkach płyną mi łzy.

– Jeśli to naprawdę koniec, to nie mogę być z tobą.

– Więc weź taksówkę.

– Chcę się przejść – zachłystuję się powietrzem.

Marc zaciska pięści, jego policzki nagle się zapadają.

– Czy ty nie rozumiesz? Chcę, żeby prasa zostawiła cię w spokoju. Nie zrobią tego, jeśli będziemy razem.

– Dla ciebie to, zdaje się, łatwa decyzja. – Ocieram łzy wierzchem dłoni.

– Chodź do samochodu. Proszę.

– Nie! – Odwracam się i ruszam biegiem w dół ulicy.

Wąskie budynki kończą się, robi się jaśniej i wypadam na szeroką, pełną sklepów ulicę. Wtapiam się w tłum, drżąca i zapłakana. Wszyscy na mnie patrzą, ale w tej chwili nie ma to dla mnie żadnego znaczenia.

Rozdział 48

Ból w mojej piersi narasta. To koniec. Właśnie się rozstaliśmy. Jeszcze zanim tak naprawdę zaczęliśmy być razem. Marc od początku miał rację.

Biegnę długo i dość daleko, żeby Marc nie mógł mnie dogonić. Potem zwalniam i przestaję płakać. Jest mi bardzo zimno – wyszliśmy oboje z Leo bez płaszczy. Rozcierając sine palce, mijam przechodniów raz z lewej strony, raz z prawej. Oni wszyscy zajmują się swoim normalnym życiem i nie mają pojęcia, że jakiś rozdział mojego właśnie się zakończył.

Błąkam się po ulicach przez długi czas. Całe godziny. Patrzę, jak restauracje i bary wypełniają się ludźmi, którzy wyszli właśnie z pracy na lunch. Niedługo całkiem zdrętwieję. Z początku wydaje mi się, że to z zimna, ale potem zdaję sobie sprawę, że źródło tego chłodu jest we mnie. W moim sercu.

Nagle wyrasta przede mną Tottenham Theatre, choć nie mam pojęcia, jak udało mi się do niego dotrzeć. Czy wróciłam tu celowo? Nie pamiętam.

Przed budynkiem nie ma paparazzich, a teatr wydaje się dziwnie ciemny i pusty.

Próbuję otworzyć drzwi. Są zamknięte na klucz.

Co?

Okrążam go w tłumie przechodniów i turystów.

Telefon popiskuje, więc wyciągam go z kieszeni. Mam pięć nieodebranych połączeń od Marca i wiadomość od Daviny:

„Mają zdjęcie! Jutro pierwsza strona «Daily Sport». Próby w teatrze niemożliwe – paparazzi. Marc Blackwell przeniósł nas do Queen's Theatre w Ivy College, gdzie zapewni nam ochronę. Tam się zobaczymy. Davina".

Otwieram usta. Nie mogę w to uwierzyć.

Dzwonię do Marca, chodząc tam i z powrotem po chodniku.

Odbiera po pierwszym sygnale.

– Sophia.

– Przeniosłeś naszą sztukę do Ivy College?

– Pomyślałem, że na razie to dobry pomysł. Jutro podam prasie informację o tym, że nie jesteśmy już razem, ale minie trochę czasu, zanim stracą zainteresowanie tą sprawą. Na razie ciągle będą chcieli robić ci zdjęcia. W college'u jest bezpieczniej i będziesz miała bliżej na zajęcia.

– Dziękuję – mówię sztywno. – Doceniam to. – Tak bardzo chciałabym, żeby powiedział coś jeszcze. Że jednak możemy być razem.

Ale on dodaje tylko:

– Nie będę cię niepokoił w kampusie. Ty pójdziesz swoją drogą, a ja swoją. Jakbyśmy nigdy nie byli razem.

Nigdy razem. Czuję gulę w gardle i mam ochotę zwymiotować.
Połączenie zostaje przerwane.

Rozdział 49

Queen’s Theatre, Ivy College. Tam, gdzie pocałowaliśmy się po raz pierwszy. Nogi mi się trzęsą, kiedy przechodzę przez drzwi.

Bardzo dziwnie jest zobaczyć na scenie tego teatru Davinę i Leo. Wyglądają, jakby byli u siebie, a przecież nie są. Oczywiście oboje są ludźmi teatru, ale ten teatr jest inny.

– Sophia! – woła Davina swoim wysokim głosem. – Szybko, szybko chodź na scenę, no już. Nie mamy czasu, żeby się tak grzebać.

Idę w stronę stopni prowadzących na scenę, a przez głowę przelatują mi obrazy Marca, jego pięknej twarzy i silnego ciała. Marc i ja, razem na tej scenie, zatopieni w pocałunku, do którego nie powinno było dojść.

– No, szybciej, szybciej! – wrzeszczy Davina.

Wchodząc na stopnie, czuję ten pocałunek w całym ciele. Marc, taki mroczny i onieśmielający, dziki i seksowny. I ja, w jego mocnych objęciach, zagubiona i odnaleziona.

– Hej. – Leo bierze mnie pod ramię. – Przykro mi z powodu tego, co się stało. W jednej chwili byłem tuż obok, a zaraz potem… puf!

– Poślizgnęłam się chyba i wtedy nas rozdzielili.

– Trzymaj się mnie następnym razem – mówi Leo. – Ale skoro już o tym mowa, mają to zdjęcie, na którym tak im zależało. Jutro będzie we wszystkich gazetach.

– Chyba dostali więcej, niż im się marzyło – mówię, myśląc o Marcu niosącym mnie przez tłum.

– No dobra! – krzyczy Davina. – Zaczynamy. Scena dwunasta. Bestia pokazuje Pięknej zamek. Do roboty.

Szukam w pamięci tekstu, ale w głowie mam mętlik.

– Nie, nie, nie! – Davina chwyta mnie za ramię. – Nie tu. Tutaj. Bestia musi ją zawołać.

– Och. No dobrze. – Potykam się, kiedy reżyserka ciągnie mnie przez scenę.

Chwila ciszy.

– Tekst! – wrzeszczy Davina.

– Och… przepraszam. Nie wiedziałam, że już mam zaczynać.

Davina przewraca oczami.

– Mamy tu amatorkę. Leo, ty jesteś profesjonalistą, zaczynaj. Mała panna Rose ma problemy z mówieniem.

– Nie mam…

– Tekst! – przerywa Davina.

Leo rzuca mi przepraszający uśmiech i sięga po scenariusz.

– Teraz jesteś więc panią tego domostwa – mówi, składając przede mną głęboki, niemal do ziemi ukłon.

– Nie pragnę takiego zaszczytu – odpowiadam. – Lecz tego jedynie, byś mi zwrócił wolność.

– Stop, stop – mówi Davina. – Sophio, ta postać ma charakter. Chcę, żebyś to pokazała.

W dwóch zdaniach?

Powtarzam kwestię jeszcze raz, ale Davina znowu mi przerywa.

– Chryste, czy ty nigdy nie występowałaś na scenie? Tu trzeba czegoś więcej… Na pewno więcej śmiałości. Na litość boską, Sophio, jesteś do niczego.

Tak jest przez całą próbę – Davina czepia się wszystkiego, co robię.

Leo jest jej złotym chłopcem i zbiera za wszystko pochwały, mnie najwyraźniej nie wychodzi jak trzeba.

Pod koniec jestem wyczerpana i nieszczęśliwa. Czuję, że nie wytrzymam więcej krytyki i tak bardzo tęsknię za Markiem, że staje się to nie do zniesienia.

Zazwyczaj uwielbiam pracę na scenie. Kiedy gram, zapominam o wszystkich problemach. Ale dzisiaj to było piekło. To się musi zmienić.

– No, dobra! – woła Davina. – Kończymy pomału. – Pstryka palcami. – Jeszcze tylko piosenka. Sophia. Piosenka. *Na zawsze ty*. Posłuchajmy.

Och, nie. Piosenka o ptaku w klatce.

Davina włącza muzykę, a ja poklepuję się po piersi, unoszę brodę i biorę głęboki oddech.

Zaczynam śpiewać i nie jest źle. Nie jest też wspaniale, ale radzę sobie. Zacinam się trochę przy słowach: „Jak ptak w klatce”, ale szybko odzyskuję panowanie nad głosem.

– Koszmar – krzyczy Davina. – Po prostu okropność. Jak z wieczoru karaoke. I ten fragment o ptaku, kompletnie to położyłaś.

Sztywnieję.

– Davino, ja dopiero się uczę. Nie jestem wielką hollywoodzką gwiazdą jak Leo. Nie grałam w setkach filmów. Jestem młoda i niedoświadczona. Ale pracuję ciężko i zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby zagrać to jak należy.

– Mam nadzieję, że zrobisz to szybko – mówi Davina. – Albo wszyscy zrobimy klapę.

Myślę o gazetach. Będą miały używanie, jeśli zostanę wygwizdana. Chcę być dobra. Tak dobra, jak to tylko możliwe. Ale w oczach Daviny nic, co robię, nie jest dość dobre.

Nasze oczy się spotykają i zaczynam rozumieć, jak bardzo jest na mnie wkurzona.

Skręcam w palcach pasmo włosów.

– Może pora na przerwę.

Davina unosi jedną brew.

– Zgoda. Idź. Ćwicz. I módl się, żeby jutro poszło ci lepiej.

Rozdział 50

Wychodzę z teatru niemal we łzach. Jestem na siebie zła, że reaguję tak emocjonalnie, ale czuję się, jakbym została schwytana w pułapkę. To bardzo przykre, że Davina tak czepia się wszystkiego, co robię, ale… może ona ma rację. Jestem amatorką. Nigdy nie grałam zawodowo. Leo ma o wiele więcej pewności siebie niż ja.

Idę zatopiona w rozmyślaniach, kiedy… nie mogę w to uwierzyć.

Przed sobą dostrzegam Tanyę.

Siedzi na drewnianej ławce, w długim puchowym płaszczu, z białym szalem owiniętym wokół szyi. Obok stoi wózek, kołami częściowo na trawie, a Tom jest jak zwykle ekstrawagancki, w cylindrze, różowej koszuli i marynarce w prążki.

– Tanya! Tom! – Chyba nigdy nie byłam tak szczęśliwa na widok przyjaciół.

Podbiegam do nich.

– Co wy tu robicie, na tym zimnie?

– Czekamy na ciebie – mówi Tanya i też się do mnie uśmiecha.

Obejmuję ich oboje ramionami.

– Tak się cieszę, że was widzę. Naprawdę. Skąd wiedzieliście, że tu będę?

– Tom to podsłuchiwacz – mówi Tanya. – Podsłuchał rozmowę w recepcji o przeniesieniu prób z Tottenham Theatre, a reszty sami się domyśliliśmy. No i? Jak wam idzie?

Wzdycham.

– Nie najlepiej. Reżyserka mnie nie znosi. – Siadam obok Tanyi i obejmuję głowę rękami. – Na razie to naprawdę bardzo ciężka praca.

– Miło mi to słyszeć – mówi Tom. – Bylibyśmy strasznie zazdrośni, gdyby wszystko szło jak po maśle.

– Ja trochę ci zazdrościłam – przyznaje Tanya. – Wydało mi się to trochę niesprawiedliwe, że dostałaś tę rolę ze względu na Marca. Ale nie przejmuj się, już mi przeszło.

– Nie mam ci tego za złe – mówię. – To rzeczywiście niesprawiedliwe. Marc chciał, żebym nie przyjęła tej roli. Uważa, że to niebezpieczne. Może ma rację.

– Na naszym popołudniowym wykładzie był bardzo kwaśny – mówi Tanya. – Żadnych uprzejmości. Same konkrety. Omal głowy mi nie urwał, bo rysowałam coś w zeszycie. A ja po prostu nie mogę się powstrzymać, jeśli za długo nie uważam. Jestem twórcza! Chyba powinniśmy być roztargnieni.

– Mów za siebie – oponuje Tom. – Ja jestem świetnie zorganizowany i zawsze uważam.

Wszyscy się śmiejemy.

– Więc… widzieliście dzisiaj Marca? – pytam.

Tanya znowu poważnieje.

– Tak. I wyglądał jak chmura gradowa, jeśli chcesz znać prawdę. Domyślam się, że ciągle macie problemy?

– Delikatnie powiedziane – mówię. – Rozstaliśmy się.

Tanya zasłania usta dłonią.

– Och! Tak mi przykro.

Tom podjeżdża bliżej, żeby poklepać mnie po ramieniu.

– Tak szybko?

Kiwam głową i czuję, że znowu łzy napływają mi do oczu.

– Jak to możliwe? – pyta Tom. – Wy dwoje, oboje tacy piękni. Można by pomyśleć, że na samej fascynacji seksualnej pociągniecie kilka miesięcy.

– To była decyzja Marca – wyjaśniam – On uważa, że tylko w ten sposób może mi zapewnić bezpieczeństwo.

Tanya obejmuje mnie ramieniem.

– Tego kwiatu jest pół światu, jak to mówią.

Tom kręci głową.

– Tanya, wiesz przecież, że to najgorsze, co można powiedzieć, kiedy ludzie się rozstają.

– Nie przejmuj się – mówię. – W tej chwili nic dobrego nie można powiedzieć.

Słyszymy chrzęst żwiru i po chwili na ścieżce pojawia się Leo.

– Sophia? – Podchodzi do ławki. – To ty?

– Tak, to ja.

– Miałem nadzieję, że cię złapię. – Kiwa głową w stronę Tanyi i Toma. – To pewnie twoi przyjaciele. Cześć. Cześć.

– Tom, Tanya, poznajcie Leo Falkirka.

– My doskonale wiemy, kim jesteś – mówi Tom, unosząc się na wózku. – Miło nam cię poznać – dodaje, robiąc teatralny ukłon.

Leo się śmieje.

– Mnie proszę się nie kłaniać. Nie zasługuję na to.

– Och, z pewnością zasługujesz – mówi Tom. – Nie marnuję swoich ukłonów na byle kogo. Spytaj te dwie panie.

– Uch, Sophia? – Leo patrzy teraz na mnie. – Tak się zastanawiałem… to był taki długi dzień, więc pomyślałem sobie, że… jeśli jeszcze nic nie jadłaś, może miałabyś ochotę gdzieś wyskoczyć?

– Z tobą?

– Jasne, ze mną – uśmiecha się, pokazując dołeczki. – Znam kilka świetnych miejsc w Londynie. Takich, gdzie nie wpuszczają prasy.

Rozdział 51

Patrzę na Toma i Tanyę. Tanya niczego po sobie nie pokazuje, ale Tom uśmiecha się szeroko i kiwa głową jak idiota.

– Dzięki – mówię. – Ale jestem naprawdę zmęczona. Chyba zjem tylko kanapkę i pójdę się położyć.

– Och. Cóż, będę jeszcze w kampusie jakąś godzinę czy coś koło tego. Dali mi tu apartament, więc wezmę teraz prysznic. Zadzwoń, gdybyś zmieniła zdanie, dobrze? To mój numer. – Podaje mi wizytówkę. Na jednej stronie jest jego biało-czarne zdjęcie, nic, tylko mięśnie i rozmarzone oczy. – Nie patrz na to zdjęcie. To był pomysł mojego agenta. Może się jednak później zobaczymy, dobrze?

– Dobrze.

Leo rusza przed siebie truchtem.

Tanya uderza mnie lekko pięścią w ramię.

– Dlaczego się nie zgodziłaś? Jesteś ślepa? On wygląda jak grecki posąg.

– Po prostu… wydało mi się to nie w porządku.

– Tanyu, skarbie – mówi Tom. – Nie widzisz, że ona ciągle opłakuje Marca? Przecież nie może nagle zakręcić kurka ze swoimi uczuciami.

– Ale on jest taki seksowny – mówi Tanya.

– Doprawdy? – Tom unosi jedną brew.

Tanya się uśmiecha.

– Nie tak jak ty. Ale jednak seksowny. – Kładzie mu dłoń na ramieniu i nagle coś do mnie dociera.

– Co tu się właściwie dzieje? – pytam.

Tom i Tanya spoglądają na siebie, a potem szybko odwracają wzrok.

– Nic – mówi Tanya i zsuwa rękę z barku Toma.

Tom wbija wzrok w swoje kolana.

Blada twarz Tanyi nagle robi się czerwona. Chyba nie widziałam jej jeszcze tak zakłopotanej.

Uśmiecham się.

– Czy wy dwoje… czy coś się stało? O co tu chodzi?

Tanya drapie się po szyi i znacząco patrzy na Toma.

– Och, znasz nas – mówi Tom. – Nuda, jak zwykle. Jedzenie. Pub. Wykłady. Ciężkie życie. Brakowało nam naszej przyjaciółki Sophii.

– Idziemy do pubu? – pyta Tanya.

– Czy jest coś, czego nie chcecie mi powiedzieć? – pytam.

Zdecydowanie za szybko kręcą głowami.

– No dobrze. – Na razie im odpuszczę. – Do pubu mogę iść. Ale muszę jeszcze

nauczyć się tekstu. Obiecajcie, że nie pozwolicie mi się upić, dobrze? Jestem taka zestresowana, że mogłabym wypić dwie butelki wina.

– Obiecujemy.

Rozdział 52

Pub w kampusie jest przytulny jak zawsze ze swoimi stołkami z beczek po piwie i dekoracjami ze sznura. Na kominku buzuje ogień i można się napić grzanego wina.

Siadam z Tomem przy okrągłym stoliku w kącie, a Tanya przynosi z baru trzy parujące kubki wina z cynamonem.

Wino koi nerwy i dobrze mi tu z Tomem i Tanyą – jest całkiem jak na samym początku, kiedy przyjechaliśmy do college'u i nie nie mieliśmy żadnych problemów.

Popijam grzane wino, kiedy Tanya trąca mnie łokciem.

– Zobacz tylko, co koty przywlokły tu ze śmietnika.

Odwracam się do drzwi.

– Och, nie.

To Cecile, pod ramię z Ryanem.

Ryan zerka na mnie, a potem odwraca wzrok, ale Cecile nawet nie patrzy w moją stronę. Ma na sobie to samo co wcześniej – brązowe oficerki, dżinsy i koszulę. Platynowe włosy związała w elegancki koczek, przez co jej kości policzkowe wydają się szczególnie wydatne.

– Chryste, dlaczego w tej budzie nie mają szampana? – mówi. – Jak na jakimś zadupiu na północy.

Obok mnie Tanya zaciska palce na stoliku, a jej blade policzki znowu czerwienieją. Zrywa się ze stołka.

– Cecile, chciałabym zamienić z tobą dwa słowa.

Cecile mruga. Jej drobna, ostra twarz jest absolutnie spokojna.

– O, nasza małpeczka z północy. To nie moja wina, że tam u was nie podają porządnych drinków, Tanya. Mówię, jak jest.

– Guzik mnie obchodzi, co myślisz o życiu na północy – mówi Tanya, obchodząc stolik dookoła. – Ale obchodzi mnie Sophia. Powinnaś się wstydzić, że rozpowiadałaś o niej te kłamstwa.

Cecile uśmiecha się kącikiem ust.

– To nie są kłamstwa.

– Są, do cholery, i sama dobrze o tym wiesz.

– Wybacz, proszę – mówi Cecile, obejmując Ryana ramieniem. – Właśnie świętujemy. „Daily Sport" wypisał mi kolejny czek na sporą sumę za prawdę na temat Sophii.

Tanya ma taką minę, jakby zamierzała rzucić się na Cecile i uderzyć ją pięścią w nos. Chwytam ją za ramię.

– Tanya, nie. Nie warto. Dostarczysz jej tylko kolejnego tematu dla gazet.

– Ale będzie warto – krzyczy Tanya, nie spuszczając oczu z Cecile i wyrywa ramię z mojej ręki.

Cecile ma dość rozsądku, żeby się przestraszyć i chwyta Ryana za rękę.

– Powstrzymaj ją, Ryan. To wariatka! Wiesz, jacy są ci ludzie z północy.

Tego nie powinna była mówić.

Tanya pędzi przez pub, chwyta Cecile za ramiona i rzuca na ziemię.

– Ty kłamliwa, dwulicowa, zarozumiała krowo! – wrzeszczy, podnosząc pięść. – Zobaczymy, co będziesz mogła zagrać ze złamanym nosem.

– Nie! – Cecile zasłania twarz, a ja podbiegam szybko i chwytam Tanyę za rękę.

– Nie, Tanya, nie rób tego. Ona nie jest tego warta. – Udaje mi się ją odciągnąć z powrotem do stolika. – Nie chcę, żeby jutro gazety pisały także o tobie.

Popycham ją, żeby usiadła i przytrzymuję jej ręce.

– Tanya, proszę. Zrób to dla mnie. Nie pakuj się w kłopoty przez tę dziewczynę.

Cecile wstaje, spoglądając nieufnie w naszą stronę. Siada na stołku, otrzepuje spodnie i sprawdza paznokcie.

Drzwi pubu otwierają się ze skrzypnięciem.

– Sophia, patrz. – Tanya otwiera usta ze zdumienia.

Rozdział 53

Na progu stoi Leo Falkirk.

Biedny Leo. Wszyscy się na niego gapią. Ale domyślam się, że on jest do tego przyzwyczajony.

Ma na sobie grubą zieloną kurtkę marynarską, która wygląda dość dziwnie przy jego opalonej twarzy i spłowiałych od słońca włosach.

Widzę, jak Cecile przykleja na twarz swój najsłodszy uśmiech i przygładza lekko włosy. Zsuwa się ze stołka – te długie nogi, te białe zęby – i wyciąga przed siebie wypielęgnowaną dłoń.

– Leo – mówi, ściskając jego palce. – Słyszałam, że jesteś w kampusie. – Kładzie rękę na piersi. – Jestem Cecile. Znam Duncana Grangera. – Uśmiecha się zarozumiale. Reżysera *Doskonałego wesela*? – Przychodzi do nas na wszystkie rodzinne przyjęcia. Moja mama grywa z nim czasami w tenisa. Tu jest strasznie nudno… pełno frajerów. Może zabiorę cię w jakieś bardziej interesujące miejsce?

– Znasz Duncana? – mówi Leo, podchwytując moje spojrzenie. – No to pozdrów go ode mnie, jak go znowu zobaczysz. Miło było cię poznać, Kelly.

Cecile zaciska usta i patrzy gniewnie, jak Leo podchodzi do naszego stolika.

Niemal jestem w stanie czytać w jej myślach: Co takiego ma w sobie ta dziewczyna, czego ja nie mam? Prawdę mówiąc, sama nie wiem. Cecile naprawdę jest piękną blondynką, bogatą, z wpływowej rodziny. A ja jestem po prostu… zwyczajna.

– Hej, Sophia. – Leo siada obok mnie i uśmiecha się do Toma i Tanyi. – Cześć wam. Miło was znowu widzieć.

– Może chce pan… może chciałby się pan czegoś napić, panie Falkirk? – pyta Tom. – Mają tu naprawdę dobre grzane wino.

– Proszę. – Leo podnosi ręce. – Mówcie mi Leo. Wypiłem już drinka. Zawędrowałem tu, bo przyszło mi do głowy, że może znajdę Sophię i uda mi się ją jednak namówić na kolację.

Usta Cecile praktycznie znikają z jej twarzy. Widzę, że szepcze coś gorączkowo do ucha Ryana.

Tom, po drugiej stronie stolika, mówi do mnie bezgłośnie:

– No, idź!

– Moglibyśmy pogadać jeszcze o naszej sztuce – mówi Leo. – Wiem, że to nie był najlepszy dzień. Może mógłbym ci pomóc zyskać trochę w oczach Daviny. Bo w tej chwili wydajesz mi się zdecydowanie zbyt smutna. Chciałbym cię trochę rozweselić.

Patrzę na duże, opalone dłonie Leo leżące na stoliku i nagle przypominam sobie dłonie Marca – także duże i silne, ale o smukłych, białych palcach. Myślę o tym, jak przesuwają się po moich plecach, owijają wokół siebie moje włosy…

– Tak. – Zrywam się, opierając o stolik. – Tak, czemu by nie? Chodźmy stąd.

Rozdział 54

Kiedy razem wychodzimy, twarz Cecile jest nieruchoma jak na zdjęciu. Idziemy ramię w ramię przez kampus, ale Leo nie próbuje wziąć mnie za rękę ani objąć ramieniem, co mnie cieszy. Gdyby próbował, pewnie jednak zrezygnowałabym z tej kolacji. Mam ochotę na rozmowę, która pozwoli mi się trochę rozerwać, a nie na randkę.

Przed bramą college'u czekają paparazzi, więc Leo zamawia specjalną taksówkę dla VIP-ów, z przyciemnianymi szybami, i wyjeżdżamy z parkingu przed college'em na ulice Londynu.

Co chwilę zerkam na telefon, nie mogę się powstrzymać, ale Marc nie dzwonił ani nie napisał.

– To nie przeze mnie, prawda? – pyta Leo, kiedy taksówka zatrzymuje się na światłach. Siedzi swobodnie na siedzeniu obok mnie, uderzając palcami w kolano w rytm wyimaginowanej melodii.

– Co? – pytam i upuszczam telefon na kolana.

– Jesteś taka smutna.

– Naprawdę wydaję się tak smutna?

– Tak.

– Przykro mi – wzdycham. – Nie, to nie przez ciebie.

– Czy mogę się domyślać, że przyczyną smutku jest Marc Blackwell?

Głupie łzy. Wystarczy, że ktoś wypowie jego imię. Poklepuję lekko skórę pod oczami.

– Hej. Hej. – Leo rozpina pas bezpieczeństwa, przysuwa się do mnie i obejmuje ramieniem. – Czy to ja wywołałem wilka z lasu? Przepraszam.

– Nie. – Zasłaniam twarz rękami i biorę kilka uspokajających oddechów. – Nie, wszystko w porządku. – Odrywam dłonie od twarzy i próbuję się uśmiechnąć.

– Tak lepiej. – Leo kiwa głową. – W takim razie nie wypowiem już słowa na „B". Dobrze?

– Dziękuję. I przepraszam. Tak mi głupio.

– Niepotrzebnie. – Leo ściska mnie za ramię. – Zmieńmy temat. Wiesz, dopiero drugi raz jestem w Londynie, ale uwielbiam to miasto. – Wskazuje dłonią mijane budynki. – Kiepskie żarcie, oczywiście. Ale nocne życie, super.

– Kiepskie żarcie? – uśmiecham się, ocierając łzy.

– Och, daj spokój. Ohydne. Same węglowodany i tłuszcze. Brakuje mi tu takiego jedzenia jak w Kalifornii. Byłaś kiedyś w Kalifornii?

Kręcę głową.

– Powinnaś się kiedyś wybrać. Mam dom na samej plaży. Spodobałoby ci się w Kalifornii. Najlepsze jedzenie na świecie. Świeże ryby, owoce. Smoothies. I mrożony jogurt, brakuje mi go tu.

– Zdajesz sobie sprawę, że idziemy na kolację w Londynie? – mówię z uśmiechem. – W restauracji też będziesz opowiadał, jaka kiepska jest brytyjska kuchnia?

Leo się śmieje.

– Nie wspomnę o tym, obiecuję. Zresztą my jedziemy do jednej z tych niewielu restauracji w Londynie, gdzie można dobrze zjeść.

– Och, doprawdy?

– Tak. Soba, japońska knajpa. Byłaś tam kiedyś?

Kręcę głową.

– Spodoba ci się.

Rozdział 55

Soba mieści się na drugim piętrze wielkiego brązowego budynku przy Park Lane. Jest tu bardzo cicho, trochę za cicho jak dla mnie. Jestem przyzwyczajona do tanich sieci restauracyjnych pełnym rozwrzeszczanych dzieci.

Wszystkie krzesła są obite skórą, a w sali jest więcej kelnerów niż gości.

– Miło, prawda? – pyta Leo.

Uśmiecham się, ale jestem zdenerwowana. Mam na sobie zwykłe dżinsy, jak zawsze, no ale Leo też.

– Czy mogę wziąć pana płaszcz? – pyta kelner.

– Jasne. – Leo podaje mu kurtkę.

Jeśli kelner ma jakieś obiekcje co do niezbyt eleganckiej kurtki Leo, nie okazuje tego w żaden sposób.

– Madame?

– Tak?

– Pani płaszcz?

– Och, oczywiście. Przepraszam. Dziękuję.

Kelner prowadzi nas do stolika z widokiem na Park Lane. Siedzimy przez chwilę, patrząc na mijające nas samochody. Leo jest naprawdę dobrym kompanem, czuję się przy nim swobodnie, nawet kiedy nic nie mówimy.

– Uwielbiam miasta, a ty? – mówi Leo. – Tyle się tu dzieje. Cały ten zgiełk. Dorastałem w małym miasteczku w Teksasie, gdzie nigdy nic się nie działo. Kiedy pierwszy raz pojechałem do Houston, to było, o rany… W takim miejscu chcę żyć. A potem zacząłem grać i Los Angeles było zupełnie jak Houston, tylko dziesięć razy lepsze.

– Jak trafiłeś do filmu? – pytam, kiedy kelner przynosi nam gorące, parujące ręczniki.

– Grałem w szkolnych przedstawieniach – mówi Leo. – Historia jakich wiele. Potem byłem modelem dla jednej firmy sportowej i zabrali mnie do Kalifornii, żeby nakręcić reklamę. Zacząłem surfować, spodobało mi się, do domu już nie wróciłem.

– Byłeś modelem? – pytam, zaskoczona. Leo wydaje mi się zbyt… sama nie wiem… zbyt autentyczny, żeby się wdzięczyć i pozować.

– Jasne. To były głównie stroje sportowe, wiesz. Ciuchy dla sportowców. A co, ty też byłaś modelką?

Śmieję się i kręcę głową.

– Chyba trudno byłoby o gorszą modelkę niż ja.

– Dlaczego?

– Cóż, przede wszystkim… – Spoglądam na swoje palce. – Nie bardzo o siebie dbam. – Wyciągam ręce do góry, pokazując obgryzione paznokcie. – Gdyby były dłuższe, nie mogłabym pracować w ogrodzie.

– Lubisz być na powietrzu, co?

– Uwielbiam. – Patrzę w okno. – W Londynie jest za mało drzew.

– I za mało oceanu. – Leo też wygląda na zewnątrz. – Ale tyle tu życia, prawda? Wielkie miasto.

Wzruszam ramionami.

– Nie można mieć wszystkiego.

Leo się uśmiecha.

– Nie jesteś jak inne aktorki, wiesz? Nigdy nie spotkałem aktorki takiej jak ty.

– To dobre czy złe?

– Odświeżające. Łatwo się z tobą przebywa. Oczywiście fajnie też, że jesteś taka ładna.

Kelner przynosi nam dwie karty.

– Szampana na początek? – pyta. – Mamy też wyśmienite jabłkowe mojito. Doskonałe do naszych przystawek.

– Sophio? – pyta Leo. – Masz ochotę na szampana? Czy na koktajl?

Rzucam okiem na kelnera, potem znowu na Leo i szepczę:

– Chyba najchętniej napiłabym się piwa.

– Piwa? – odpowiada Leo scenicznym szeptem. – W porządku!

Kelner uśmiecha się uprzejmie.

– Mamy świetne piwo japońskie. Dwa razy kirin?

– Brzmi dobrze.

Otwieram swoją kartę.

– To wszystko to surowe ryby? – pytam.

– Nie wszystko – śmieje się Leo. – A co? Nie lubisz surowych ryb?

– Nigdy żadnej nie jadłam. – Przygryzam paznokieć.

– Nie jadłaś? Są pyszne.

Marszczę brwi, wpatrując się w kartę.

– Jako danie główne poproszę lan… gus… tę… – mówię ostrożnie. – To coś jak krewetka, prawda?

Leo znowu się śmieje.

– Sophio, to coś w rodzaju tapas, wiesz? Zamawiasz więcej niż jedną.

– Och. – Czuję się zakłopotana i karta wysuwa mi się z rąk.

– No dobrze, więc… ceviche… co to za ryba?

– To nie jest ryba, skarbie. To danie.

– Może po prostu zamówisz coś dla mnie – mówię, popychając kartę przez stolik. Palą mnie policzki. – Tak będzie znacznie prościej.

– Jasne – mówi Leo i bierze kartę w chwili, kiedy kelner przynosi nam piwo. Zamawia, ale nie mam pojęcia co, jedyne znane mi słowo, to kawior… Biorę głęboki oddech, bo przypomina mi moją pierwszą kolację z Markiem.

– Więc jak minął ci dzień? – pyta Leo.

– Okropnie – mówię i upijam łyk piwa. – Zwykle uwielbiam grać. Ale nie wtedy, kiedy ktoś ciągle szuka dziury w całym.

– Spróbuj spojrzeć na to z perspektywy Daviny – mówi Leo. – Ona jest przyzwyczajona do pracy z zawodowcami.

– Dziękuję.

– Przepraszam. To nie zabrzmiało przyjemnie. Ale widzę, o co jej chodzi, choć ona nie przekazuje tego w najlepszy sposób. Jest wielka różnica między studentem szkoły aktorskiej i profesjonalnym aktorem. Przydałoby ci się trochę szlifu.

– Szlifu?

– Mhm. – Leo kiwa głową, popijając piwo. – Tuning. Żebyś nie była taka spięta.

– Ale im bardziej ona się czepia, tym bardziej jestem spięta. – Skubię etykietę na butelce.

– Wiesz, to, co robisz, oznacza, że jesteś seksualnie sfrustrowana.

Gwałtownie podnoszę głowę.

– Słucham?

Leo wskazuje moją butelkę.

– Zdzieranie etykiet z butelek. Frustracja seksualna.

Czuję, że się czerwienię.

– O, patrz. Są już nasze dania.

Rozdział 56

Jedzenie jest naprawdę przepyszne. Myślałam, że surowa ryba będzie smakowała rybą, ale wcale tak nie jest. Ma delikatny, świeży smak i jest podana tak pięknie, że mam ochotę wyjąć smartfon i zrobić zdjęcia.

Jemy delikatne płaty surowego łososia, rozciągnięte na lodzie, tacos wypełnione surową wołowiną, skropione sokiem z cytryny i zupę z homara na szampanie.

– Pójdziesz jeszcze gdzieś ze mną po kolacji? – pyta Leo. – Do paru londyńskich klubów?

Kręcę głową.

– Muszę się nauczyć tekstu.

– Bardzo dobrze. Najlepsza studentka. Nic dziwnego, że… Och, nie. Obiecałem, że nie będę o tym wspominał.

– To, co mówiłeś o tych szlifach, których wymagam. – Podważam widelcem skorupkę krewetki. – Co właściwie miałeś na myśli?

– Och, po prostu… widać, że nie grałaś nigdy profesjonalnie. To wszystko. Za bardzo przywiązujesz uwagę do tego, kto patrzy.

– A jak można przestać to robić?

Leo wzrusza ramionami.

– Trudno powiedzieć. To chyba przychodzi z czasem.

– Więc może do premiery będę już lepsza?

– Będziesz lepsza, ale nie wiem, czy będziesz na poziomie, jakiego oczekuje Davina. Trzeba całych lat, żeby naprawdę zapomnieć o widowni.

– Lat. – Wpatruję się w okno.

– Pijesz to piwo? – pyta Leo.

Patrzę na w połowie pełną butelkę przy moim talerzu.

– Nie.

Leo sięga po nią i wypija wszystko kilkoma dużymi łykami.

– Na pewno nie chcesz pójść ze mną gdzieś po kolacji?

Uśmiecham się i kręcę głową.

– Myślę, że prasa dostała już dzisiaj dość moich zdjęć.

Jest jeszcze coś – coś, o czym nie mówię. I tak przez cały czas będę myślała tylko o Marcu.

– Wszystko w porządku? – pyta Leo. – Wyglądasz, jakbyś myślała o czymś bardzo poważnym.

– Nic takiego. – Sięgam po telefon.

– Nie zadzwoni. – Leo kręci widelcem na stoliku.

Moje palce nieruchomieją nad ekranikiem smartfona.

– Posłuchaj, sprawdzałaś telefon mniej więcej co pięć minut przez cały wieczór – mówi Leo. – Nie zadzwonił. Usłyszałabyś, gdyby było inaczej.

Opuszczam rękę.

– A wydawało mi się, że robię to dyskretnie.

– Jak hipopotam. Ale obiecałem, że nie wypowiem słowa na „B", więc… – Leo podnosi ręce do góry.

Wzdycham.

– Masz rację. Nie zadzwonił. Ani nie napisał.

– Hej… mogłoby być gorzej. Mogłabyś mieć wirusa w telefonie i dostawać pięćset esemesów dziennie, jak ja.

– Dostajesz pięćset esemesów dziennie?

Leo kiwa głową.

– Czasami więcej. Mój telefon oszalał. Przysyła mi wszystko po dwa, a nawet trzy razy.

– Mogę go zobaczyć? – pytam.

– Jasne. – Leo podaje mi cienki, srebrny telefon z ekranem dotykowym.

Przeglądam ustawienia, a potem trafiam na właściwą aktualizację i włączam ją.

– To rzeczywiście wirus – mówię, oddając telefon Leo. – Ale znalazłam aktualizację, która powinna to naprawić. Teraz chyba będzie działał jak należy.

Leo szeroko otwiera oczy.

– Rany. Dziewczyna, która zna się na oprogramowaniu. Kto by pomyślał, że masz takie ukryte talenty?

Wzruszam ramionami.

– Lubię gadżety, to wszystko.

– Szkoda, że nie chcesz pójść ze mną potańczyć. Wezwać ci taksówkę?

Kiwam głową i znowu zaczynam myśleć o Marcu. Marc postarałby się odwieźć mnie osobiście. Upewnić się, że jestem bezpieczna. Ale Marc też właśnie ze mną zerwał.

– Dziękuję – mówię. – Byłoby bardzo miło.

Leo woła kelnera.

– Taksówka dla tej pani. Zna pan jakieś dobre kluby, tu w okolicy?

Kelner uśmiecha się sztywno.

– Kluby nocne, sir?

– Tak. – Leo klepie go po ramieniu. – Tańce, hulanki, swawole i tak dalej.

– Niedaleko jest Chinatown. – Kelner spogląda na dżinsy Leo. – Zdaje się, że czegoś takiego pan szuka.

Leo wstaje.

– Na pewno nie chcesz iść ze mną? Ostatnia szansa?

– Nie, lepiej, żebym już wracała. Powinnam się wcześnie położyć.

Rozdział 57

Następnego ranka budzi mnie pukanie do drzwi.

– Soph? Soph!

– Tanya? – Pocieram zmęczone oczy, zadowolona, że nie wypiłam za dużo poprzedniego wieczoru. W ustach mam trochę sucho, więc chwytam szklankę z wodą, która stoi przy łóżku i pociągam długi łyk.

Odstawiam szklankę, owijam się kołdrą i chwiejnie podchodzę do drzwi.

– Która jest godzina? – pytam, otwierając drzwi.

Na korytarzu stoi Tanya ze zwiniętą w rulon gazetą w ręce, i niemal podskakuje.

– Czytałaś tę gazetę? – Okulary ma zaparowane, włosy w nieładzie. Jest ubrana w granatowy szlafrok z żółtymi sznurkami wokół klap.

– Dopiero wstałam. – Odsuwam się, żeby mogła wejść do pokoju.

Tanya wpada do środka i rzuca się na moje łóżko.

– Ta straszna krowa, Cecile. Wykręciła ci kolejny numer.

Pocieram oczy.

– W pewnym sensie spodziewałam się tego. Była wczoraj w biurach GMQ, więc domyślałam się, że coś się dzisiaj wydarzy.

Siadam obok Tanyi na łóżku. Ciężko mi na sercu.

– Pokaż.

Tanya rozkłada gazetę na materacu. Na okładce jest duże zdjęcie – ja i Leo przed Tottenham Theatre. Leo promienieje w szerokim, hollywoodzkim uśmiechu a ja mam półprzymknięte oczy i usiłuję się wysunąć spod jego ramienia. Włosy mam rozwiane na wszystkie strony, czoło tłuste i świecące, a niepomalowane oczy wyglądają na zmęczone.

Zdjęcie nie wydaje się ani trochę romantyczne. Bardzo mnie to cieszy.

Mrugam, czytając tytuł.

Czy Sophia zdradza?

Och, fantastycznie. Czytam artykuł.

„Trochę zaniedbana studentka, Sophia Rose, wzbudziła wczoraj sensację, wybierając się na kolację z gwiazdą *Pięknej i Bestii*, złotym chłopcem Hollywood, Leo Falkirkiem.

Wiadomość o tej randce z pewnością będzie wstrząsem dla Marca, który zaledwie wczoraj podał do publicznej wiadomości uczucie, jakie dla niej żywi.

Falkirk wydaje się zauroczony śliczną brunetką, ale czy i jego nie czeka bolesny zawód?

– Marc sprawiał wrażenie kompletnie załamanego na naszym wykładzie – mówi Cecile Jefferson, koleżanka Sophii z roku. – Widać, że Sophia naprawdę zaszła mu za skórę. Dla niej to zabawa, a on cierpi. Ta dziewczyna pójdzie do łóżka z każdym, żeby wspiąć się na szczyt. Jest wyrachowana i nie ma serca. Nie dba o to, kogo zrani, byle osiągnąć swój cel.

Tutaj nikt nie rozumie, dlaczego spodobała się Marcowi. To pospolita dziewczyna ze wsi, która nie zasługuje na kogoś w rodzaju Marca czy Leo. Nie mam pojęcia, co oni obydwaj w niej widzą”.

W pierwszej chwili zaczynam się śmiać. Jest to śmiech trochę histeryczny, ale jednak śmiech.

– Boże, ona nie ma cienia przyzwoitości.

– Nie jesteś wściekła? – pyta Tanya. – Ja jestem.

– Nie wściekaj się – mówię. – To żałosne. Jestem tylko ciekawa, ile czasu zajmie odkręcanie tego, co naplotła.

– Musisz ją powstrzymać – upiera się Tanya.

– Wiem – mówię. – Tylko nie wiem jak. Na razie.

– Mówiłaś, że była wczoraj rano w biurach tej gazety? W takim razie nie mogła być na wykładzie Marca. I skąd się dowiedzieli, że byłaś na tej kolacji?

– Może zadzwoniła do nich i podała dodatkowe szczegóły.

– Co za krowa.

– Znudzi jej się to – mówię.

– A jeśli nie? Chcesz pozwolić, żeby tak opluwała twoje nazwisko?

– Częściowo to moja wina – mówię. – Sama zgodziłam się na tę wczorajszą ustawkę z Leo. Domyślam się, że Cecile musiała podsłuchać coś na temat kolacji, ale… jak mówi Leo, kto mieczem wojuje, od miecza ginie.

Rozdział 58

Po wyjściu Tanyi wkładam legginsy i bluzę, i myję zęby. Spoglądam w lustro w łazience i widzę swoje brązowe, zmęczone oczy.

Trochę zaniedbana studentka.

Pluję do umywalki, wycieram usta i szukam na półkach przyborów do makijażu. W końcu znajduję pudełko, w którym trzymam kredkę do oczu, tusz do rzęs i kilka innych podniszczonych kosmetyków.

Podkreślam oczy kredką, pociągam rzęsy tuszem, potem nakładam na twarz trochę podkładu, puder i róż w kremie. Na końcu przyciemniam lekko brwi. Tak jest lepiej? Czy teraz nie jestem już taka zaniedbana?

Rzucam okiem na swoje ubranie w długim lustrze i obracam się bokiem.

Pospolita. Ze wsi.

Zdejmuję ubranie i wkładam długą zieloną sukienkę z dzianiny i skórzane botki na płaskich obcasach.

Czy teraz zostawią mnie w spokoju?

– Hej, co to za makijaż? – pyta Leo, kiedy wchodzę na scenę teatru Queen's.

Dotykam ręką policzka.

– Nic, tylko… pomyślałam, że powinnam się bardziej postarać.

– Dla kogoś w szczególności?

– Nie, po prostu dla siebie samej… Czy to źle wygląda?

– Nie, tylko… trochę nie w twoim stylu.

Dostrzegam Davinę, która siedzi w pierwszym rzędzie i wystukuje coś na swoim telefonie. Obok jej wysokich obcasów stoi parujący kubek z kawą.

Spogląda na mnie, a potem znowu spuszcza wzrok na telefon.

– Miło widzieć, że dla odmiany przyszłaś punktualnie, Sophio.

– Przepraszam za wczoraj – mówię. – Zazwyczaj nigdy się nie spóźniam.

– Na razie masz średnią pół na pół – rzuca Davina.

Patrzę na Leo, ale on akurat przegląda scenariusz.

– No, dobrze. – Davina wrzuca telefon do torebki. – Miejmy nadzieję, że dzisiaj masz lepszy głos. Chyba wolno mi marzyć.

– Myślę, że Sophia ma bardzo dobry głos – mówi Leo. – Idealny do tych piosenek. Bardzo subtelny. Ładny.

– Cóż, niech każde z nas pozostanie przy swoim zdaniu.

– Wiem, że nie mam mocnego głosu – mruczę. – Muszę więcej ćwiczyć. I będę.

– A co u ciebie i Marca? – Davina unosi jedną brew. – Czy sytuacja jest ciągle taka… skomplikowana?

– Ja… nie. Nie widziałam się z nim.

A on nie zadzwonił. I nie napisał.

Davina wzdycha.

– Cóż. Dzisiaj rano pojawił się niezły artykuł. No! – klaszcze w dłonie. – Bierzmy się do roboty.

Rozdział 59

Próba okazuje się jeszcze gorsza niż poprzedniego dnia. Davina jeszcze bardziej mnie krytykuje – jeśli to w ogóle jest możliwe. Na domiar złego Marc ciągle nie dzwoni. Już od dwóch dni. Sama nie wiem, na co czekam. Przecież zerwaliśmy ze sobą. Ale jakaś część mnie ciągle ma nadzieję, że może, może, coś jeszcze da się zrobić.

Idę do swojego pokoju, uczę się tekstu, zasypiam, a kiedy otwieram oczy, znowu muszę iść na próbę.

Dni i tygodnie zlewają się ze sobą. Co rano wstaję o siódmej, jem śniadanie z Tomem i Tanyą, a potem idę do teatru na całodzienną próbę.

Nigdy nie kończymy przed siódmą wieczorem, a potem jestem zwykle tak zmęczona, że tylko uczę się tekstu na następny dzień i idę spać. Czasami Tom i Tanya przychodzą do mojego pokoju obejrzeć jakiś film, ale ja zwykle zasypiam w połowie.

Nie mam czasu, żeby spotkać się z rodziną i Jen, co bardzo mnie smuci, ale udaje mi się czasami porozmawiać z nimi przez telefon. Naprawdę brakuje mi Samuela, jego uścisków i zabaw z nim. Tata kilka razy dał mi posłuchać jego gaworzenia przez telefon, ale to nie to samo.

Kiedyś późnym wieczorem, po szczególnie męczącej próbie, tata zapytał mnie o Marca.

– Czytałem w gazetach, że zerwaliście ze sobą – mówi. – Chyba nie złamał ci serca, prawda?

– Nie – kłamię. – Wszystko w porządku.

Nie chcę go martwić.

Marc dotrzymał obietnicy. Nie widziałam go, nie miałam od niego żadnej wiadomości, ale myślenie o nim boli mnie bardziej niż kiedykolwiek. Czy o mnie zapomniał? Czy kiedykolwiek naprawdę mu na mnie zależało? Coraz trudniej mi wierzyć, że w ogóle coś nas kiedyś łączyło.

W college'u coraz wyraźniej widać zbliżające się Boże Narodzenie, przez co czuję się samotna i smutna. Zwykle uwielbiam święta, ale nie w tym roku. W tym roku chcę je po prostu przetrwać i nie myśleć o Marcu.

Leo i ja pracujemy nad sztuką, ale to ciężka praca. Davina krytykuje mnie na każdym kroku, a ja, zamiast być coraz lepsza, często mam wrażenie, że staję się gorsza i popełniam więcej błędów. Boję się mówić swój tekst, bo wiem, że Davina zaraz coś skrytykuje i poprawi.

Czepia się wszystkiego, przy każdej okazji.

„Wyprostuj się, Sophio. Pokaż trochę charakteru… Więcej charyzmy, na litość boską. Chryste, nawet na to cię nie stać? Jesteś taką amatorką, że powinnaś mi płacić za to, że

muszę na to patrzeć”.

Najgorsze, że ona, przynajmniej częściowo, ma rację – wiem o tym. No dobrze, przekazuje mi swoje opinie w wyjątkowo wredny sposób, ale to nie znaczy, że mówi nieprawdę.

Leo nie jest Markiem Blackwellem, ale to dobry aktor. Pewny siebie. Doświadczony. Zdolny. Przy nim wiem bardzo niewiele i to widać. A im bardziej Davina mnie krytykuje, tym gorsza się czuję i tym więcej błędów popełniam.

Rozdział 60

Po pewnym wyjątkowo koszmarnym poranku, kiedy próby trwają już mniej więcej od miesiąca, Davina nazywa mnie „totalną stratą czasu”, a ja mam dość. Jestem wyczerpana i złamana.

Kiedy zaczyna się przerwa na lunch, schodzę ze sceny i staję przed pierwszym rzędem.

– Davino, możemy porozmawiać?

Davina opiera długopis o swoje czerwone wargi i ze zmarszczonymi brwiami wpatruje się w scenariusz.

– O czym? – Dzisiaj ma okulary w jaskrawoczerwonych oprawkach, które zjechały jej na czubek nosa.

– Wiem, że nie byłam pierwszą wybraną przez ciebie aktorką do tej roli.

– W rzeczy samej.

– Ale naprawdę się staram.

Davina rzuca długopis na scenariusz i wbija we mnie twardy, nieruchomy wzrok.

– Stara się. No, no. Zupełnie jak w szkle. – Drwiąco klaszcze w dłonie. – Domyślam się, że póki naprawdę bardzo się starasz, to bez znaczenia, że rujnujesz mój spektakl.

– Nie chcę niczego rujnować – mówię. – Proszę, powiedz mi… Powiedz mi, co mam robić.

– Bądź lepsza. – Davina mówi powoli i wyraźnie, jakbym miała pięć lat, a potem opuszcza wzrok na scenariusz. – Nabądź do jutra pięciu lat doświadczenia. A teraz wybacz, ale mam ciekawsze rzeczy do roboty, niż cię niańczyć.

Przełykam ślinę.

– Dziękuję za twój czas. – Wybiegam z teatru i nagle okazuje się, że jestem już na środku terenu należącego do college’u a po twarzy płyną mi łzy.

Odwracam się w stronę teatru i myślę: Nie mogę tam wrócić. Po prostu nie mogę. Przynajmniej przez jakiś czas. Coś się musi zmienić albo całkiem się rozpadnę.

Nogi niosą mnie przed siebie, przez park, w stronę lasu. Beton zmienia się w żwir, a potem w ziemię i po chwili czuję pod stopami szeleszczące liście. Powietrze jest świeże i słodkie, ale tym razem nieruchome drzewa nie są w stanie mnie uspokoić. Oddycham głęboko, ale czuję tylko bezsilność.

I tak źle, i tak niedobrze. Jest już zdecydowanie za późno, żeby się wycofać – nowa aktorka nie zdoła nauczyć się roli do premiery. Ale jeśli Davina nadal będzie tak po mnie jeździła, dostanę rozstroju nerwowego. Moje poczucie własnej wartości już zostało poważnie nadwątlone. Jeszcze trochę i całkiem się rozsypie.

Opieram się o pień drzewa i pozwalam sobie na płacz. Już prawie nie ma łez, kiedy słyszę, jak za moimi plecami pęka z trzaskiem jakaś gałązka.

Odwracam się z czerwonymi od płaczu oczami, wilgotną twarzą i zakrywam usta ręką.

To Marc. Stoi kilka kroków za mną i wygląda tak, jakby ktoś właśnie wbił mu nóż w serce. W palcach trzyma zapalonego papierosa.

Nie mam dokąd uciec – a przede wszystkim nie mam sił, żeby uciekać.

– Sophia? Wszystko w porządku? – Ma na sobie obcisły czarny podkoszulek i czarne spodnie, i jak zwykle zdaje się nie odczuwać chłodu. Pochyla się, żeby zgasić na ziemi papierosa i butem przysypuje niedopałek ziemią.

– Znowu palisz?

– Zastąpiłem zdrowy narkotyk niezdrowym.

– Myślałam, że trzymasz się ode mnie z daleka – mówię.

– Staram się, wierz mi. Ale widziałem, jak biegłaś do lasu i czułem, że coś jest nie tak. Nie jestem z żelaza. Nie mogę widzieć, że jesteś nieszczęśliwa i odejść w przeciwnym kierunku.

– Miałeś rację. Nie powinnam była przyjąć tej roli.

Marc robi krok w moją stronę; czuję jego świeży, naturalny zapach.

– Sophio – mówi miękko. – Porozmawiaj ze mną. Co się dzieje?

Tonę w jego oczach, serce wali mi jak szalone, pocą mi się dłonie, chwieję się, usiłując złapać równowagę. Minął już ponad miesiąc, a on ciągle działa na mnie tak samo.

Wypuszczam powoli powietrze, próbując się uspokoić.

– To mój problem – mówię.

– Chryste. – Marc przeczesuje włosy ręką. – Sophio, powiedz mi, o co chodzi. Pozwól sobie pomóc.

Kręcę głową.

– Za późno. Nic już nie pomoże. Po prostu nie jestem dość dobra, żeby grać w tej sztuce.

– Nigdy tak nie mów. – Jego głos brzmi twardo. Poważnie.

– Ale taka jest prawda. Nie jestem dość dobra. Brak mi doświadczenia.

Marc na moment zaciska powieki, a kiedy znowu otwiera oczy, są bardziej czyste niż przedtem.

– Ja mogę ci pomóc – mówi. – Nauczyć cię, jak być lepszą. Wydawać się bardziej doświadczoną.

– Nauczyć mnie? – Otwieram usta. – To jest możliwe?

– Jeśli twoim problemem jest gra, to tak – uśmiecha się. – Zabawne. Kiedy powiedziałaś mi, że zamierzasz przyjąć tę rolę, nawet przez myśl mi nie przeszło, że problemem może być twoja gra. To znacznie lepszy problem niż Giles Getty.

– Nie wiem, czy mogę ryzykować spotkania z tobą. Teraz, kiedy nie jesteśmy już razem.

– Do tej pory potrafiłaś mi się oprzeć, prawda?

Śmieję się.

– Z trudem. – Serce bije mi tak mocno, że chyba ptaki muszą to słyszeć.

– Davina jest znana – mówi Marc – z tego, że bywa twarda. Musisz nabrać pewności siebie, to wszystko. Bardziej przejmować kontrolę. W tym mogę ci pomóc.

– Próby to piekło – przyznaję. – Ona mnie nienawidzi. Nie umiem dać jej tego, czego oczekuje, a im bardziej ona mnie krytykuje, tym bardziej się rozsypuję.

– Cóż, masz wybór – mówi Marc. – Możesz schować głowę w piasek i zostawić to tak, jak jest. – Podchodzi jeszcze krok bliżej. – Albo pozwolić, żebym ci pomógł.

– Marc. – Wbijam wzrok w liście na ziemi. – Przecież wiesz, jakie to byłoby trudne.

– Byłaś dość silna, żeby przyjąć tę rolę. – Słyszę chrzęst liści pod jego stopami. Jest już całkiem blisko. Za blisko. – Więc to naprawdę zależy od ciebie. Możesz się kontrolować i przyjąć moją propozycję. Albo zostawić wszystko tak, jak jest.

– Marc… po prostu myślę, że… to chyba nie jest dobry pomysł, żebyś mnie teraz uczył.

Chwila ciszy.

– Jak chcesz.

Nadal na niego nie patrzę. Cały czas wpatruję się w ziemię.

– Tak trudno być blisko ciebie – mówię szeptem.

– W takim razie powinienem już iść.

Drżę, bo czuję nagły ruch chłodnego powietrza. Coś ściska mnie w piersi, robi mi się zimno.

Podnoszę głowę, ale Marca już nie ma.

Rozdział 61

Sama w lesie myślę o Queen’s Theatre i o tym, co mnie tam czeka. Nagle chłód staje się nie do zniesienia i już nie drżę, ale trzęsę się z zimna. Nie chcę tak wrócić i znowu słuchać tych ostrych, rozdzierających słów. Chcę stać się lepsza. Być lepsza.

Nagle rzucam się biegiem przez las; liście szeleszczą, ziemia pryska mi spod stóp.

Widzę Marca przed sobą, na parkingu; idzie szybko, jego długi krok zwiększa dzielący nas dystans. Zmierza do stojącego tam swojego forda mustanga.

– Marc!

Zatrzymuje się; widzę, jak jego ramiona unoszą się szybko i opadają. Dla niego jest to tak samo trudne jak dla mnie.

– Zaczekaj.

Doganiam go, zdyszana, przyciskając rękę do piersi.

– Ja… Masz rację. Rzeczywiście potrzebuję pomocy. Muszę być lepsza. Pomożesz mi?

Marc odwraca się, a mnie niemal poraża, jak jest przystojny w tym mlecznym, zimowym świetle.

– Naprawdę musisz pytać?

Tak bardzo chciałabym go dotknąć. Poczuć, jak mnie obejmuje. Ale nie. Nie o to tu chodzi i jeśli naprawdę chce mi pomóc, muszę być silna.

– Czy to znaczy „tak”?

– Oczywiście, że to znaczy „tak”. Będę w teatrze o dziewiątej wieczorem.

Rozdział 62

Kiedy idę tego wieczoru do Queen's Theatre, moje uggsy skrzypią na srebrzystym lodzie. Jest mróz, ale ja się z tego cieszę. Od spotkania z Markiem mam mętlik w głowie, a zimno zawsze pomaga mi uspokoić umysł.

Włożyłam czarne legginsy i długi, karmazynowy sweter, żeby wyglądać swobodnie i na luzie. Jakby to nie było nic wielkiego.

Idę szybko, żeby nie dać sobie czasu na rozmyślania ani emocje. To po prostu kolejna lekcja. Miałam już wcześniej lekcje z Markiem… Kręcę lekko głową.

Nie myśl o tym.

Widzę przed sobą drzwi teatru; wydają mi się wyższe i ciemniejsze niż zwykle.

Czuję, że zwalniam, a potem… przystaję.

Nie jestem pewna, czy dam radę. Serce bije mi tak mocno, z trudem przełykam, choć nie mam nic w ustach.

Odwracam się i słyszę chrzęst żwiru pod swoimi butami.

Za moimi plecami drzwi teatru otwierają się, skrzypiąc.

– Sophia.

Nieruchomieję. Głos Marca przenika mnie aż do kości.

– Dokąd idziesz? – Jego głos jest tak głęboki, że przeszywa moje ciało jak prąd elektryczny.

– Chyba zmieniłam zdanie – mówię, nie odwracając się do niego. Księżyc w górze jest jak srebrny sierp; wpatruję się w niego, czując, że zaczynają mnie piec oczy.

Słyszę chrzęst żwiru i czuję, że Marc jest tuż za mną.

– Wejdź do środka. – Czuję na karku bijące od niego ciepło. I, och, ten głos. On musi wiedzieć, jak na mnie działa. Jak dziko trzepocze przy nim moje serce, jak miękną mi kolana.

– Nie jestem pewna, czy dam radę.

Teraz słyszę jego oddech – niski i płytki. Włoski na moim karku podnoszą się lekko, a ja zamykam oczy i biorę głęboki oddech. Czuję jego zapach. Ten świeży, czysty zapach, który doprowadza moje zmysły do obłędu.

– Jesteś silniejsza od tego – mówi Marc stanowczo. Teraz jest nauczycielem.

– Nie sądzę. – Kręcę głową, czując łzy pod powiekami.

– Jesteś. Odwróć się.

– Marc…

– Powiedziałem, żebyś się odwróciła.

Przełykam i odwracam się, z wilgotnymi, czerwonymi oczami. Znajdują się na wysokości jego gładkiego, kwadratowego podbródka.

– Jest coś, czego chcesz – mówi Marc.

Nie spuszczam wzroku z jego brody i barków. Ma na sobie czarną, zapinaną na guziki koszulę bez krawata.

– Coś, czego chcę? – jąkam się.

– Chcesz być silniejsza. Chcesz być lepszą aktorką.

– Tak, ale…

– Więc dzisiaj tego się właśnie nauczysz. Spójrz na mnie. – Pstryka palcami, mocno, głośno, tuż przed moimi oczami, a ja odruchowo podnoszę wzrok.

Marc ma zmarszczone brwi. Jest poważny.

– Dasz radę, Sophio.

– Ja…

– Tak. – Tonem nieznoszącym sprzeciwu. – Dasz radę. Wejdź do środka. Zanim zamarzniesz tu na śmierć. Chodź. Dość tych bzdur.

Na moment zamykam oczy. On ma rację. Byłoby żałosne, gdybym teraz zrezygnowała.

– W porządku. Doskonale.

Rozdział 63

Ty pierwsza. – Marc przytrzymuje przede mną drzwi teatru.

– Dziękuję. – Wchodzę do środka, nie patrząc na niego. Światła są przyćmione. Jest mrocznie i intymnie. Podchodzę do sceny i wspinam się na stopnie.

Za plecami słyszę skrzypnięcie zamykanych drzwi, które odbija się echem w pustym teatrze. Buty Marca stukają po zakurzonej podłodze.

Odwracam się w stronę widowni i widzę, że Marc stoi między rzędami, opierając ręce na biodrach.

– Spieszno pani na scenę, panno Rose?

Nawet w tym słabym świetle doskonale widać, jaki jest atrakcyjny. Porusza się tak swobodnie, wysoko podnosząc głowę. Blask lamp podkreśla jego kości policzkowe. Mam ochotę wsunąć palce w jego gęste włosy. Chcę go poczuć, jego całego, wszędzie.

Nie.

Muszę wziąć się w garść.

– Nie bardzo – przyznaję. – Tylko… Chyba chciałam wejść na scenę, ale potem się rozmyśliłam.

– Dla mnie to też jest trudne – mówi Marc. Jest teraz bliżej; jego twarz jaśnieje w białym świetle padającym ze sceny. Ostre kości policzkowe, piękny, prosty nos, lekko zapadnięte policzki. – Ale obiecałem sobie, że będę silny. I ty też potrafisz być silna. Wiem, że potrafisz.

– Spróbuję.

– Nie. – Marc jest teraz tuż przy scenie, wpatruje się we mnie twardo. – Nie spróbujesz. Ty to zrobisz. Czy to jasne? Na moich lekcjach nie ma miejsca na porażkę. Porażka mojego ucznia jest moją porażką. A mnie nie zdarzają się porażki.

Zapomniałam już, jak surowy potrafi być Marc. Jak ostry. I jak dobrym jest nauczycielem. Jego słowa budzą coś we mnie – jakąś siłę. Tak. Zrobię to. Poradzę sobie. Oboje sobie poradzimy.

– Przeczytałem scenariusz *Pięknej i Bestii* – mówi Marc i siada w pierwszym rzędzie, krzyżując wyciągnięte przed siebie nogi. – Nauczyłem się go na pamięć. Podoba mi się. W tej historii jest coś więcej, niż mi się wydawało. I dokładnie wiem, którą scenę chcę z tobą dzisiaj próbować. Scenę pięćdziesiątą, w której Piękna mówi Bestii, że się w nim zakochała.

– Chyba żartujesz – kręcę głową. – Naprawdę chcesz, żeby ta sytuacja była jeszcze trudniejsza?

– Wierz mi, Sophio, ta scena jest w tej chwili dla ciebie najlepsza. Posłuchajmy.

Opuszczam ramiona i okrążam scenę, szukając w głowie tekstu.

– W porządku. Tak, jestem gotowa.

– Zaczynaj.

Rozluźniam twarz i odchrząkam.

– Jesteś piękny – mówię, wyciągając ręce do niewidzialnej Bestii. – Dobry i życzliwy. Na początku tego nie dostrzegałam, ale teraz widzę to wyraźnie. Widzę istotę, którą jesteś w środku, i to jest książę.

Czytam resztę tej sceny, zaskoczona, że przychodzi mi to łatwiej niż kiedykolwiek z Daviną. Kiedy kończę, ogarnia mnie radość. Już prawie zapomniałam, jakie to cudowne uczucie występować.

– W porządku. – Marc wstaje. – Dobrze, Sophio. Emocjonalnie. Szczerze. Gdybym był twoim reżyserem, byłbym bardzo zadowolony.

– Ale… Davina nie jest ze mnie zadowolona… ani trochę. Może powinnam być bardziej… zmysłowa, czy coś w tym rodzaju? Jak mówiłeś, kiedy udzielałeś mi lekcji?

Marc kręci głową.

– To nie jest zmysłowa rola. Ta postać jest bardziej subtelna. Jesteś stworzona do tej roli, pod wieloma względami.

– Dzisiaj byłam lepsza. Lepsza niż kiedykolwiek z Daviną. Nie wiem dlaczego.

– Ponieważ czułaś się pewniej.

– Więc o co chodzi? Dlaczego nie potrafię być pewna przy Davinie?

– Ponieważ brakuje ci doświadczenia.

– Tak powiedział też Leo.

– To znaczy co powiedział? – Marc mruży niebieskie oczy.

– Marc… chcę, żebyś to wiedział… między mną a Leo nic nie ma…

– Twoje życie osobiste mnie w tej chwili nie interesuje – przerywa mi Marc. – Kolejna scena. Piętnasta.

Pochwała Marca ciągle dźwięczy mi w uszach. Mówię swój tekst z większą pewnością siebie.

– Dobrze – woła Marc, kiedy kończę. Patrzy na mnie przez chwilę, a ja znowu czuję się jak zając w świetle samochodowych reflektorów.

– Co? – pytam.

– Tak sobie myślę… o tym, jak moje doświadczenia mogłyby ci pomóc. – Marc przesuwa dłonią po obitym aksamitem podłokietniku krzesła, a ja nie potrafię oderwać wzroku od jego palców.

Nie! Weź się w garść, Sophio!

– Twoje doświadczenia? – pytam. Mam nadzieję, że nie widać po mnie, o czym myślę.

– Tak – mówi Marc, ciągle przesuwając palcami po czerwonym aksamicie. – Kiedy kręciłem swój pierwszy duży film, byłem bardzo skrępowany. Pewnie tak jak ty przy Davinie. To była trudna rola, wiedziałem, że do niej nie dorastam. Mój ojciec nakłamał, opowiadając o tym, jaki jestem doświadczony i jak zwykle to ja musiałem się postarać, żeby jego kłamstwa nie wyszły na jaw.

Robi mi się miękko na sercu. Tak dziwnie myśleć o Marcu jako chłopcu. A zwłaszcza bezbronnym chłopcu. Łamie mi to serce.

– Musiałeś chyba nienawidzić ojca – mówię szeptem.

– Nie było mi smutno, kiedy zmarł, tak to ujmijmy. Ale… wracajmy do ciebie. – Marc

wstaje nagle i podchodzi do sceny. – Opowiadałem ci o moich doświadczeniach. Im bardziej się denerwowałem, tym słabiej grałem. Czy tak właśnie czujesz się przy Davinie? Skrępowana? Zdenerwowana? – Wchodzi na scenę.

Kiwam głową, czując, że sztywnieję coraz bardziej, w miarę jak się do mnie zbliża.

Rozdział 64

Nie. Proszę. Nie podchodź bliżej. Nie zniosę tego.

– Jesteś niedoświadczona, Sophio. – Obchodzi mnie dookoła, zmuszając, żebym się obróciła i spojrzała na niego. – Więc nie przejmujesz kontroli. A to właśnie powinnaś zrobić. Widzisz, co ja teraz robię?

– Poza tym, że wywołujesz u mnie zawroty głowy?

Marc uśmiecha się lekko, a mnie żołądek podchodzi do serca.

– A wywołuję?

– Tak – mówię, cały czas się obracając.

– A mimo to ciągle na mnie patrzysz.

Spuszczam wzrok.

– To… jakby… odruch.

– Właśnie. Wcale nie zamierzałaś tego robić. Przejąłem nad tobą kontrolę. A ty zaczęłaś robić to, co chciałem, żebyś robiła. Patrzyłaś tam, gdzie chciałem, żebyś patrzyła. Ale taka władza pojawia się dopiero wtedy, kiedy przestajesz się przejmować tym, co myślą inni i zaczynasz im kazać, co mają myśleć.

– Ale jak się tego nauczyłeś? – pytam i ryzykuję podniesienie wzroku. Marc przestał chodzić wokół mnie i stoi teraz z rękami w kieszeniach.

– Łut szczęścia – mówi. – Miałem dobrego mentora. – Wyciąga cienki czarny portfel z kieszeni i rozkłada go, a potem wyjmuje z niego podniszczoną wizytówkę, zapisaną niebieskim długopisem. – Ciągle mam wizytówkę, którą mi dał. – Czyta na głos: – „Pokaż im, kto tu rządzi i połóż ich na łopatki, mały. Baz”.

– Kto to jest Baz?

Marc się uśmiecha.

– Baz Smith.

– Baz Smith? Ten aktor z filmów gangsterskich?

Marc kiwa głową.

– On był twoim mentorem? I pomógł ci?

– Bardziej niż ktokolwiek mógłby się domyślać. – Marc wsuwa wizytówkę z powrotem do portfela. – Zobaczył miotającego się chłopca i zrobił z niego mężczyznę.

– Ale jak?

– Och, na sto sposobów. Najlepiej pamiętam, jak rzucił mnie w sam środek bójki z jakimś punkiem z Manchesteru, który zrobił ze mnie mielony kotlet.

– Co takiego?

– Wszystkie chwyty dozwolone, tak walczy Baz. Boks bez rękawic. Pewnego dnia wziął mnie na mecz bokserski i wypchnął na ring. Zanim zacząłem się bronić, byłem już cały w sińcach. To mnie zmieniło. Po tej walce wszystko było inne.

– Inne? Jak?

– Zdałem sobie sprawę, że jestem w stanie przejąć kontrolę nad sytuacją. I że mogę pozwolić, żeby życie, czy też mój ojciec, mnie pobili. Ale też, że mogę z nimi walczyć.

Mam wielką ochotę objąć go ramionami, ale stoję nieruchomo.

– Nigdy wcześniej mi o tym nie mówiłeś.

– Jest mnóstwo rzeczy, których o mnie nie wiesz.

– Takich jak twoja siostra?

– Tak.

– Co u niej?

– Radzi sobie. Jest w ośrodku, w którym dostaje pomoc psychologiczną. Tutaj, w Londynie. To dobry znak. Na razie terapia przynosi efekty.

– To dobrze. Tak się cieszę. Chciałabym znowu się z nią zobaczyć. Pomóc jej, jeśli potrafię. Szkoda, że nie powiedziałeś mi o niej wcześniej.

Marc się uśmiecha.

– Cała ty – w takiej chwili myślisz o mojej siostrze. Ale wracajmy do ciebie.

– Marc…

– Natychmiast.

Z Markiem nie ma dyskusji i oboje o tym wiemy.

– Masz zamiar wypchnąć mnie na ring? – mówię żartem, ale Marc ma taką minę, że robi mi się nieswojo. – Marc?

Marc patrzy na zegarek.

– Na dzisiaj koniec. Jutro zaczynamy wczesnym rankiem. Keith przyjedzie po ciebie o szóstej trzydzieści. Zdążymy przed próbą.

– Przyjedzie po mnie? Nie będziemy pracowali tutaj?

– Nie. Do jutra.

Z tymi słowami Marc wychodzi z teatru.

Rozdział 65

Proszę, powiedz mi, dokąd jedziemy – pytam Keitha, kiedy samochód mknie przez centrum Londynu. Jest szósta czterdzieści i ciemno jak w nocy. Denerwuję się.

– Otrzymałem wyraźny zakaz odpowiadania na to pytanie – mówi Keith. – Ale myślę, że będzie się pani dobrze bawiła.

– Nie byłabym taka pewna – mówię, myśląc o ringu z historii Marca. Tak mocno zaciskam palce na kolanach, że aż bieleją mi kostki.

Patrzę, jak za oknem mroczne miasto zmienia się w wiejski krajobraz – drewniane płoty i nagie pola.

Samochód zwalnia przy zabudowaniach z czerwonej cegły, a ja przyciskam twarz do szyby. Widzę duży wiejski dom z georgiańskimi oknami i jakieś budynki, które wyglądają na stajnie i stodoły.

Znad horyzontu pada złotaworóżowe światło, rzucając na wszystko pięknie zabarwione cienie.

– Czy to jakaś farma? – pytam Keitha.

– W rzeczy samej – mówi Keith. – Farma Marca. Jedna z jego licznych inwestycji.

Samochód wjeżdża na drogę pokrytą wyboistym, stwardniałym błotem, mija dom i zatrzymuje się przy stajniach.

Wyjeżdżamy zza zakrętu – przed drzwiami stajni stoi Marc. Serce podchodzi mi do gardła, więc przełykam z trudem.

Pamiętaj, Sophio, dzisiaj on jest twoim nauczycielem.

A jednak nie mogę nie zauważyć jak przystojny jest w tym porannym świetle. Ma na sobie czarne bojówki i szarą bluzę z dekoltem w serek. Koło jego nóg stoi duża torba z brązowego papieru z logo jakiegoś sklepu z ubraniami.

– Jesteśmy na miejscu – mówi Keith, zatrzymując samochód.

– Dziękuję – mówię, otulając się płaszczem i wysiadając z samochodu. Podchodzę do Marca, czując twarde kamyki przez cienką podeszwę butów.

– Dzień dobry, panno Rose.

– Dzień dobry, panie Blackwell. A więc…

– Więc?

– Co robimy tu, na tej wsi?

– Zaraz ci pokażę. Chodź ze mną. – Podnosi brązową torbę za sznurkowe uchwyty.

– Co jest w tej torbie?

– Cierpliwości, panno Rose.

Do stajni prowadzą wielkie metalowe drzwi; Marc podnosi zasuwę z upiornym zgrzytem metalu o cegły.

Słyszę jakieś dźwięki. Stuk, stuk. Jakby ktoś uderzał w metal. Czuję zapach siana i

końskich odchodów.

Stuk, stuk! Tym razem głośniej.

– Co to za hałas? – pytam i cofam się o krok.

– Sama zobacz. – Marc wchodzi do stajni, pod podeszwami jego butów chrzęszczą małe kamyki.

W środku jest zimno, dalej, z przodu, widzę kłęby pary.

Rozdział 66

Ostrożnie wchodzę za Markiem do środka. Widzę bele siana i puste boksy, gdzie, jak się domyślam, zwykle przebywają konie.

Marc zatrzymuje się przy jednym i nad niskimi drzwiczkami pojawia się wielki czarny pysk konia. Marc podnosi rękę i głaszcze go po nosie.

Koń rzuca głową na prawo i lewo, ale po kilku minutach głaskania zaczyna się uspokajać.

– Jest piękny – szepczę, podchodząc bliżej, ale nie za blisko. Boję się takich dużych koni. – Mama zabierała mnie na konne przejażdżki.

Marc stanowczym ruchem przesuwa dłonią po pysku konia, który parska z zadowoleniem.

– Wiem.

– Skąd?

– Widziałem na zdjęciu. U twojego ojca. – Marc otwiera boks, podnosząc rękę, żeby koń nie wybiegł na zewnątrz.

Widzę, że koń jest ognisty, bo stuka kopytami i potrząsa grzywą.

Marc podnosi brązową torbę i podaje mi ją.

– To dla ciebie – mówi. – Sprzęt jeździecki.

– Och, nie. Chyba żartujesz. Chcesz, żebym jeździła na tym koniu? Tym koniu? Jest wielki. I wygląda, jakby miał temperament.

– A kto powiedział, że to jest on?

– Więc to klacz?

Marc się uśmiecha.

– Nie. To ogier. Nazywa się Taranu. To walijskie słowo, które oznacza grzmot. A ten koń jest bardzo silny i samowolny. Jak grzmot, od którego wziął imię.

– Marc, ja nie dam rady na nim pojechać.

– Dasz radę i pojedziesz. On wiele cię nauczy. – Marc poklepuje lśniący, czarny łeb. – Ale musisz być silna. Musisz go kontrolować, inaczej cię zrzuci.

Myślę o mamie i naszych wspólnych przejażdżkach. Ja jeździłam na kucyku o imieniu Daisy, najłagodniejszym stworzeniu, jakie można sobie wyobrazić. Kłusowałyśmy sobie z mamą przez lasy i polne drogi. Te sobotnie poranki były pełne magii.

– Nie wiem, czy to dobry pomysł – mówię.

– Nie masz wyboru – mówi Marc, kładąc rękę na zadzie Taranu. – Kiedy cię uczę, masz robić, co ci każę. Pojedziesz na nim, koniec dyskusji. Więc musisz się teraz przebrać.

Rozdział 67

Taranu parska i wierzga na twardym betonie za stajniami, a ja patrzę na niego nieufnie i myślę, że to dobry moment, żeby zmienić zdanie.

Marc nakłada na grzbiet Taranu lśniące brązowe siodło.

Ja wkładam beżowe spodnie do konnej jazdy, dopasowaną czarną bluzkę polo i wysokie czarne buty z papierowej torby.

Drżę, z zimna i strachu jednocześnie.

Dalej, Sophio. Dalej, poradzisz sobie.

– Gotowa? – pyta Marc, przytrzymując lejce.

Kiwam głową i wkładam stopę w metalowe strzemię, nie zastanawiając się, co robię. Kładę dłonie na miękkiej sierści Taranu, który trąca mnie lekko. Tracę równowagę.

Omal nie upadam, ale Marc mnie podtrzymuje. Staram się nie zwracać uwagi na prąd, który przeszywa moje ciało pod jego dotykiem i mocno staję nogami na ziemi.

– Spokojnie, spokojnie, koniku – mówi Marc, poklepując konia. On też na mnie nie patrzy, więc chyba czuje ten prąd.

Sophio… musisz przestać myśleć o takich rzeczach.

– W porządku. – Znowu wkładam stopę w strzemię, chwytam lśniące skórzane siodło i wspinam się na konia.

I już.

Siedzę jakieś półtora metra nad ziemią. Wysoko.

Chwytam cugle; staram się zachowywać spokojnie i pewnie, ale tak naprawdę mdli mnie ze zdenerwowania.

Taranu robi krok, a ja przechylam się w tył, a potem znowu w przód.

– Och! Czekaj. Nie. Stój – mówię.

Ale moje nerwowe okrzyki nie uspokajają konia, który małymi krokami szybko zatacza kółko na betonie.

Sztywnieję cała i kurczowo ściskam cugle. Każdy ruch konia sprawia, że moje odrętwiałe ciało przesuwa się nie tam, gdzie powinno. Przywieram w końcu piersią do siodła, trzymając się go mocno obiema rękami.

– Usiądź – mówi Marc. – Natychmiast. Przejmij nad nim kontrolę albo poniesie. Szybko, Sophio. To nie zabawa.

O Boże, on naprawdę mówi poważnie.

– Dobrze. – Prostuję z trudem plecy i mocniej ściągam cugle.

Taranu rusza do przodu.

– Marc! Dokąd on idzie?

– W tej chwili tam, gdzie ma ochotę. Lepiej pokaż mu, że ty tu rządzisz.

O mój Boże.

Taranu rusza w stronę otwartej przestrzeni. Najpierw stępa, ale kiedy wyczuwa pod kopytami trawę, przechodzi w kłus.

Ja ciągle jestem sztywna jak kłoda i podryguję na końskim grzbiecie w górę i w dół, w górę i w dół. Taranu zaczyna galopować.

O mój Boże!

Ściągam cugle jeszcze mocniej, ale to nic nie daje. Czuję wiatr na policzkach, oczy zaczynają mi łzawić. Galopujemy teraz – naprawdę galopujemy. Rzuca mną na wszystkie strony.

Nie utrzymam się na tym koniu. Zaraz spadnę. Patrzę w dół na miękką trawę i widzę uderzające w nią wielkie kopyta Taranu. Naprawdę nie chcę spaść na ziemię przy tej szybkości.

Znowu ściągam cugle.

– Stój, Taranu. Nie.

Nie zwalnia ani trochę, mimo że szarpię cugle ze wszystkich sił. Jestem coraz bardziej przerażona. Przed nami widzę jakieś ogrodzenie – jeśli będzie chciał je przeskoczyć, na pewno spadnę. A on przedostanie się sam na pole sąsiada.

Hop, hop, hop – podskakuję tak wysoko, że odrywam się od siodła. Ogrodzenie jest już tylko kilka metrów przed nami, mam ochotę podnieść ręce, zasłonić twarz i przygotować się na upadek.

– Stój. Stój! – ściągam cugle tak mocno, jak potrafię.

Taranu parska i czuję, jak zmienia krok, przygotowując się do skoku.

– Skręć. No, już. – Nigdy wcześniej nie słyszałam tego głosu, ale wiem, że wyszedł z moich ust – głęboki, jakby wprost z trzewi. Przesuwam ręce w górę cugli i ciągnę. Nie rozpaczliwie. Nie z przerażeniem. Ale bardzo mocno. – Skręcaj. Nie, nie zrzucisz mnie. Skręcisz. Skręcisz.

Ściągam cugle z całej siły, szarpiąc głowę Taranu w bok i…

Koń skręca.

W samą porę.

Trzymam napięte cugle w rękach, nie popuszczam ani o centymetr, mimo że skórzane paski wpijają mi się w dłonie. Galopujemy z powrotem w stronę stajni, ale teraz już wolniej. Ściągam cugle coraz mocniej, aż Taranu przechodzi w kłus, a potem stępa.

Rozdział 68

Dobry konik. – Pochylam się do przodu, głaszczę długą szyję i słyszę zadowolone parskanie. Dopiero na widok Marca stojącego przy stajniach zdaję sobie sprawę, jak jestem roztrzęsiona.

Zatrzymuję Taranu i zsuwam się z siodła. Kiedy zeskakuję na ziemię, kolana prawie się pode mną uginają i muszę oprzeć się o konia, żeby nie upaść. Ręce też mi się trzęsą, nie są już sztywne i napięte.

– Miła przejażdżka? – Marc odbiera mi cugle. Koń pochyla głowę i popycha pyskiem smukłe palce Marca.

Patrzę na niego z wściekłością, opierając drżące ręce na biodrach.

– Oszalałeś? – krzyczę. – Co, na litość boską… Ten koń jest nie do opanowania. Pozwoliłeś mi jechać na takim koniu?

– Nie do opanowania? – Marc unosi jedną brew. – Nic podobnego. Ponieważ nad nim zapanowałaś.

– A gdyby mi się to nie udało? – mówię ze łzami gniewu w oczach.

– Użyłbym tego. – Marc wyciąga z kieszeni czarny gwizdek.

– Co to jest?

– Gwizdek. Ten koń jest nauczony zatrzymywać się, ilekroć słyszy jego dźwięk.

– Ale… on pędził prosto na ten płot…

– Na dźwięk gwizdka odwróciłby się i zatrzymał. To świetnie wytrenowany koń. Wbrew pozorom.

– Nie miałam wrażenia, że zechce skręcić.

– Wierz mi. Skręciłby. Ale sama tego dokonałaś. Obserwowałem cię. Bardzo uważnie. Gdybym nabrał cień podejrzenia, że możesz spaść, zagwizdałbym.

Ciągle wpatruję się w niego ze złością z mocno bijącym sercem, ale ręce opadają mi z bioder.

– Chcesz powiedzieć… że wcale nad nim nie zapanowałam?

– Zapanowałaś – mówi Marc. – Ale miałaś siatkę bezpieczeństwa. Po prostu o tym nie wiedziałaś. Jak się czujesz?

– Zła.

– Wyglądasz na zachwyconą.

– Może trochę. – Kładę rękę na sercu, które tłucze mi się w piersi.

– Dobrze sobie poradziłaś – mówi Marc, przekrzywiając głowę. – Bardzo dobrze. W porządku, teraz musisz wracać na próbę. Rozumiesz, o co chodziło w tym małym ćwiczeniu?

– Ja… Tak. Chyba tak. Rozumiem, co zrobiłeś. Zmusiłeś mnie, żebym przejęła kontrolę. Dzięki temu poczułam się pewniej. Jakbym była w stanie przejąć kontrolę nad

sytuacją, nawet kiedy wydaje się to niemożliwe.

Marc wrzuca gwizdek do kieszeni.

– Myślę, że dobrze zrobiłoby ci, gdybyś chodziła też na zajęcia Denise.

– Nie mam czasu – mówię. – Moje próby trwają cały dzień.

– Nie dałaś mi skończyć. – Marc marszczy brwi. – Wiem, jak długo trwają twoje próby. Więc zorganizowałem ci kilka wieczornych lekcji.

Spuszczam wzrok.

– Wiem, że powinnam uczyć się od Denise. Ale, Marc… jeśli chodzi o śpiew… może po prostu nie jestem dość dobra.

– Kompletna bzdura – rzuca Marc. – Uwierz, że nie jesteś dość dobra, a na pewno tak będzie. Będziesz chodziła wieczorami na lekcje z Denise.

– Marc…

– Żadnych protestów. Jeśli chcesz, żebym cię uczył, masz stosować się do moich zasad.

Cugle Taranu wymykają mi się z palców.

– Znowu to samo? – mówię. – Ty mówisz, co mam robić, a ja słucham?

– Powiedziałaś, że chcesz, żebym cię uczył. – Marc podchodzi bliżej; jego niebieskie oczy chmurnieją.

Och, dobry Boże. Jak to możliwe, że on ciągle tak na mnie działa? Ledwie się trochę uspokoiłam, a już serce znowu wali mi jak młotem.

– Pokaż ręce.

– Ręce?

– Tak, ręce. Już. – Marc podnosi moje dłonie znad cugli i odwraca je tak, żeby zobaczyć ich wnętrze. Na lewej mam czerwone pręgi, w miejscach, gdzie skórzany pasek tarł o skórę.

– Do krwi. – Marszczy brwi. – Dlaczego mi nie powiedziałaś?

– Ja… Oni… To tylko kilka śladów…

– Trzeba to oczyścić.

– Ale Marc… próba…

– Zaczekaj w limuzynie. Spotkamy się tam za pięć minut.

Rozdział 69

Jestem w samochodzie zaledwie minutę, kiedy drzwiczki się otwierają i Marc wchodzi do środka. Ma bandaże i maść na odparzenia, ale ciągle marszczy brwi.

– Wszystko w porządku – mówię. – Naprawdę. Nie musisz się martwić.

Marc wyciska odrobinę maści na wacik i bardzo delikatnie bierze moją lewą dłoń.

– To może trochę szczypać – mówi, wklepując maść w czerwone ślady na skórze. Wygląda jak artysta, z czułością malujący jakiś fragment obrazu. Marszczy brwi jeszcze mocniej. – Nie chciałem, żeby coś ci się stało.

– Nie ma problemu. Naprawdę. – Patrzę, jak oczyszcza moją rękę. – Marc… mogę cię o coś zapytać?

Marc nakłada maść, a nad jego nosem pojawiają się cieniutkie zmarszczki skupienia.

– Co chcesz wiedzieć?

– Kiedy byliśmy… razem… Lubiłeś zadawać mi cierpienie?

Marc nieruchomieje z wacikiem w ręce.

– Nie mogę nawet znieść myśli, że mogłabyś cierpieć.

– Ale…

– Nie. – Marc kręci głową. – Uczyłem cię czegoś przyjemnego. Ból i przyjemność są ze sobą powiązane. Tak się składa, że na mnie to działa, bo potrzebuję kontroli.

– Potrzebujesz kontroli – mówię powoli. – A nie lubisz kontroli?

– A tobie sprawiało to przyjemność – mówi Marc, delikatnie owijając moją dłoń bandażem.

– Tak – mówię. – Kiedy byliśmy razem… nigdy nie zapomnę ani chwili z tego czasu. To były najwspanialsze chwile w moim życiu. Czy my… czy jest dla nas jeszcze jakaś szansa?

Marc ciasno związuje bandaż, a potem delikatnie przytrzymuje moją rękę w swojej.

– Nadal chcę z tobą być – mówi. – Dla mnie to tortura. Zdajesz sobie z tego sprawę, prawda? Ale najważniejsze dla mnie jest, żebyś była bezpieczna. A w tej chwili oznacza to, że nie możemy być razem.

– Tęsknię za tobą, Marc. Chciałabym ciągle być z tobą.

Marc ciągle trzyma moją dłoń a ja czuję się tak, jakby prąd elektryczny przebiegał w górę i w dół mojego ramienia. Jesteśmy jak dwa magnesy, które walczą z przyciąganiem.

– Jesteś pierwszą kobietą, która kiedykolwiek tak się do mnie zbliżyła – mówi Marc. – Nie rozumiesz, jak cierpię, kiedy nie mogę z tobą być? Myślisz, że zrobiłbym coś takiego, gdybym nie miał ważnego powodu? Chcę cię chronić.

– Ale nie rozumiesz? – wołam i czuję, że samochód rusza z miejsca. – Ranisz mnie, trzymając się z daleka. Chyba zawsze wiedziałam, że mnie zranisz. Nasz seks powinien mi to powiedzieć.

Marc zaciska dłoń na mojej ręce.

– Uważasz… że cię raniłem? – Na jego czole pojawiają się zmarszczki. – Myślisz, że lubiłem patrzeć na twój ból?

– A nie było tak?

Marc odchyla się do tyłu.

– Nie. Nie to lubiłem. Lubiłem przejmować nad tobą kontrolę. Lubiłem, kiedy mi ulegałaś. Lubiłem dominować nad tobą i kontrolować twoją przyjemność. I pokazywać ci rzeczy, których wcześniej nie znałaś.

– Czy ty… czy zawsze byłeś taki… z kobietami?

– Chcesz powiedzieć, że interesują mnie mężczyźni?- Marc uśmiecha się kącikiem ust.

– Domyślam się, że nie.

Marc się śmieje.

– Słusznie. I nie… nie zawsze taki byłem. Kiedyś byłem inny. Młodszy. Bardziej wystraszony. Nie miałem kontroli.

– Więc byłeś z kobietami i nie musiałeś ich kontrolować?

– Zgadza się.

– Ale ja nie byłam pierwsza. Prawda? Nie byłam pierwszą kobietą, którą… kontrolowałeś.

– Przed tobą były inne. Kobiety, które… z którymi tworzyła się ta dynamika. Ale nie tak się to wszystko zaczęło. Nie zawsze kontrolowałem sytuację. – Marc przykłada rękę do czoła. – Coś się stało… a raczej ktoś.

Długa chwila ciszy.

– Och – mówię, żeby ją przerwać. I nie mogę się powstrzymać: – Kochałeś ją?

Marc się śmieje.

– Jego. Był tylko przyjacielem i to on pokazał mi sposób, że się tak wyrażę. – Marc patrzy na mnie teraz, unosząc lekko jedną brew, z cieniem uśmiechu na tych cudownych ustach. – Ty naprawdę nie wiesz, prawda?

– Czego nie wiem?

– Nie powiedział ci?

– Czego mi nie powiedział? – Jestem coraz bardziej skołowana.

– Ten przyjaciel. Przyjaciel, który mnie w to wciągnął, na dobre i na złe. Nie domyślasz się, kto to jest?

Patrzę na niego, oszołomiona.

– Nie mam pojęcia – mówię w końcu.

– Ten przyjaciel to Giles Getty.

Rozdział 70

Giles Getty? – niemal wypluwam to nazwisko.

Marc kiwa głową.

– To on wprowadził mnie w ten świat. Świat kobiet, które lubią, kiedy mężczyźni przejmują nad nimi kontrolę.

Robi mi się niedobrze.

– Żartujesz. Giles Getty? – Już samo wymówienie jego nazwiska sprawia, że mam ochotę przepłukać usta. – On… on mówił, że byliście przyjaciółmi, ale myślałam…

– Że przesadza? – Oczy Marca są większe i bardziej niebieskie niż kiedykolwiek. – Nie.

Wjeżdżamy na przedmieścia Londynu i zieleń za oknem ustępuje szarości.

– Jak to? – pytam i słyszę w swoim głosie, jak bardzo jestem skołowana. – Kiedy?

– Dawno temu. Nie był wtedy jeszcze takim wrednym draniem jak teraz, ale był na dobrej drodze. Ale ja tego nie widziałem. Aż było za późno.

Marc obejmuje głowę rękami; jego palce przeczesują brązowe włosy. Chcę go dotknąć. Objąć. Powiedzieć, że wszystko jest w porządku. Ale… nie wiem, czy wszystko jest w porządku.

– I co się stało? – pytam.

Marc wzdycha.

– Byłem młody i głupi, i nie zdawałem sobie sprawy, w co się pakuję, aż było za późno. Giles Getty wprowadził mnie do tego świata… i ten świat coś we mnie obudził. Obudził człowieka, którym naprawdę jestem, można by powiedzieć. A w każdym razie człowieka, jakim chciałem być. Opanowanego. Dominującego. Kontrolującego sytuację. Poznałem przyjemność, jaką można z tego czerpać. Getty chyba dostrzegł we mnie jakieś podobieństwo… do siebie.

Kręcę głową.

– Nie jesteście podobni.

– Jesteśmy – mówi Marc. – Bardziej niż podejrzewasz. Getty wciągnął mnie w tę… dominację, tak to nazwijmy. Przejmowanie kontroli w seksie. Zabierał mnie do różnych klubów, przedstawiał różne kobiety.

Mdli mnie. Częściowo na myśl o Marcu z innymi kobietami, ale głownie dlatego, że Getty miał dostęp do tak intymnej części jego życia.

– Kiedy się w to wkręciłem – mówi Marc – wszystkie negatywne uczucia, które w sobie nosiłem… poczucie bezsilności i strach, zasiane przez ojca… wyparowały. Tak po prostu. Czułem w sobie nieprawdopodobną moc.

Nasze ciała w jakiś sposób odsuwają się od siebie.

– Pierwsza kobieta z jednego z tych klubów – ciągnie Marc – poprosiła mnie, żebym ją

związał. Im bardziej ją krępowałem, tym bardziej jej się to podobało. A ja czułem, że żyję. Że jestem sobą. Prawdziwym sobą.

– Więc ty i ta kobieta…

Marc tylko macha ręką.

– Nie mam pojęcia, co się z nią stało. Ona nie jest ważna. Tu nie chodzi o nią. Tylko o mnie. Poznałem później wiele kobiet takich jak ona. Nauczyłem się rozpoznawać znaki.

– We mnie też je zobaczyłeś?

Na odpowiedź nie czekam nawet sekundy.

– Tak.

– Wiedziałeś, że spodoba mi się, jeśli będziesz mi zadawał ból?

– Nie „zadawał ból". Przejmował nad tobą kontrolę. Tego potrzebowałaś. Nadal tego potrzebujesz.

Marc wyciąga przed siebie nogi i opiera ramię na krawędzi okna.

– Getty był sprytny. Na początku nie pokazał mi, kim naprawdę jest. Chodziliśmy do klubów, w których kobiety chciały, żeby mężczyźni przejmowali kontrolę i pomyślałem, że Getty'emu właśnie o to chodzi. Ale on chciał więcej. Lubił patrzeć, jak kobiety cierpią. I niekoniecznie im się to podoba. Podniecało go to. Są miejsca, w których można oglądać takie rzeczy. I brać w nich udział.

Przełykam z trudem. Robi mi się niedobrze.

– I ty… brałeś w tym udział?

Marc stanowczo kręci głową.

– Już ci mówiłem. Mnie nie chodzi o ból. Chodzi mi o sprawianie przyjemności poprzez sprawowanie kontroli. Czasami ta kontrola wiąże się z bólem. Ale nie mogę znieść myśli, że można zadawać cierpienie kobiecie wbrew jej woli. Moja matka i siostra były bite przez mężczyznę, który miał się nimi opiekować. Nie wyobrażam sobie, że można robić kobiecie coś, na co ona nie wyraża zgody.

– Więc co się stało? – pytam. – Z tobą i Gettym?

– Kiedy odkryłem, o co naprawdę chodzi, powiedziałem mu, że to koniec naszej znajomości. I zgłosiłem to na policję. W odpowiedzi zaczął śledzić moją siostrę i sprzedawać prasie różne historie na jej temat.

– Twoja biedna siostra. – Przełykam znowu, żeby powstrzymać mdłości.

– To zrujnowało jej życie – mówi Marc rzeczowo.

Samochód zwalnia, wjeżdżając na tłoczne londyńskie ulice, a Marc odwraca twarz do okna.

– Gdyby nie te historie w gazetach, może już dawno by się pozbierała. Ale była bez szans.

Samochód sunie dalej, a my siedzimy przez chwilę w milczeniu. Potem mówię:

– Dziękuję. Za to, że mi powiedziałeś. Szkoda, że nie zrobiłeś tego wcześniej. Nie, żeby to miało teraz jakieś znaczenie. Ale cieszę się, że wiem.

– Ja też się cieszę, że znasz prawdę. A przynajmniej jej część. – Marc zaciska zęby, wyciąga z kieszeni komórkę i szuka czegoś. – Wracajmy do pracy. Dziś wieczorem masz lekcję z Denise. I tak będzie codziennie po próbach, do końca tygodnia. Potem znowu się spotkamy. W porządku?

– W porządku – mówię, choć jestem całkiem skołowana. Nie wiem, co mam myśleć ani co mam czuć.

Rozdział 71

Na próbę przychodzę punktualnie i – czego można się było spodziewać – jestem lepsza niż kiedykolwiek od bardzo długiego czasu. Nie wiem, czy ma to związek z przejażdżką na koniu, pochwałą Marca czy faktem, że się z nim widziałam, ale wkraczam do teatru tanecznym krokiem, jakby do mnie należał i daję z siebie wszystko.

Davina kilka razy otwiera i zamyka usta, ale zdaje się, że dzisiaj nie bardzo wie, co mogłaby skrytykować.

Kiedy kończymy, rozpiera mnie duma i energicznym krokiem idę przez kampus na lekcję z Denise.

Cały dzień myślałam o Marcu, oczywiście, a po próbie myślę o nim jeszcze więcej. W drodze do Denise myślę o całym tym bólu, który musiał znieść Marc. Jak trudne było jego życie. Rozumiem, że po takim życiu można się trochę uzależnić od poczucia kontroli.

Jest bardzo zimno, a w powietrzu wirują płatki śniegu. College wygląda w tym śniegu pięknie, zwłaszcza że zawieszono już świąteczne dekoracje. Małe światełka migoczą na drzewach i wszystko wygląda jeszcze bardziej tajemniczo i magicznie niż zwykle, a dachy zabudowań opleciono sznurami mrugających gwiazdkami.

Kiedy wchodzę do sali Denise, widzę migotliwe świece na oknie i słyszę cichą, kojącą muzykę, a na szybach są przyklejone płatki sztucznego śniegu. Denise siedzi na workowym fotelu i przegląda magazyn „Scena”.

Pukam do drzwi.

– Sophia? – woła Denise.

– Cześć. – Otwieram skrzypiące drzwi i otrzepuję śnieg z ramion i włosów.

Denise wstaje.

– No, patrzcie tylko. Piękniejsza niż kiedykolwiek. I gra na West Endzie, ni mniej, ni więcej. Ale… – Kładzie palec na ustach. – O czym myślisz, moja droga? Czy też raczej o kim?

Uśmiecham się.

– O tym, co zawsze.

– Och? O naszym panie Blackwellu?

– A o kimże innym?

– Brakowało mi cię na naszych zajęciach – mówi Denise.

– Tak mi przykro. – Wieszam płaszcz na oparciu plastikowego krzesła. – Mnie też pani brakowało. Ale próby zabierają mi tyle czasu.

– A jak próby? – pyta Denise, krzątając się przy czajniku. – Herbaty?

– Tak, poproszę. – Przykładam zziębnięte palce do kaloryfera. – Chyba… dobrze. Dzisiaj było w porządku. Ale przedtem było naprawdę okropnie.

– Okropnie?

Kiwam głową.

– Marc miał rację. Nie powinnam była przyjąć tej roli. Zaproponowano mi ją z zupełnie niewłaściwych powodów, a teraz jest już za późno, żeby się wycofać.

– Ach, ten kochany Marc – mówi Denise, nalewając wrzątek do kubków. – Słyszałam, że jeździliście dzisiaj rano na koniach.

– Ja jeździłam. On stał i patrzył.

– A co słychać między wami? Nadal się kłócicie?

– Można tak powiedzieć.

– Więc nie ma nadziei na miłość zapisaną w gwiazdach?

Siadam ciężko na pomarańczowym plastykowym krześle.

– Chyba nie. Choć bardzo żałuję. Ale Marc jest bardzo stanowczy.

– Przykro mi to słyszeć. – Denise podaje mi herbatę. Czuję zapach cynamonu. – Dolać ci kropelkę brandy? – pyta. – Boże Narodzenie i tak dalej?

– Tak, poproszę – mówię. – Przyda mi się coś mocniejszego.

Denise wyciąga butelkę złocistej brandy z szafki i wlewa hojną porcję do mojej herbaty.

Upijam łyk.

– Mm… przepyszna.

Czuję smak cherry, przypraw i brązowego cukru.

– Więc ty i Marc… on znowu cię uczy, prawda?

– Tak – mówię. – I to mi bardzo pomaga. Już tylko to, że się spotkaliśmy… pomogło mi dzisiaj.

– Wyobrażam sobie – mówi Denise. – Jest naprawdę doskonałym nauczycielem. Jest surowy, ale ma tyle wiary w swoich studentów. Tyle zaufania. To daje efekty. Kiedy czujemy, że ktoś w nas wierzy, zaczynamy wierzyć w siebie.

– Może dlatego tak mi ciężko z Daviną – mówię. – Ona w ogóle we mnie nie wierzy.

– Diva Davina? Nie pozwól, żeby weszła ci na głowę. Jest dobrze znana w muzycznych kręgach i z tego, co słyszałam, lubi się znęcać nad aktorami. Pod pewnymi względami to świetna reżyserka, ale często wyładowuje swoją złość na innych.

– Na Leo się nie wyładowuje.

– To jasne. On jest hollywoodzką gwiazdą. A ona wie, po której stronie kromki jest masło. Będzie dla niego tak słodka, jak potrafi. Koneksje. – Denise poklepuje się palcem po nosie.

– Ale ona ma trochę racji – mówię. – Daleko mi do Leo. Jestem amatorką.

– Niezwykle utalentowaną amatorką. Nigdy o tym nie zapominaj. Leo ma za sobą lata praktyki, ale nie ma twojego talentu. Ty potrzebujesz tylko szlifu, to wszystko.

Śmieję się.

– To samo powiedział Leo.

– A co mówi Marc?

– Że powinnam bardziej przejmować kontrolę.

– Dobry pomysł. Cóż, moja droga, zaczynamy? Rozgrzewka, a potem popracujemy nad numerami z *Pięknej i Bestii*?

– Dobrze.

Rozdział 72

Lekcja śpiewu z Denise to dokładnie to, czego mi trzeba; kiedy wychodzę z jej sali, czuję się lżejsza niż kiedykolwiek, odkąd Marc ze mną zerwał.

Jest późno, ale podoba mi się, że jestem w ciemności, wśród wirujących płatków śniegu, zatopiona w rozmyślaniach.

Jest pusto – przypominam sobie mgliście, że Tanya mówiła coś o teście następnego dnia. Wszyscy pewnie siedzą w pokojach i się uczą. Ale kiedy zbliżam się do akademika, słyszę jakiś męski głos.

– Obiecałaś mi dostęp. To nie jest dostęp.

O mój Boże. Poznaję ten głos i na jego dźwięk robi mi się jeszcze zimniej.

Z mocno bijącym sercem przyklejam się do najbliższej ściany. I wtedy słyszę inny głos – tym razem kobiecy.

– Skąd miałam wiedzieć, że jej tam nie będzie?

I znowu mężczyzna.

– Lepiej nie próbuj ze mną takich gierek.

O Boże, o Boże, o Boże.

Ten mężczyzna to Giles Getty.

Rozdział 73

Żołądek podchodzi mi do gardła, wpijam palce w chropowatą ścianę.

Całą sobą czuję, że powinnam uciekać w przeciwnym kierunku, ale jeśli się poruszę, on może mnie zauważyć.

Giles znowu coś mówi, szybko, wyraźnie.

– Schrzaniłaś to. Ona pewnie jest z nim. Będę musiał wrócić kiedy indziej.

Rozlega się stuk skórzanych podeszew na betonie – ktoś idzie w moją stronę.

Rozpłaszczam się na ścianie i powoli przesuwam w stronę, z której dobiegają głosy. Moje stopy grzęzną w ziemi na klombie; krzywię się, bo wiem, że depczę bratki, ale sunę, powoli sunę w stronę żywopłotu przy końcu budynku.

Giles wychodzi zza rogu w momencie, kiedy wpełzam w żywopłot. Cienkie gałązki kłują mnie w twarz i ręce.

On zatrzymuje się nagle i patrzy prosto na krzew, ale chyba jest za ciemno, żeby mógł mnie zobaczyć, bo zaraz rusza znowu i po prostu mnie mija.

Wstrzymuję oddech. W jego ruchach wyczuwam niepokój i gniew. To nie jest szczęśliwy człowiek. To nie jest spokojny człowiek. Przypominam sobie, jak Marc mówił, że Giles lubi patrzeć na ból kobiet i ogarniają mnie mdłości.

Ciągle kryję się wśród krzaków, zbyt wystraszona, żeby się poruszyć, kiedy słyszę dźwięk, który trafia mnie prosto w serce.

To niepohamowany, głęboki szloch, od którego całe moje ciało sztywnieje. Jest straszny, ten szloch. Przerażający. Zdaje się wysysać całą radość z mojej duszy.

Ostrożnie wychodzę spomiędzy gałązek, ciągle wystraszona, ale ten płacz wywołuje u mnie także smutek. To obłąkańczy płacz. Nienaturalny.

Wyglądam zza rogu.

O mój Boże.

To… Cecile.

Opiera się o ścianę akademika, obejmując głowę rękami, a całym jej ciałem wstrząsa szloch. To ona była kobietą, z którą rozmawiał Getty.

Cecile wydaje długi, przeszywający krzyk. Aż podskakuję i obejmuję się ramionami, a ona biegnie do drzwi i znika w akademiku.

Stoję na zewnątrz, z otwartymi ustami, w gęstniejącym śniegu.

Rozdział 74

Kiedy docieram do mojego pokoju, włączam wszystkie światła, siadam na łóżku i naciągam na drżące ciało kołdrę.

Czy Getty przyszedł tu po mnie? A jeśli ciągle jest w kampusie i widzi moje światła?

Zrywam się i wyłączam wszystkie lampy. Ale nie jestem w stanie siedzieć tu w ciemności. To zbyt upiorne. Owijam się kołdrą i szybko schodzę na dół, do pokoju Tanyi.

Puk, puk.

Żadnej odpowiedzi. Pukam jeszcze raz, tym razem mocniej.

Nadal cisza.

Na korytarzu jest zimno. I ciemno. Nie chcę być tu sama. Dzwonię pod numer Tanyi, ale od razu zgłasza się poczta głosowa.

Co się dzieje? Gdzie ona może być? Jest sesja i środek tygodnia.

Ostatni raz pukam do drzwi, potem daję za wygraną i przesuwam kciukiem po ekraniku telefonu. Powinnam zadzwonić do Marca. Nie tylko dlatego, że chcę z nim porozmawiać. Powinnam do niego zadzwonić, bo w tej chwili naprawdę potrzebuję czyjejś ochrony. Ale nie. On dzisiaj jasno dał mi do zrozumienia, jakie są jego uczucia. Nie chce, żebyśmy byli razem. On jest nauczycielem, ja uczennicą, nic więcej.

Już mam zadzwonić do Toma, kiedy słyszę dźwięk przychodzącego esemesa.

Tanya, myślę. Ale wiadomość jest od Leo.

„Cześć, skarbie, skończyłaś już lekcję śpiewu? Masz ochotę na drinka?”

Wybieram numer Leo i przyciskam telefon do ucha.

Odbiera po trzecim sygnale.

– Cześć, Sophio, ja…

– Leo – mówię bez tchu. – Coś się stało. Jesteś w kampusie?

– Hej, hej, powoli. Co się dzieje?

Rozglądam się po ciemnym korytarzu.

– Nie mogę tutaj rozmawiać. Możemy się spotkać?

– Jasne. Jestem w swoim pokoju. Możesz przyjść. Pokój 203 na drugim piętrze. Wszystko w porządku? Wydajesz się zdyszana.

– Nie, tylko… przestraszona.

Biegnę ciemnym korytarzem w stronę schodów.

Rozdział 75

Leo otwiera drzwi, zanim mam szansę zapukać.

– Enchanté – mówi, odsuwając się trochę. – Witaj w moim pałacu przyjemności.

Wchodzę szybko do środka, obiema rękami zamykając za sobą drzwi.

– Co jest? – pyta Leo.

– On… ktoś był w kampusie – mówię. W pokoju jest kominek i stare drewniane łóżko, zupełnie jak u mnie. Pokój Leo jest większy od mojego, ale nie ma balkonu ani takiego widoku. Tylko wielką szafę i gigantyczną srebrną lodówkę.

– Nooo – mówi Leo, podchodzi do lodówki i wyciąga budweisera. – Uspokój się i powiedz mi, co się stało. Napijesz się? – podnosi do góry butelkę.

– Nie w tej chwili.

Leo uderza szyjką butelki o gzyms kominka i kapsel odpada.

– Kto był w kampusie? – pyta i pociąga długo łyk.

– Giles Getty.

Leo krztusi się piwem, kaszle i wyciera usta.

– Żartujesz? Ten paparazzi?

– Chyba to Cecile go wpuściła.

– Kto to jest Cecile?

– Poznałeś ją. W naszym pubie. Blondynka.

– A, jasne. Przyjaciółka reżysera. Trójkątna twarz. Z taką miną, jakby nic nigdy nie było dla niej dość dobre.

– Sprzedała kilka historii na mój temat i chyba razem z Gettym planowała sprzedać jeszcze kilka.

– Więc on tu był? Naprawdę? W kampusie?

Przygryzam paznokieć kciuka.

– Tak. I myślę… że może próbował zdobyć moje zdjęcia. Czy coś w tym rodzaju. Ale mnie nie było. Miałam lekcję śpiewu. Więc mój pokój był pusty.

– Jesteś tego wszystkiego pewna? – pyta Leo. – To przypadkiem nie paranoja? Kiedy prasa zaczyna na ciebie polować, naprawdę można czasami zwariować.

Leo wskakuje na łóżko, krzyżuje nogi i opiera piwo na kolanie.

– Opowiedz mi dokładnie, co się stało. Gdzie widziałaś tego całego Getty'ego?

– Tu, pod samym akademikiem. Rozmawiał z Cecile. Mówili, że „jej nie ma", czy jakoś tak.

– I jesteś pewna, że to był Getty?

– Widziałam go. Było bardzo ciemno, ale myślę… jestem pewna, że to był on. To jego głos rozpoznałam. On ma taki maniakalny sposób mówienia. Wszystko mówi tak szybko.

Leo pociąga łyk piwa.

– Ciężko pracujesz. Musisz być bardzo zmęczona. Jesteś pewna, że to nie był… no wiesz, jeden z tych snów na jawie, które czasami się zdarzają?

– Nie sądzę, żeby to był sen.

– Wydajesz się nerwowa – mówi Leo. – Jakbyś była na krawędzi. Może po prostu przydałoby ci się kilka dni przerwy. Kiedy kręciłem *Na zawsze*, było mnóstwo nocnych scen na Hollywood Boulevard i rany, byłem taki zmęczony, że zacząłem mieć omamy. Widziałem jakieś dziwne rzeczy w mroku.

Moja komórka zaczyna dzwonić. Prawie wyskakuję ze skóry.

Wyciągam telefon z kieszeni i widzę imię Tanyi na ekraniku.

– Odbierzesz? – pyta Leo. – Czy będziesz tylko patrzyła?

Mrugam i przykładam telefon do ucha.

– Tanya?

– Hej – skrzeczy Tanya. – Co się dzieje? – Wydaje się zaspana. Prawie mogę ją zobaczyć, z zamglonymi oczami i rudymi włosami sterczącymi na wszystkie strony.

– Przepraszam, że dzwoniłam tak późno – mówię. – Ale… trochę się wystraszyłam.

Słyszę jakieś szelesty, głośny stuk i jej „cholera”.

– Wszystko w porządku? – pytam.

Rozdział 76

U mnie super – mówi Tanya. – Ale u ciebie chyba nie. Co się dzieje? Nie chodzi o Marca, co? Zrobił ci coś?

– Nie, nie, nic takiego.

Kolejny łoskot.

– Tanya? Gdzie jesteś?

Cisza.

– Uch… w swoim pokoju. – Głos jest jakby trochę zduszony i mam wrażenie, że Tanya nie mówi prawdy.

– Ale… pukałam do ciebie pięć minut temu. Nie otworzyłaś.

– Och, Jezu. Kompletnie nie umiem kłamać. No dobrze, Soph. Jestem u Toma. I odpowiadając na twoje kolejne pytanie, tak.

– Wy dwoje…?

– Tak. Zaczekaj. Tom chce się przywitać. Przełączę cię na głośnik.

Trzaski.

– Soph! – woła znajomy, przyjazny głos. – Nic ci nie jest?

– Cześć Tom.

– Przepraszam za to małe oszustwo. Nie chcieliśmy nic mówić, na wypadek gdyby to było tylko… no wiesz… głupie zauroczenie. Więc co się dzieje? Wydajesz się zdenerwowana.

– Coś dziwnego się tu dzieje.

– Ale, co, Sophio? – pyta Tanya.

Spoglądam na Leo.

– Giles Getty był przed chwilą pod akademikiem. Przynajmniej tak mi się wydaje.

– Kto go tu, na litość boską, wpuścił? – mówi Tanya. – Powinniśmy wezwać ochronę.

– Myślę, że to Cecile – mówię.

– Tym bardziej powinniśmy wezwać ochronę – twierdzi Tanya. – Przyłapiemy ją i wtedy pewnie zostanie wyrzucona z college'u. Gdzie mój szlafrok? Strasznie tu zimno.

– Wisi na drzwiach, kochanie – mówi Tom.

– Jest coś jeszcze – dodaję. – Kiedy Getty poszedł, słyszałam, jak Cecile płacze.

– I? – pyta Tanya.

– I to było… nigdy nie słyszałam, żeby ktoś tak płakał. Tak rozpaczliwie. Naprawdę rozpaczliwie. Jakby bardzo potrzebowała pomocy.

– Wszyscy wiemy, że Cecile bardzo potrzebuje pomocy – mruczy Tanya. – Psychiatrycznej.

– Myślisz, że to ona wpuściła Getty'ego do college'u? – pyta Tom. – Czy myślisz, że wdarł się tu sam?

– Myślę, że ona go wpuściła – mówię. – Po prostu… takie odebrałam wrażenie. Rozmawiali tak, jakby się świetnie znali. Myślę nawet, że mogła go tu wpuścić po to, żeby mógł dostać się do mnie. Ale oczywiście nie było mnie w pokoju.

– Wszystko jasne – mówi Tanya. – Jak ją tylko zobaczę, popamięta mnie.

– Mnie było jej żal – przyznaję. – Kiedy usłyszałam ten jej płacz, po prostu nie mogłam być na nią zła. Ona ma jakieś kłopoty. Jestem tego pewna.

– Należy jej się – mówi Tanya. – Złe rzeczy przytrafiają się złym ludziom.

– Wygląda na to, że podpisała pakt z diabłem i teraz diabeł zgłosił się po swoje – mówi Tom. – Czy nie była przypadkiem z Gettym w biurach GMQ? Chyba któraś z was mi to mówiła?

– Czy teraz już mogę wezwać ochronę? – pyta Tanya.

Przygryzam paznokieć.

– Najpierw powinnam zadzwonić do Marca.

– Zadzwoń – mówi Tanya. – On wie, jaka jest tu ochrona, lepiej niż ktokolwiek inny. Chcesz, żebyśmy do ciebie teraz przyszli?

– Nie, wszystko w porządku – mówię, zerkając na Leo. – Jestem… u Leo.

– Oooo! – woła Tom.

– To nie tak jak myślisz – mówię i czuję, że się czerwienię.

– Cóż, jesteśmy tu, gdybyś nas potrzebowała – mówi Tanya. – I posłuchaj, Soph, gdybyś potrzebowała czegoś, czegokolwiek, po prostu zadzwoń, dobrze? Ustawię dzwonek telefonu tak głośno, jak się da.

– Dziękuję – mówię. – Tanyu? Naprawdę się cieszę, że jesteście razem.

Rozdział 77

A więc – Leo splata palce wokół butelki. – Czy pan Blackwell przygalopuje na ratunek na białym rumaku?

Uśmiecham się.

– Bały rumak nie jest chyba w jego stylu. Bardziej aston martin.

– Ale masz zamiar do niego zadzwonić?

Siadam obok Leo na łóżku.

– Tak.

– Rzeczywiście jesteś pewna, że widziałaś to, co widziałaś?

– Tak. Wiem, że jestem zmęczona, ale… nie, na pewno to widziałam. I Marc chciałby o tym wiedzieć.

– Cóż. Ty wiesz najlepiej.

Dzwonię do Marca, zaciskając palce na narzucie Leo.

Buuu, buuu.

Czy on nie pomyśli, że dzwonię, bo szukam z nim kontaktu? Bo chcę wszystko omówić?

Buuu, buuu.

Może to zły pomysł. Na myśl o tym, że odbierze, przeszywają mnie dreszcze. Przyjemne dreszcze. Trochę zbyt przyjemne.

Buuu, buuu.

Zaczynam się denerwować. Już mam się rozłączyć, kiedy…

– Sophia?

Jego głos jest tak głęboki, tak znajomy, że wszystkie moje zmysły się budzą i mam wrażenie, że Marc siedzi tutaj, tuż obok mnie. Włoski na moich rękach podnoszą się i żołądek podchodzi mi do gardła.

– Cześć. Ja… nie sądziłam, że odbierzesz tak późno… – Wiem, że głos mi drży.

– Coś jest nie tak. O co chodzi?

Ogarnia mnie panika.

– Och, Marc. Giles Getty tu był. W college'u.

– Co?

– Był tu, pod samym akademikiem.

– Wiesz, jak się tu dostał?

Waham się, bo wiem, że Tanya zabije mnie, jeśli nie wspomnę o Cecile. Ale słyszałam ten okropny płacz i nie mogę na razie wciągać w to Cecile. Najpierw muszę się dowiedzieć, co się z nią dzieje.

– Nie jestem pewna. – Jest to prawda, choć nie cała prawda.

Chwila ciszy. Potem słyszę ciężki oddech.

– Gdzie jesteś teraz? Jesteś sama?
– Ciągle w college’u. I nie, nie jestem sama.
– Kto z tobą jest?
Waham się, mocniej ściskając telefon.
– Sophio?
– Jestem… w tej chwili z Leo.
Słyszę ciche westchnienie, prawie jęk.
– Dobrze. Zostań tam. Zaraz wezwę dodatkową ochronę.
– Marc, to nie tak, jak myślisz. Ja…
Ale on już się rozłączył.

Rozdział 78

Nie tak, jak myślisz? – mówi Leo, błyskając w uśmiechu swoimi idealnie równymi, białymi zębami. Dopija piwo i wrzuca pustą butelkę do wiklinowego kosza. – Ciągle masz słabość do pana Blackwella, prawda?

– Nie chciałam, żeby mnie źle zrozumiał.

– A dlaczego miałby cię źle zrozumieć?

– Jest późno, a ja jestem z tobą. To wystarczy, żeby każdy nabrał podejrzeń. Byłabym bardzo nieszczęśliwa, gdybym zadzwoniła do niego, a on byłby z jakąś kobietą.

– Naprawdę? Byłabyś nieszczęśliwa?

Kiwam głową i na samą myśl o tym czuję mdłości. Nagle zaczynam się zastanawiać, czy kiedykolwiek przeboleję utratę Marca. Czy on już do końca życia będzie mnie prześladował?

– Wygląda na to, że ciągle bardzo ci na nim zależy – mówi Leo. – Ale, hej, teraz jesteś tutaj, ze mną. Tylko we dwoje. I duże łóżko. Może dałabyś szansę komuś innemu?

Porusza śmiesznie brwiami i nie mogę powstrzymać uśmiechu.

– Dzięki za propozycję, Leo. Pochlebiasz mi.

– Hej, ja nie żartuję. To poważna propozycja. Naprawdę chętnie się z tobą dzisiaj prześpię i spróbuję oderwać trochę twoje myśli od pana Blackwella. Zrobię co w mojej mocy, słowo skauta.

– To bardzo szlachetnie.

– Ale coś mi mówi, że nie pójdzie łatwo. Nie jesteś dziewczyną na jedną noc, co?

– Jak dotąd, nie. – Opadam na plecy i patrzę w sufit. – Co za wieczór.

Leo podchodzi i kładzie się obok mnie.

– Hej… życie czasami boli.

Przez kilka minut oboje gapimy się w sufit. Potem Leo mówi:

– Widzisz to pęknięcie, o, tam? Przypomina mi falę oceanu. A co ty widzisz?

– Sadzonkę.

– Chcesz zostać tu na noc? – pyta Leo, odwracając do mnie głowę. – Prześpię się na kanapie. Bo coś czuję, że nie masz ochoty wracać do swojego pokoju.

– Nie mam – przyznaję. – Za bardzo się boję.

– Hej, wszystko będzie dobrze – mówi Leo. – Nie powinnaś tyle myśleć. Popatrz tylko na siebie: cała twarz ci się pomarszczyła.

– Przykro mi. – Przewracam się na bok, żeby na niego spojrzeć. – To taki dziwny wieczór.

– Tak już lepiej – mówi Leo. – Twoje oczy wyglądają dużo ładniej, kiedy nie marszczysz tak czoła. – Całuje mnie w policzek i zrywa się z łóżka. – Do zobaczenia rano, śpiąca królewno. To nasz wielki tydzień. Pierwsze próby w Tottenham Theatre.

Wyciąga pościel z zabudowanej szafy i rzuca ją na kanapę.

– Słodkich snów, Sophio.

– Słodkich snów, Leo.

Następnego ranka po przebudzeniu słyszę chrapanie Leo, który leży na kanapie, z jedną dużą ręką zwisającą aż do podłogi i drugą na piersi.

Miękkie jasne włosy opadają mu na opalone czoło, różowe wargi są lekko rozchylone.

Jest mi gorąco i lepko – uświadamiam sobie, że spałam w łóżku Leo całkowicie ubrana. Wysuwam się spod kołdry i skradam do kuchni po szklankę wody, a potem idę do łazienki.

Stoją tam organiczne męskie kosmetyki przy umywalce i prysznicu; większość jest otwarta i wycieka na porcelanę. Jest coś o nazwie „wężowa skóra", z czego na umywalkę uciekają małe czarne granulki, i balsam nawilżający z koziego mleka, na którym w ogóle nie ma zakrętki. Uśmiecham się. Leo to jeszcze większy bałaganiarz niż ja.

Myję twarz zimną wodą, a potem myję zęby palcem, na który nakładam pastę Leo, o smaku kopru włoskiego.

Słyszę z pokoju chrapanie Leo i przez chwilę zastanawiam się, czy go nie obudzić, ale… jest coś, co muszę teraz zrobić. Na samą myśl robię się nerwowa. Jeszcze raz ochlapuję twarz zimną wodą i wychodzę z pokoju.

Rozdział 79

Cecile mieszka w pokoju 132. Wiem, bo słyszałam, jak narzekała na niego już drugiego dnia w college'u. Machała kluczem przed nosem Wendy i krzyczała, że okna są nieszczelne.

Kiedy skradam się korytarzem na pierwszym piętrze, słyszę szum wody płynącej z kranów i spuszczanej w toaletach. Chyba wszyscy właśnie się obudzili, więc mam nadzieję, że Cecile także już wstała.

Pod jej drzwiami waham się jednak. Czy w ogóle powinnam to robić? Zwykle staram się unikać konfrontacji, ale czasami nie ma wyboru. Zresztą to właściwie nie jest konfrontacja. Owszem, chcę się dowiedzieć, czy to ona wpuściła tu wczoraj wieczorem Getty'ego. Ale chcę się też dowiedzieć, dlaczego płakała.

Puk, puk.

Cofam się o krok i przygryzam paznokieć. Żałuję trochę, że nie wróciłam wcześniej do swojego pokoju, żeby się przebrać – ciągle mam na sobie rzeczy, w których spałam – ale jest już za późno.

Drzwi się otwierają.

Cecile wygląda perfekcyjnie. Ma na sobie długą, powiewną nocną koszulę, a na jasne, związane w luźny węzeł włosy wsunęła obszytą koronkową lamówką maseczkę na oczy.

Bez makijażu wygląda młodziej i właściwie dużo ładniej. Ale ma zmęczone, zaczerwienione oczy – oczy kogoś, kto całą noc płakał. Na mój widok otwierają się szeroko.

– Sophia! – Głos Cecile jest zduszony i pełen zdumienia.

– Musimy porozmawiać – mówię. – Słyszałam cię wczoraj wieczorem. Jak rozmawiałaś z Gettym.

Cecile marszczy czoło, a jej oczy strzelają gorączkowo na wszystkie strony.

– Nie wiem, o czym mówisz.

Podnoszę dłoń.

– Obie wiemy, że to byłaś ty. Więc… mogę wejść?

Cecile wystawia głowę na korytarz i patrzy najpierw w jedną stronę, potem w drugą. Odsuwa się na bok.

– Chyba tak będzie lepiej.

Pokój Cecile jest zupełnie inny niż mój, co jest dziwne, biorąc pod uwagę, że wszystkie tutejsze pokoje są do siebie podobne.

Na łóżku leży śnieżnobiała lniana pościel obszyta koronką, która zapewne jest bardzo trudna do prania. Wśród białych poduszek są też inne, ozdobne, ze złotymi nadrukami w formie różnych zwierząt.

Na drzwiach wisi tablica rejestracyjna od mercedesa z napisem „Cecile”, a na ścianach plakaty filmowe. Panuje tu idealny porządek, nigdzie nie ma ani drobiny kurzu, a ja mam wrażenie, że znalazłam się na zdjęciu z jakiegoś magazynu wnętrzarskiego.

Staję niezręcznie koło łóżka, bo nie bardzo wiem, co mam ze sobą zrobić. Przy oknie stoi szezlong, ale wydaje się zdecydowanie zbyt czysty i doskonały, żeby można na nim usiąść.

– A więc? – Cecile wygładza narzutę na łóżku, a potem potrząsa poduszkami. – O czym chcesz rozmawiać?

– Wiem, że Getty był tu wczoraj wieczorem.

Cecile nieruchomieje z poduszką w rękach, a potem podejmuje ubijanie jej, jakby mnie nie usłyszała.

– Domyślam się, że to ty go wpuściłaś – ciągnę.

– Nie masz żadnych dowodów – mówi Cecile ze wzrokiem wbitym w złote, nadrukowane na poduszce żyrafy.

– Nie potrzebuję dowodów. Jeśli powiem Marcowi, że słyszałam cię z Gettym, to zupełnie wystarczy.

To zwraca jej uwagę.

– Nie zrobisz tego! – Odwraca się do mnie szybko.

– Może zrobię – mówię. – Jeśli nie powiesz mi, co się tu dzieje. – W tej chwili trudno mi jej współczuć, ale próbuję sobie przypomnieć poprzedni wieczór i łagodnieję trochę. – Wydawałaś się bardzo… zdenerwowana.

– Nic się nie stało – mówi Cecile, zdecydowanie za szybko.

Robię krok w jej stronę.

– Posłuchaj, wiem, że za sobą nie przepadamy. I pewnie tak już zostanie. Ale jeśli masz jakiś problem, jakiś poważny problem, powiedz mi. Bo jeśli nie dowiem się, o co chodzi, będę musiała powiedzieć Marcowi, że to ty wpuściłaś tu wczoraj Getty’ego.

Cecile podchodzi do okna i patrzy w przestrzeń. Opiera dłonie na wąziutkich biodrach, a ja widzę, jak kruche jest jej ciało pod tą zwiewną koszulą.

– Więc chcesz mnie szantażować.

– Nie – kręcę głową. – W żadnym wypadku. Chcę dać ci szansę.

– Myślisz, że potrzebuję szansy od kogoś takiego jak ty?

– W tej chwili tak. – Czuję, że moje ręce też wędrują na biodra. – Słuchaj, to zaczyna być śmieszne. Przyszłam tu, żebyś mogła powiedzieć, jak to wszystko wygląda z twojej strony. Ale skoro tego nie chcesz, nie ma problemu. Zadzwonię do Marca i powiem mu, że…

– Nie! – Cecile odwraca się z oczami pełnymi łez. – Proszę. – Kręci głową. – Nie mów mu. Jeśli… jeśli wyrzuci mnie z college’u, moje życie się skończy.

– Więc co się tu dzieje? – pytam. – Czy wpuściłaś tu wczoraj wieczorem Getty’ego?

Cecile ledwo dostrzegalnie kiwa głową.

– Po co?

– Och, przecież wiesz. – Macha ręką o perfekcyjnych paznokciach. – Żeby mógł zrobić ci zdjęcia. Ale ciebie nie było.

– Cecile, jak dobrze znasz Getty’ego?

– Co to ma znaczyć?

– Dokładnie to, co słyszysz.

– Moje życie osobiste to nie twoja rzecz.

Marszczę brwi.

– Życie osobiste?

Cecile przykłada rękę do czoła.

– Zapomnij, że to powiedziałam. Słuchaj, znam go dość dobrze, w porządku? Za dobrze.

– Ale czy wiesz, że… Rozumiesz, on może być niebezpieczny.

– Ty chyba nie masz się czego bać? Marc Blackwell cię obroni.

– Nie myślę o sobie – mówię. – Tylko o tobie. Wiesz, że… to znaczy, chodzi o kobiety. On… słyszałam, że on lubi patrzeć, jak kobiety cierpią.

Cecile rozchyla blade wargi, pokazując drobne białe zęby.

– Skąd wiesz, co on lubi?

– Cecile, czy on cię skrzywdził?

Cecile spuszcza wzrok i obejmuje nadgarstek palcami drugiej ręki. Wokół nadgarstka widzę niebiesko-zielony siniec.

– Getty ci to zrobił? – pytam cicho.

Cecile puszcza swoją rękę jak dziecko, przyłapane na podkradaniu słodyczy ze słoja. Jej ramiona zaczynają się trząść, a potem klatka piersiowa. Czuję wstrząsający nią płacz aż do kości.

– Wszystko w porządku – próbuję ją uspokoić. – Naprawdę. Wszystko będzie dobrze.

– Nie. – Cecile kręci głową. Siada na łóżku i ociera łzy ręką. – Nie jest w porządku. Wszystko tak się skomplikowało. Tak strasznie się skomplikowało. Ty tego nie zrozumiesz. Tak ci zazdroszczę twojego życia.

– Ty? Mojego życia? Chciałabym pochodzić z bogatej rodziny. Wtedy życie jest chyba znacznie łatwiejsze.

– Żartujesz? – Cecile szeroko otwiera oczy. – Moja rodzina… oni kontrolują wszystko, co robię. W moim życiu liczy się tylko to, jaki wpływ ma na nich. – Znowu zaczyna płakać.

– Cokolwiek się wydarzyło, jestem pewna, że można sobie z tym poradzić – mówię, głaszcząc ją po głowie. – Pomogę ci.

– Nikt nie może mi pomóc – mówi Cecile. Ma wielkie, przestraszone oczy. – Przykro mi, Sophio. Nigdy nie chciałam, żeby sprawy zaszły aż tak daleko.

– Tak daleko?

– Wszystko tak się pomieszało. – Cecile kryje twarz w dłoniach.

Pozwalam jej płakać, bo wiem, że dobrze jest wypuścić łzy. Po kilku minutach Cecile bierze głęboki oddech i podnosi głowę.

– Więc co się dzieje? – pytam łagodnie.

– Jestem w ciąży – mówi ochryple Cecile. – Getty jest ojcem.

Rozdział 80

Bezwiednie zasłaniam dłonią usta.

– O mój Boże.

Cecile patrzy na swoje kolana.

– Byłam taka głupia. On jest dość dobrze znany, więc… pochlebiło mi, kiedy mnie zaprosił. Ale tak naprawdę chodziło mu o ciebie. – Opuszcza głowę na dłonie. – Nie mogę być samotną matką. Po prostu nie mogę.

– To nic złego – mówię. – Będziesz miała dużo wsparcia. Wiele dziewczyn w takiej sytuacji daje sobie świetnie radę.

– Może tam, skąd ty pochodzisz, ale w mojej rodzinie takie rzeczy po prostu się nie zdarzają. Moi rodzice nigdy więcej się do mnie nie odezwą, jeśli urodzę nieślubne dziecko… – Znowu płacze. Ten szloch jest tak głęboki i bolesny, że nie jestem w stanie go słuchać.

– Czy Giles o tym wie? – pytam.

– Tak.

– I co on na to?

– Guzik go to obchodzi. – Cecile skubie koronkową falbankę. – Tyle że teraz ma na mnie haka i sposób, żeby dobrać się do ciebie.

– Haka na ciebie?

– Mówi, że się ze mną ożeni. Zrobi to, co należy. Będzie normalny ślub. Ale oczywiście jest za to cena.

– Masz wpuszczać go do college'u i sprzedawać historie na mój temat – kończę.

Cecile zagryza wargę.

– To nie tak się zaczęło. To znaczy, na początku to był mój wybór. Chciałam sprzedać jakąś historię o tobie. To nie było fair, to jak zdobyłaś Marca. Chciałam się na tobie odegrać. Ale potem… Giles i ja… On potrafi być czarujący. Nie miałam pojęcia, jaki jest naprawdę. Przynajmniej na początku.

– A teraz?

– Teraz już wiem. – Cecile znowu pociera nadgarstek.

– Cecile, więc oczywiście nie masz zamiaru poślubić kogoś takiego?

– A jaki mam wybór? Jeśli tego nie zrobię, rodzina mnie wydziedziczy.

– Jesteś tego absolutnie pewna?

– O tak. – Cecile się krzywi. – Miałam kiedyś kuzynkę… Już jej nie mam. Wyszła za Hindusa. Rodzina go nie zaakceptowała i teraz nikt z nią nie rozmawia. Jakby nigdy nie istniała. – Zasłania twarz rękami. – Nie mam wyjścia. Po prostu nie mam wyjścia. Giles zagroził, że jeśli przerwę ciążę, napisze o „aborcji w Ivy College". Będę publicznie zhańbiona. To będzie koniec mojego życia. – Jej wargi zaczynają drżeć.

– Musi być jakiś sposób – mówię, bo naprawdę jest mi jej żal. Tom miał rację – podpisała pakt z diabłem i teraz za to płaci.

– Nie ma, wierz mi – mówi Cecile. – To potwór. Chryste, jak mogłam być taka głupia?

– Cecile, co z tym zrobimy? Nie możesz dalej go tu wpuszczać. To nie jest bezpieczne. Dla żadnej z nas.

– Powiedz ochronie, że był w kampusie i na pewno nie uda mu się tu znowu wejść. Ale proszę cię, Sophio, nie mów Marcowi, że to ja go wpuściłam. Tak mi przykro. Za wszystko. Tak źle się wobec ciebie zachowywałam. Byłam taka zazdrosna. Szaleńczo zazdrosna.

– Nie powiem Marcowi – zgadzam się. – Ale on wie już, że Getty był w kampusie. Więc zwiększy ochronę.

– To dobrze. – Cecile kiwa głową.

Patrzymy na siebie przez chwilę, a potem Cecile robi coś, czego zupełnie się nie spodziewam. Sięga i bierze mnie za rękę.

– Nie oczekuję, że mi wybaczysz. Ale wierz mi, naprawdę żałuję, że opowiadałam prasie te historie. To było coś… poniżej mojego poziomu. I muszę za to zapłacić wysoką cenę. – Mocniej ściska moją dłoń. – Musisz uważać, Sophio. Getty… posunie się do wszystkiego. To potwór. – Cecile nie puszcza mojej ręki. – Ja musiałam wpuścić go do kampusu. Szantażował mnie. Inaczej nigdy bym tego nie zrobiła, przysięgam. Ale gdyby powiedział moim rodzicom…

– Cecile, oni i tak się w końcu dowiedzą. W taki czy inny sposób.

– Ale jeśli się najpierw pobierzemy…

– Wtedy zostaniesz żoną potwora.

Cecile na długą chwilę zamyka oczy. Potem otwiera je i mówi:

– Może warto się poświęcić.

Wychodząc z pokoju Cecile, jestem bardziej poruszona niż kiedykolwiek. Prawdę mówiąc, wolałam jej nie lubić, niż jej współczuć. Bo to było łatwiejsze. Teraz muszę przyjąć do wiadomości, że ona, na swój sposób, także jest ofiarą Getty’ego.

Rozdział 81

Pojawiam się na próbie z trochę zaczerwienionymi oczami. Nie mogę przestać myśleć o Cecile i Gettym. Ale gram dobrze. Mój głos jest silniejszy i czystszy, aktorsko jestem teraz bardziej pewna siebie.

Oczywiście przy każdej okazji sprawdzam, czy Marc dzwonił do mnie albo napisał coś na temat Getty'ego i dodatkowej ochrony. Leo żartuje z tego tak, że zaczęłam wymykać się do toalety, żeby zajrzeć do telefonu. Ale przez cały dzień nie ma nic: żadnych esemesów, nieodebranych połączeń, wiadomości w poczcie głosowej. Marc pewnie wszystkim się zajął, ale nie widzi powodu, żeby mnie o tym informować.

Po próbie Leo zaprasza mnie na drinka.

– Nie mogę – mówię. – Mam kolejną lekcję z Denise.

– Więc może potem? – pyta Leo.

– Może. Ale mogę też być zbyt zmęczona.

Lekcja z Denise idzie dobrze; czuję, że mój głos staje się coraz silniejszy. Ale Marc nie dzwoni, więc postanawiam zacisnąć zęby i zadzwonić do niego. Chcę zapytać, kiedy będzie nasza następna lekcja. I, jeśli mam być ze sobą całkiem szczera, chcę się upewnić, że Marc wie, iż między mną a Leo nic nie ma. Na wypadek, gdyby była dla nas jeszcze jakaś szansa.

Słucham sygnałów w telefonie i czuję, że serce bije mi coraz szybciej.

– Sophia.

– Marc… mam nadzieję, że nie masz nic przeciw temu, że dzwonię.

– Oczywiście, że nie.

– Tak się zastanawiałam… będę miała z tobą jeszcze jakieś lekcje?

– Oczywiście. Ale w tym tygodniu jesteś zajęta z Denise. Nie chciałem cię zamęczyć.

– Och. No tak. Posłuchaj, Marc… Chciałam ci tylko powiedzieć… chodzi o mnie i Leo. Wiem, jak to może wyglądać, ale to nie tak.

– Myślisz, że jestem zazdrosny? – pyta Marc.

– Uch…

– Moje uczucia są bez znaczenia. Dałem słowo, że ci pomogę. I zrobię to. Odpocznij trochę w weekend. Na następny tydzień zaplanowałem dla ciebie kilka zajęć.

– Ale Marc, ja nie jestem z Leo i…

– Sophia, to co robisz w swoim życiu osobistym, to nie moja sprawa.

Połączenie zostaje przerwane.

Na ekraniku pojawia się esemes od Leo.

„Skończyłaś już? Zmieniłaś zdanie co do drinka?"

Och, do diabła. Bóg jeden wie, że przyda mi się chwila odprężenia, a Marc dał mi do zrozumienia, że nie ma dla nas nadziei.

Odpowiadam:
„Jasne. Gdzie jesteś?”
Leo odpowiada natychmiast:
„Greens w Soho. Czekam!”

Rozdział 82

Kiedy docieram do Greens, bar jest pełen ludzi. Leo otaczają zachwyceni wielbiciele; uśmiecham się, widząc, jak składa podpisy na podkładkach pod piwo.

Przepycham się do niego.

– Cześć, Leo.

– O, cześć! Sophia! Napijesz się czegoś?

– Uch, jasne… Białe wino, proszę.

– Och, daj spokój. Przyda ci się coś mocniejszego. – Uderza dłonią w bar. – Dwie wódki, białe wino i duża whisky z colą.

Odwraca się do mnie.

– I co? Czy pan Blackwell w końcu zadzwonił?

– Nie. W końcu to ja do niego zadzwoniłam.

– Więc jesteście znowu razem?

– W żadnym razie. Daje mi lekcje gry aktorskiej. Ale jesteśmy tylko nauczycielem i studentką, to wszystko.

Leo powoli kiwa głową.

– Słyszałem, że jest naprawdę dobrym nauczycielem.

– Jest – mówię. – Ale poza tym nic między nami nie ma.

– Jesteś tego pewna?

– Tak.

Odzywa się mój telefon i Leo unosi jedną brew.

– Może to on. Oczywiście tylko jako twój nauczyciel.

Uśmiecham się i kręcę głową, bo widzę na ekraniku numer taty. Jest już prawie jedenasta. Dlaczego tata tak późno dzwoni?

– Przepraszam cię, Leo, ale muszę odebrać. – Wychodzę z baru i staję na chodniku przed budynkiem. – Tata?

– Sophia, musisz natychmiast wracać do domu!

To nie tata – to Genoveva.

– Genoveva? Co się stało? – W tle zawodzi Samuel. Nigdy dotąd nie słyszałam, żeby tak strasznie krzyczał i zaczynam się denerwować. – Z Sammym wszystko w porządku?

– Chodzi o twojego ojca… Miał wypadek.

Krew tężeje mi w żyłach.

– O Boże… Co się stało?

– Nie mogę… Nie, Samuelu, nie teraz. Nie daję już rady! Musisz wracać!

– W porządku. Uspokój się, proszę. Gdzie jesteś? Zaraz tam będę. – Jest mi niedobrze ze zdenerwowania. Samuel płacze coraz głośniej.

– W domu – krzyczy Genoveva. – Musisz zaraz tu wrócić!

– Już jadę. Co się stało? Powiedz, o co chodzi. Gdzie jest tata?

– W szpitalu – jęczy Genoveva. – Jestem całkiem sama. Nie poradzę sobie.

– Genovevo… co się stało mojemu tacie?

– Miał wypadek. W swojej taksówce. Jest u nas w szpitalu. Mówią… mówią, że ma pięćdziesiąt procent szans.

– Przyjeżdżam natychmiast.

– Do nas czy do szpitala?

– Do szpitala. Przyjedź tam z Samuelem.

Kiedy pędzę w stronę Oxford Street, kręci mi się w głowie. Po drodze natykam się na kilku zabłąkanych paparazzich, ale prawie ich nie zauważam. Pewnie uważają, że mają szczęście, kiedy mijam ich z twarzą zalaną łzami. Co za zdjęcia. Ale nic mnie to nie obchodzi.

Zatrzymuję pierwszą taksówkę, która pojawia się na ulicy.

Rozdział 83

Do szpitala docieram kompletnie zapłakana i zasmarkana. Udaje mi się wykrztusić nazwisko ojca recepcjonistce, która kieruje mnie na oddział intensywnej terapii.

Pod drzwiami oddziału pielęgniarka mówi, żebym zaczekała w pokoju dla gości do czasu, kiedy lekarz będzie mógł ze mną porozmawiać.

Mam wrażenie, że zaraz upadnę na kolana na tym szpitalnym korytarzu i wypłaczę sobie oczy, ale jakoś udaje mi się wziąć w garść.

– Nie, nie mogę – słyszę swój własny głos, zdumiona, że w ogóle potrafię sklecić zdanie. – To byłaby tortura. Proszę. Ja muszę go zobaczyć. Albo dowiedzieć się przynajmniej, co mu jest.

Pielęgniarka jest pulchną blondynką w wielkich okrągłych okularach.

– Sophia Rose, prawda?

– Tak, ja…

– Tak myślałam. Poznaję z gazet. – Krzyżuje ramiona na piersi. – Pani ojciec jest tu od wielu godzin. Nie spieszyła się pani specjalnie. Jakieś wcześniejsze zobowiązania?

Otwieram i zamykam usta, czując łzy złości wzbierające pod powiekami.

– Nie, ja… dopiero się dowiedziałam.

– Doprawdy? – Jej pytanie wisi w powietrzu.

– Bardzo kocham mojego tatę – mówię. – Zrobiłabym dla niego wszystko. Proszę nie wierzyć we wszystko, co piszą o mnie w gazetach. Muszę go zobaczyć.

– Jest nieprzytomny…

– Proszę. – To słowo jest gdzieś pomiędzy krzykiem a szlochem.

– Śpi teraz, a my przygotowujemy go do transportu.

– Transportu?

– Na badanie mózgu. U nas w szpitalu nie ma takiego sprzętu. Lepiej byłoby go nie ruszać, ale przy takich obrażeniach po prostu nie jesteśmy przygotowani do terapii.

Ściska mnie w gardle.

– Mogę chociaż na niego popatrzeć?

Pielęgniarka wzdycha.

– Proszę tędy.

Na oddziale widzę tatę, ale go nie widać – jeśli to ma jakiś sens. Uśpiony mężczyzna na łóżku nie wygląda jak mój tata. Wydaje się znacznie starszy i bardziej siwy.

Twarz i szyję mam wilgotne od łez, kiedy podchodzę do łóżka i biorę do ręki jego ciepłą, bezwładną dłoń.

– Tato, to ja. Soph. Wszystko będzie dobrze, tato. Wyjdziesz z tego. Wszystko będzie dobrze.

Łkam w kołdrę, która przykrywa jego nieruchome ciało. Wyczuwam za sobą pielęgniarkę i odwracam się do niej.

– Kiedy on się ocknie?

– Trudno powiedzieć. Niektórzy wracają do zdrowia w pełni, ale to wszystko zależy od tego, co wykaże badanie mózgu. Wtedy będziemy wiedzieli, jakie są szanse. Na razie nie znamy dokładnie skali obrażeń. Jego stan jest stabilny, ale liczy się czas. Teraz musimy go przygotować.

Mocniej ściskam rękę taty.

– Jeszcze kilka minut.

– Przykro mi. – Pielęgniarka kładzie mi dłoń na ramieniu. – Mamy specjalny pokój dla odwiedzających. Proszę tędy.

W poczekalni spoglądam na maszynę sprzedającą batoniki, zastanawiając się, czy ktokolwiek w tym miejscu byłby w stanie jeść. Czuję się pusta. Wydrążona. Zaniosłam już tyle modlitw do Boga, że na pewno zdążył się mną znudzić.

Próbuję zadzwonić do Jen i Genovevy, ale nie mam sygnału. Chyba wszystkie automatyczne sekretarki blokują moje połączenia.

Myślę, żeby kupić sobie jakiś napój z automatu, kiedy słyszę na korytarzu szybkie, męskie kroki. Nareszcie. Lekarz.

Drzwi poczekalni się otwierają.

Zakrywam usta ręką.

Do pokoju wchodzi Marc.

Rozdział 84

Marc!

Podchodzę do niego. Nie, nie podchodzę. Podbiegam do niego. Rzucam się na niego, Obejmuję go ramionami i kryję twarz w jego ciepłym czarnym swetrze. On nie mówi ani słowa, tylko trzyma mnie, podczas gdy ja drżę i płaczę, i opowiadam całe mnóstwo bzdur o okropnej pielęgniarce, o tym, jak wygląda mój tata i o tym, że nikt nie wie, czy on odzyska przytomność, czy nie.

Marc głaszcze mnie po głowie i obejmuje mocniej. Właściwie nie potrzebuję, żeby coś mówił. Wystarczy, że mnie tak obejmuje. W końcu kończą mi się słowa i łzy i tylko opieram się o niego, dysząc ciężko, a on trzyma mnie w ramionach.

Marc pociąga mnie w stronę plastikowych krzeseł i oboje siadamy.

– Rozmawiałem z lekarzem – mówi Marc. – Pytałem o stan twojego taty. Jest nadzieja, Sophio. Obiecuję ci to.

– Dziękuję – mówię w miękką tkaninę jego swetra. Nic mnie nie dziwi, ani to, że Marc jest w szpitalu a ja nic o tym nie wiedziałam, ani że już zdążył rozmawiać z lekarzem. To wszystko jest takie… w stylu Marca. I kocham go za to. Prawdziwie, głęboko go kocham. W takich chwilach jest niezastąpiony.

– Postanowili, że nie będą go przewozić – mówi Marc, głaszcząc moje włosy. – Zostaje tutaj.

– Jak to? Pielęgniarka mówiła, że nie mają tu sprzętu.

– No cóż. Teraz już mają. Potrzebujesz czegoś? Jedzenia? Gorącej czekolady?

Kręcę głową.

– Nie, już dobrze. Tylko… zostaniesz ze mną? – Tylko tego teraz chcę.

– Myślisz, że zostawiłbym cię w takiej chwili?

– Nie – potrząsam głową tak gwałtownie, że włosy kołyszą się na wszystkie strony. – Nigdy.

Rozdział 85

Noc ciągnie się bez końca. Siedzę z Markiem, patrząc na zegar – tik-tak, tik-tak – i czekam na wieści. To męczarnia.

O drugiej nad ranem do pokoju zagląda lekarz w białym fartuchu. Ma okulary w grubych czarnych oprawkach i jest bardzo niski – prawie jak dziecko.

– Pani Sophia Rose?

– Tak. – Wstaję, a Marc robi to samo.

– Jestem tu, żeby udzielić pani informacji o stanie ojca. On… nie wygląda to dobrze.

Czuję, że moja twarz się marszczy, a ja wtulam się mocniej w Marca, który obejmuje mnie ramieniem.

– Może zechce pan sprecyzować, co znaczy „nie wygląda to dobrze”?

Lekarz poprawia okulary na nosie.

– Przez długi czas był nieprzytomny. W takich przypadkach najrozsądniej jest przygotować się na najgorsze.

Marc patrzy na niego groźnie.

– Przygotować się na najgorsze? Nie znam takiego terminu medycznego. Szpitale są chyba po to, żeby ratować ludziom życie, czyż nie? Jeśli skazał go pan na śmierć jeszcze przed badaniem mózgu, to mamy problem.

– Sądziłem po prostu, że oczekujecie państwo informacji…

– I za to jesteśmy wdzięczni. Ale przydałaby się też odrobina nadziei.

– Tak… no cóż… – przytakuje potulnie lekarz, wychodząc z sali.

Marc wyciąga telefon z kieszeni i wystukuje numer.

– Do kogo dzwonisz? – pytam.

– Zamierzam sprowadzić tu specjalistyczną pomoc medyczną. Najlepszych ludzi, jakich uda mi się znaleźć. Nie wątpię, że ludzie tutaj bardzo się starają. Ale ogranicza ich doświadczenie. Chcę poszukać kogoś, kto miał już do czynienia z przypadkami takimi jak twój ojciec.

Osuwam się na plastikowe krzesło.

– Przygotować się na najgorsze – mruczę.

Marc marszczy brwi i kładzie mi dłoń na ramieniu.

– Nawet tak nie myśl. To nie pomoże ani tobie, ani twojemu ojcu. Musisz myśleć pozytywnie. To coś, czego ten lekarz chyba nie rozumie. Do diabła! – Spogląda na telefon. – Nie ma zasięgu. Sophio, czy mogę na chwilę wyjść na zewnątrz?

Sztywno kiwam głową.

– Zaraz wracam. – Marc bierze moją rękę i całuje palce. – Obiecuję.

Pięć minut później widzę, jak chodzi tam i z powrotem po szpitalnym parkingu, rzucając przez telefon instrukcje. Patrzę na gwiazdy na nocnym niebie i proszę, proszę,

żeby mój tata z tego wyszedł.

Nie wiem jak, ale udaje mi się usnąć i parę godzin drzemię z głową opartą o ramię Marca. Kiedy się budzę, szarość świtu ustępuje już światłu wstającego słońca.

Odwracam się do Marca. Jest całkowicie rozbudzony, wyprostowany, i patrzy na mnie. Jeśli nawet jest zmęczony, nie widać tego po nim.

– Sophia. Obudziłaś się.

– Czy ty w ogóle spałeś? – mruczę ochryple, z gardłem ściśniętym od łez.

Kręci głową.

– Ja dobrze znoszę brak snu. Ale cieszę się, że ty trochę odpoczęłaś. Mam dobrą wiadomość.

– Wiadomość? – podnoszę się, zaciskając palce na ramionach Marca.

– Twój tata odzyskał przytomność. Badanie wykazało krwiak, który został już usunięty. Wyjdzie z tego.

Zrywam się z krzesła.

– O mój Boże. Wyjdzie z tego? Naprawdę? Jest przytomny?

Marc się uśmiecha.

– Nawet trochę już mówi. Możesz się z nim zobaczyć.

Rozdział 86

Tata jest wsparty na poduszkach i wygląda dziwnie świeżo i przytomnie jak na kogoś, kto leży na szpitalnym łóżku. Wiedziałam, że załamię się, kiedy go znowu zobaczę, i tak właśnie jest.

– Tato – płaczę, biegnąc do niego.

– Cześć, kwiatuszku. – Jego głos jest trochę zmęczony, ale brzmi jak mój tata i łzy płyną mi z oczu coraz obficiej.

Podchodzę do łóżka i biorę go za rękę.

– Jak się czujesz?

– Jakby przejechał mnie samochód – mówi tata z uśmiechem. Kołdra przesuwa się trochę, kiedy się poruszył i dostrzegam wielkie czarne sińce na jego ramieniu.

– Cały ty, żartować w takiej chwili – mówię, próbując odpowiedzieć mu uśmiechem. – Tak się martwiłam. Nadal się martwię.

– Nie martw się, kwiatuszku. Nie o mnie. Mnie nic nie jest. Wszystko w najlepszym porządku. Muszę podziękować temu twojemu chłopakowi, on gdzieś tu jest?

– Marc? – odwracam się do drzwi. – Jest w poczekalni.

– Cóż, powiedz mu, że gdyby nie on, mogłoby mnie tu już nie być. Powiedz mu to. Bez tego urządzenia…

– Urządzenia?

– Podarował szpitalowi nowy skaner. Nie mówił ci? Bez tego sprawy mogły potoczyć się inaczej.

Kręcę głową.

– Nie. Nic mi nie powiedział.

– Hojny i szczery. Niewielu jest takich. – Tata zaczyna kaszleć i krzywi się z bólu.

– Hej. – Ściskam jego dłoń. – Teraz po prostu odpoczywaj.

– Chyba powinienem się przespać. Żeby rany się szybciej goiły. Nie masz nic przeciw temu, prawda?

– Oczywiście, że nie – uśmiecham się do niego. – Śpij. A ja spróbuję zadzwonić do Genovevy. Powiedzieć jej, że wszystko będzie dobrze.

– Jej tu nie ma? – Twarz taty przygasa. – A co z Samem?

– Jeszcze ich nie ma – mówię. – Ale jestem pewna, że są już w drodze. Teraz się prześpij.

Rozdział 87

Na korytarzu czeka Marc.

– Dziękuję – mówię do niego. – Za wszystko. Bez ciebie…

– Nie masz mi za co dziękować – przerywa mi Marc.

– Tak mi ulżyło – mówię, kładąc rękę na piersi. – Już to, że go zobaczyłam… że jest przytomny i mówi… o mój Boże. – Wyjmuję telefon z kieszeni. – Muszę iść na parking i zadzwonić do Genovevy.

Oboje wychodzimy na zewnątrz.

Na konto Genovevy trzeba zapisać, że odbiera po pierwszym sygnale.

– Odzyskał przytomność – wołam, nie czekając, aż ona coś powie. – Właśnie z nim rozmawiałam. Wyjdzie z tego. Mówią, że wróci do pełni zdrowia.

– A kiedy wróci do domu? – pyta Genoveva.

– Nie wiem.

– Nie wytrzymam tego! – krzyczy Genoveva. – Jestem tu całkiem sama z Samuelem.

Nie wiem, czy to brak snu, czy wstrząs związany z tym, co się stało, ale coś we mnie pęka.

– Genovevo – mówię spokojnie. – Mój ojciec jest w szpitalu. Mógł umrzeć. Przestań wreszcie myśleć o sobie i pomyśl dla odmiany o nim. Dobrze? On chciałby zobaczyć ciebie i Sama. Więc jeśli nie masz nic lepszego do roboty, wsiądź w taksówkę i przyjedź do szpitala. Zaraz.

Słyszę coś jakby szloch, a potem skruszona Genoveva mówi:

– Dobrze. W porządku. Już jadę.

Genoveva pojawia się wkrótce po moim telefonie i szlocha w moje ramię, podczas gdy tata śpi.

Kiedy się budzi, ostrzegam ją, żeby nie stresowała go domowymi sprawami, a ona, ku mojemu zdumieniu, nie robi tego. Pyta go o wypadek i o to, jak się czuje, ale nie wspomina ani razu o tym, jak ma sobie teraz radzić.

Marc jest ze mną przez cały czas. Nie mówi wiele, ale jest. Pewny jak skała. Nawet bawi się z Samem, zabiera go na dwór i kupuje mu torebkę galaretek. Wygląda tak słodko z tym małym chłopcem i mój umysł zaczyna wyobrażać sobie Marca, mnie i nasze wspólne dziecko.

Nie, Sophio. Przestań marzyć.

Genoveva wraca do domu o piątej, żeby dać Samowi podwieczorek, a ja idę zobaczyć się z tatą. Wygląda lepiej niż rano. Wydaje się bardziej rozbudzony. Personel szpitala wspomina o tym, że może następnego dnia go wypiszą.

– Powinnaś już iść, kochanie – mówi tata. – Wydajesz się wyczerpana. Teraz już

wszystko będzie dobrze. Odpocznij trochę. Odwiózłbym się, ale… – wskazuje łóżko i oboje się śmiejemy. – Czy ten twój chłopak ciągle tu jeszcze jest?

– Tak, ale to nie jest mój chłopak. Już nie.

– Szkoda.

– Wiem.

– Idź, skarbie. Jedź do domu. Ja jeszcze sobie pośpię. Możesz dzwonić, jeśli chcesz, tak mówiła pielęgniarka. No, idź. Musisz odpocząć.

Trę oczy i zdaję sobie sprawę, że tata ma rację. Jestem naprawdę wyczerpana.

– Dobrze. – Całuję go w czoło. – Zobaczymy się niedługo, słyszysz?

Rozdział 88

Kiedy wracam do poczekalni, Marc stoi przy automacie do kawy, wrzucając w szczelinę jedną monetę za drugą. Pięć beżowych kubków z brązową kawą stoi na stoliku. Patrzę, jak z góry zjeżdża kolejny kubek, a zaraz potem zaczyna się do niego lać wrzątek.

– Dla kogo ta cała kawa? – pytam.

Marc nie przestaje wrzucać monet.

– Dla personelu. Pomyślałem, że przyda im się jakiś gorący napój.

– Bardzo miło z twojej strony – uśmiecham się ze zmęczeniem. – Tata uważa, że powinnam iść do domu. Odpocząć.

Marc odwraca się do mnie.

– Tak, też uważam, że to znakomity pomysł. Musisz odpocząć. Zadzwonię po Keitha. Odwiezie cię.

– Dziękuję.

Marc uśmiecha się lekko.

– Cieszę się, że nie oponujesz.

– Nie mam siły.

Kiedy wychodzimy na parking, pada deszcz.

Przy samochodzie Marc odwraca się do mnie.

– Zostanę z tobą, jeśli mnie potrzebujesz. Nie musisz być sama.

Czuję kroplę deszczu, która spada mi na nos; podnoszę na niego oczy.

– Naprawdę? Zostaniesz ze mną?

– Jeśli tylko Leo nie będzie miał nic do powiedzenia na ten temat.

Kręcę głową.

– Jesteśmy tylko przyjaciółmi.

Marc się uśmiecha.

– Wsiadaj do samochodu, Sophio, zanim całkiem przemokniesz.

Rozdział 89

Samochód wydaje mi się bezpieczny, ciepły i boleśnie znajomy. Spędziliśmy trochę czasu w tym samochodzie, Marc i ja. Tamte chwile wracają do mnie nagle, kiedy Marc siada obok mnie.

– Załóż pas.

– Och. Nie jest założony?

– Nie. – Marc zakłada pas wokół mnie i zapina go. Potem stuka w okno między nami i Keithem. Szyba odsuwa się na bok.

– Do domu, Keith – mówi Marc.

– Oczywiście, Marc. – Szyba się zasuwa.

– Do domu? – pytam, rozcierając zziębnięte, przemoczone ramiona.

– Tam będę mógł się tobą zaopiekować.

– Dobrze.

– Nadal zbyt zmęczona, żeby protestować?

Kiwam głową.

– Muszę zapamiętać, jak działa na ciebie zmęczenie.

Jedziemy w milczeniu. Patrzę przez okno zamglonymi oczami. Odczuwam wielką ulgę, że z tatą jest w porządku, ale emocje ostatnich dwudziestu czterech godzin i brak snu sprawiają, że wszystko wydaje się snem. Nic nie jest realne, a zwłaszcza fakt, że obok mnie siedzi Marc.

Zasypiam znowu, a kiedy się budzę, Marc wnosi mnie na szerokie schody i delikatnie kładzie na łóżku.

– Nie było mnie tu przez jakiś czas – mruczę, kiedy nakrywa mnie miękką kołdrą. – Tym razem też masz gości, o których powinnam wiedzieć?

Marc się uśmiecha.

– Nie. Annabel jest ciągle w klinice. Bardzo dobrze sobie radzi. Zostanę z tobą, dopóki nie zaśniesz.

– Czy to dobry pomysł?

– To zależy.

– Od?

– Od tego, czy mi wybaczysz.

Podnoszę się na łokciu.

– Wybaczyć ci?

– Dzisiaj coś sobie uświadomiłem. Nigdy nie zdołam zapewnić ci absolutnego bezpieczeństwa. Życie zawsze rzuci nam pod nogi coś, czego się nie spodziewam. Ale na pewno będę w stanie czuwać nad tobą bardziej, kiedy będę przy tobie.

Otwieram szeroko oczy.

– Marc? Czy powiedziałeś właśnie to, co wydaje mi się, że powiedziałeś?

Kiwa głową.

– Ale… co z prasą?

– Zawsze będą jakieś przeszkody. Zagrożenia. Wcześniej ulegałem lękom. Nie mogłem znieść myśli, że coś może ci się stać. Ale… ten lęk wcale mnie nie opuścił, kiedy nie byliśmy razem.

– Więc pozwolisz mi podejmować własne decyzje? Nawet kiedy będziesz uważał, że są ryzykowne?

– Trudno będzie patrzeć, jak zmagasz się z tym wielkim światem, ale nie ciężej niż być z dala od ciebie. Nie powinienem był próbować podejmować decyzji za ciebie. Poddałem się moim własnym lękom. Muszę pozwolić, żebyś sama dokonywała wyborów.

Mimo zmęczenia uśmiecham się od ucha do ucha.

– Chcesz powiedzieć… że jest dla nas szansa?

– Tak. – Marc całuje mnie w czoło. – Jeśli mnie chcesz. Ale nie chcę, żebyś teraz decydowała. Jesteś zmęczona. Rozemocjonowana. Nie ma pośpiechu.

Patrzę na jego przystojną twarz.

Patrzymy sobie w oczy i czas zatrzymuje się w miejscu.

Bez zastanowienia podnoszę rękę, wsuwam palce w jego gęste włosy i przyciągam do siebie jego głowę. Jego usta są coraz bliżej i nagle dotykają moich.

Moje ciało reaguje, zanim do końca uświadamiam sobie, co się dzieje. Przywieram do niego, ogarnięta falą ciepła.

Marc marszczy brwi. A potem oddaje pocałunek, głęboko, namiętnie, przyciągając mnie do siebie ramionami.

Czuję mrowienie na skórze; małe włoski na moich ramionach zaczynają się podnosić. Słyszę ciche westchnienia i pomruki i nagle zdaję sobie sprawę, że to ja sama je wydaję.

Pierś Marca unosi się i opada w ciężkim oddechu, a jego szyja czerwienieje.

– Powstrzymaj mnie natychmiast – mówi cicho. – Zanim posunę się za daleko. To nie jest właściwy moment.

– Nie chcę, żebyś się powstrzymywał – szepczę, trzymając go rękami za barki. To takie cudowne uczucie. Znowu wsuwam palce w jego włosy, zaciskam je i przyciągam jego głowę do siebie.

On znowu mnie całuje, a ja mam wrażenie, że zaraz się roztopię. Jego oczy mówią mi, że trzyma się resztkami sił i wiem dokładnie, jak to jest.

– Kochaj się ze mną, Marc – szepczę, obejmując go nogami i przyciągając mocniej.

Marc wydaje jęk i całuje mnie gwałtowniej; wsuwa dłonie pod moje pośladki i mocno mnie ściska.

Czuję na brzuchu, jaki jest twardy i mój oddech przyspiesza.

Marc odrywa się od moich ust; jego ramiona unoszą się i opadają. Bierze kilka długich, głębokich oddechów.

– Nie.

Ma głęboką zmarszczkę na czole i wiem, że to dla niego bolesne.

– Marc?

– Nie możemy tego zrobić. Nie teraz. Nie w ten sposób. Nie myślisz jasno.

Wykorzystałbym cię.

– Nie, nie wykorzystałbyś. Wiem, czego chcę. Chcę ciebie.

– To emocje. To nie byłoby w porządku.

– Proszę – mówię szeptem.

Marc siada na łóżku.

– Nie… nie mogę. Nie byłbym w stanie nad sobą zapanować. A to nie byłoby w porządku. Nie po tym, przez co właśnie przeszłaś. Powinienem już iść.

– Nie odchodź. – Kręcę głową. W oczach mam łzy.

– Muszę. – Całuje mnie w czoło. – Nie martw się. Nie będziesz sama. Dopilnuję tego.

– Co? Chcesz wyjść z domu? Dokąd?

– Po prostu… gdzieś. – Marc pociera dłonią czoło. – Powiedzmy, że muszę zrobić coś, co pomoże mi stać się osobą, jakiej pragniesz.

– Osoba, jakiej pragnę, zostałaby teraz.

– Nie mogę… Zaufaj mi. – Marc odwraca wzrok i wstaje. – Muszę iść. Nie będziesz sama. Jest Rodney, a ja poślę po Jen, żeby dotrzymała ci towarzystwa.

– Ale dokąd jedziesz?

– Jest coś, czym muszę się zająć.

– I nie możesz mi powiedzieć, co to jest?

– Na razie nie mam nic do powiedzenia. – Marc wkłada koszulę i zapina guziki. – Sprowadzę Jen. Mam jej adres i telefon.

– Masz adres i telefon Jen?

Ten krzywy uśmiech.

– Lubię znać pewne szczegóły, które mogą okazać się istotne na wypadek, gdybym chciał cię namierzyć i zapewnić ci bezpieczeństwo.

Potrząsam z niedowierzaniem głową.

– Ale jak zdobyłeś te szczegóły?

Marc otwiera szafę i wkłada marynarkę.

– Nie zadawaj zbyt wielu pytań, Sophio. Zwłaszcza teraz.

Wychodzi z pokoju, a ja zostaję w bieliźnie na łóżku. Mam ochotę wystawić język w stronę zamkniętych drzwi, ale przez to jeszcze bardziej poczułabym się jak skarcone dziecko.

Więc znowu znalazłam się w punkcie wyjścia. Przez chwilę bliskość, a potem coś nas od siebie odpycha.

Rozdział 90

Pół godziny później dzwoni Jen.

– Co się dzieje, Soph? Wszystko w porządku?

Słyszę ruch uliczny i domyślam się, że jest w samochodzie. Zapewne w limuzynie z Keithem.

Na sam dźwięk jej głosu zaczynam płakać i pociągam nosem do telefonu.

– To były… trudne dni.

– Już do ciebie jadę. Marc dzwonił.

– Naprawdę do ciebie zadzwonił?

– Naprawdę do mnie zadzwonił. I poprosił, żebym się tobą zaopiekowała. Że to ważne. Więc o co chodzi?

Przełykam ślinę.

– Tata miał wypadek. Ale już jest dobrze.

– Twój tata? – Głos Jen zaczyna drżeć. – Chryste, Soph. Tak mi przykro. Czy wszystko z nim w porządku?

– To był wypadek… samochodowy. Ma za sobą bardzo ciężką noc, ale jest już przytomny i mówią, że całkiem dojdzie do siebie.

– O mój Boże. O mój Boże. Soph, nie miałam pojęcia. Dlaczego do mnie nie zadzwoniłaś?

– Dzwoniłam, ale w szpitalu właściwie nie było zasięgu. A potem… wróciłam z Markiem do jego domu.

– Zaczekaj… Marc był z tobą w szpitalu?

– Tak. On… Bez niego nie wiem, co by się stało. Podarował szpitalowi sprzęt, żeby tata nie musiał jechać do innego ośrodka.

– Rany. Cóż… to dobrze. Cieszę się.

– Ale teraz go nie ma.

– Smutno to zabrzmiało.

– Znowu się do siebie zbliżyliśmy. Powiedział wszystko, co chciałam usłyszeć. Ale… potem po prostu znikł, bez słowa. Nie mam pojęcia, dokąd poszedł i czuję, że coś przede mną ukrywa.

– Czekaj. – Słyszę jakiś szelest. – Wjeżdżamy do Richmond. Czy Marc mieszka w Richmond? Mówił, że jesteś u niego.

– Tak – mówię. – Musisz być już blisko.

– Zaraz, zaraz… Zwalniamy. Czy dom Marca ma cztery piętra? To taka kamienica?

– Tak.

– Brama się otwiera. Jestem na miejscu.

Głos Jen jest teraz trochę zniekształcony.

– Wjeżdżamy pod ziemię – mówi Jen z niedowierzaniem. – Rany, to…

Połączenie zostaje przerwane. Zeskakuję z łóżka i biegnę w dół po szerokich schodach. W holu słyszę, jak Jen rozmawia z Keithem za drzwiami garażu.

– Dzięki. Nie cierpię schodów.

– Nie ma problemu. Cała przyjemność po mojej stronie.

W następnej chwili drzwi się otwierają i widzę Jen – wygląda idealnie jak zawsze; lśniące jasne włosy opadają jej na plecy. Jest ubrana swobodnie, co nadal jest dość eleganckie – wąskie czarne dżinsy, czarne wysokie buty i designerska bluza odsłaniająca jedno ramię.

– Kotku! – rzuca mi się na szyję, zasypuje pocałunkami i roztacza wokół zapach perfum. – Co za miejsce! Można się tu zgubić.

– Wiem – mówię. – Kilka razy prawie mi się to zdarzyło.

– A gdzie jest kuchnia? Zrobię ci kawę.

Rozdział 91

Kiedy docieramy do kuchni, czuję zapach kawy i widzę dzbanek ekspresu wypełniony parującym czarnym płynem. Obok stoją dwa duże biało-niebieskie kubki, kartonik ze śmietanką i miseczka brązowego cukru.

– Czy tu są duchy? – pyta Jen.

– W pewnym sensie – uśmiecham się. – Jest tu kamerdyner. Rodney. Ma coś jakby szósty zmysł i zawsze wie, czego możesz potrzebować. Wie, też jak ci nie wchodzić w drogę. Musi gdzieś tu być, ale pewnie stara się nie narzucać.

Jen nalewa kawy do obu kubków i do mojego dodaje śmietankę i cukier. Sama pije czarną, co oznacza, że jest znowu na jakiejś diecie, i sadowi się na kuchennym stołku.

– Twój biedny tata – mówi. – A przede wszystkim ty jesteś biedna. To musiało być okropne.

– Było – przyznaję. – Najgorsza noc w moim życiu.

– Szkoda, że mnie przy tobie nie było.

– Nie ma sprawy – mówię. – Naprawdę. Marc był wspaniały.

– Teraz widzę go w innym świetle – mówi Jen. – To znaczy, nie zrozum mnie źle. To nie tak, że go nie lubiłam. Gdyby był takim zimnym draniem bez serca, jak przedstawia go prasa, nie byłabyś z nim. Wiem o tym. Ale jednak… nie sprawia wrażenia szczególnie ciepłego.

– Wiem – mówię. – W szpitalu czułam, że jesteśmy tak blisko. I tutaj. Ale potem znowu się w sobie zamknął. Zniknął i mam wrażenie, że oddzielają nas całe kilometry. Nie mam pojęcia, dokąd poszedł…

– Nie powiedział ci? – Jen marszczy brwi i wiem, że coś chodzi jej po głowie.

– Nie. Czemu pytasz? Wiesz coś?

– Może. No cóż, możliwe, że coś wiem, tak to ujmijmy. Zanim do ciebie zadzwoniłam, rozmawiałam z Benem z mojej firmy. Krążą plotki, że Marc jest w drodze do wschodniego Londynu.

– Do wschodniego Londynu?

– Tak twierdzą paparazzi. Jakaś para śledziła go wcześniej.

Upijam łyk słodkiej kawy, próbując coś z tego wszystkiego zrozumieć.

– Ja go kocham, Jen.

– Wiem.

– Chyba jest dla nas szansa. Ale on nie może się tak zamykać.

– Może do niego zadzwonisz?

Dzwonię, ale od razu włącza się poczta głosowa. Przyciskam telefon do piersi.

– Muszę go znaleźć. On twierdzi, że jest dla nas szansa, ale to chyba niemożliwe, skoro ciągle coś przede mną ukrywa?

Jen kładzie mi na głowie dłoń o paznokciach pomalowanych na modny odcień metalicznej szarości.

– Chcesz, żebym znowu zadzwoniła do Bena i spytała, czy dowiedział się coś więcej o tym, gdzie jest Marc?

Kiwam głową.

– Jedno muszę przyznać paparazzim – mówi Jen. – Bywają przydatni. Tam, gdzie w grę wchodzą celebryci, nie ma lepszych psów gończych. – Otwiera swój elegancki telefon i przykłada go do ucha. – Halo? Ben? Potrzebuję przysługi. Marc Blackwell. Wiesz, gdzie teraz jest? Naprawdę? Świetnie.

Jen grzebie w swojej markowej skórzanej torbie i wyciąga maleńki różowy notatnik. Zapisuje adres i podaje mi notatnik.

– Dzięki, Ben, jestem twoją dłużniczką. Ty też. Do zobaczenia. – Zatrzaskuje telefon.

Gapię się na notatnik. Jen zapisała jakiś adres we wschodnim Londynie.

– I co dalej? – mówi Jen, spoglądając na notatkę. – Jedziemy tam?

– Powinnam – mówię. – Ale sama. Nie chcę cię w to wciągać.

– O nie. – Jen kręci głową. – Nigdzie nie pojedziesz sama. Jadę z tobą.

– Nie mogę ci na to pozwolić, Jen. A co z twoją pracą?

– Praca? To nagły wypadek w rodzinie. Zrozumieją.

– Jeśli nie chcę stracić szansy, żeby być z Markiem, powinnam pojechać tam sama. Proszę, Jen. Posłuchaj… włączę nawigację satelitarną w moim telefonie, żebyś mogła mnie namierzyć.

Jen wzdycha.

– W porządku.

– Może Keith jest jeszcze w garażu. Mógłby mnie tam zawieźć.

– To sprawdźmy to.

Rozdział 92

Pod ziemią, w posępnym garażu, odkrywamy, że Keitha już nie ma. Stoimy, przyglądając się lśniącym, kosztownym samochodom Marca; ja obgryzam paznokieć, a Jen otwiera i zamyka telefon.

Potem nagle coś zauważam.

– Jen… Nie ma go.

– Czego nie ma?

– Samochodu ojca Marca. – Gapię się na ciemne miejsce, w którym wcześniej stało żółte auto. – On… chyba musiał je zabrać.

– Więc?

– On nie jeździ tym samochodem.

– A jednak dzisiaj nim pojechał.

– Chyba tak.

– Czy to źle?

– Nie wiem.

Jen patrzy na resztę kolekcji Marca.

– To muszą być naprawdę szybkie samochody.

– Wiem.

– Myślisz o tym samym co ja?

– Możliwe.

– Będzie zły, jeśli sobie jeden pożyczymy?

– Nie sądzę. On nie dba za bardzo o rzeczy materialne. Mimo pozorów. Ale musimy znaleźć kluczyki.

– Chyba wiem, gdzie są – mówi Jen i podchodzi do czerwonej metalowej skrzynki na ścianie. – Mój tata ma taką samą. – Otwiera skrzynkę i zagląda do środka. – Aston martin, kto ma ochotę?

Wyciąga gruby złoty kluczyk z czarnym brelokiem.

Przygryzam paznokieć.

– No dobrze. Szybko, daj mi kluczyki. Zanim zmienię zdanie.

Rozdział 93

Wspinam się na skórzane siedzenie i nagle zaczynam chichotać.

– Co jest? – pyta Jen, opierając się o dach.

Zasłaniam usta ręką, ale nie mogę się powstrzymać.

– Przepraszam – udaje mi się wykrztusić. – Chyba jestem w szoku. Ale… właśnie mi się przypomniało, jak jechałyśmy samochodem twojego taty.

– I zgubiłyśmy się, i myślałyśmy, że musimy do niego zadzwonić i przyznać się, że go wzięłyśmy.

Śmiejemy się i śmiejemy, zgięte wpół, trzymając się za boki. Po twarzach płyną nam łzy.

– Dlaczego taki śmiech ogarnia cię zawsze wtedy, kiedy nie powinnaś się śmiać? – pytam w końcu.

– W porządku, dość tego – mówi Jen, odchrząkując. – No, Eve Knieval, pora na ciebie. Powodzenia. – Zatrzaskuje drzwiczki.

Zapuszczam silnik i samochód skacze w stronę ściany.

– Och! – Wciskam hamulec i zauważam, że samochód jest już na biegu.

Jen się uśmiecha, kręci głową i mówi bezgłośnie:

– Cała ty!

– Poradzę sobie – mówię też bezgłośnie, wrzucam wsteczny i delikatnie dotykam gazu.

– Uważaj na ścianę! – krzyczy Jen, a ja znowu wciskam hamulec.

Rany.

Udaje mi się wykręcić i skierować samochód do bramy garażu, która ku mojej uldze otwiera się automatycznie, kiedy się do niej zbliżam. Jeden problem z głowy. Brama wyjazdowa także otwiera się automatycznie i po chwili jestem już na chodniku.

Wyjeżdżam ostrożnie na jezdnię, a dwóch paparazzich kieruje aparaty na samochód i zaczyna pstrykać.

Jestem skrępowana, ale też wściekła. To nie jest odpowiednia chwila. Skręcam tak, że samochód najeżdża na nich, prawie. To ostrzeżenie. Na dokładkę wciskam klakson. I to działa. Paparazzi cofają się, a ja wyjeżdżam na ulicę i wciskam gaz.

Rozdział 94

Sunąc zakorkowanymi ulicami Londynu, zdaję sobie sprawę, że to z pewnością nie jest pojazd incognito. Boję się trochę jego szybkości, więc jadę pięćdziesiątką, co zdaje się irytować innych kierowców. Wygląda na to, że jeśli jeździsz takim samochodem, wszyscy oczekują dużego tempa.

Zbliżam się do tego domu i jestem coraz bardziej zdenerwowana.

Wjeżdżam w jakąś zaniedbaną dzielnicę, bo mijam coraz więcej ponurych wieżowców i budek z kebabem. Ulice i budynki przywodzą tu na myśl telewizyjny program *Bez wstydu*.

Coraz bardziej się denerwuję. Może to jednak zły pomysł. Może powinnam zawrócić. Ale ciekawość jest silniejsza ode mnie. Co Marc robi w takim miejscu? Czy to ma związek z jakąś kobietą? Muszę to wiedzieć.

Jadę dalej, z żołądkiem coraz mocniej ściśniętym ze zdenerwowania. Ulice są tu szare. Smutne. A ludzie na ulicach wydają się niespokojni i gniewni. Trzymają w rękach puszki z piwem i zaciągają się papierosami, jakby wdychali tlen.

Na spękanym murze widzę czerwone grafitti: „Zawsze jarać”.

Dorastałam w pewnym niedostatku, więc nie boję się ludzi bez pieniędzy. Ale tu nie panuje po prostu bieda – tu rządzą narkotyki, a narkotyki najlepszych z ludzi potrafią zmienić w najgorszych.

W chwili, kiedy dochodzę do wniosku, że zdecydowanie powinnam zawrócić, dostrzegam jasnożółty dach samochodu ojca Marca, który stoi dwoma kołami na chodniku. Jest zaparkowany pod małym szeregowym domkiem, o którego okno oparto poplamiony materac.

Dwaj paparazzi siedzą na kruszącym się murku przed wejściem, więc na pewno trafiłam dobrze. Drżą z zimna, więc pewnie sterczą tu już od jakiegoś czasu.

Zatrzymuję się za żółtym autem i powoli wypuszczam powietrze. Naciskam palcami klamkę i wysiadam.

Rozdział 95

Na mój widok w paparazzich wstępuje nowe życie.

Pstryk, pstryk, pstryk.

– Nie możecie sobie poszukać jakiejś prawdziwej pracy? – mruczę, kiedy ich mijam.

Zmierzam w stronę wejścia do domu. Drzwi frontowe są zrobione z prasowanej tektury, która przepuszcza wodę; te miejscami są wybrzuszone z wilgoci.

Boże, teraz naprawdę się denerwuję. Może jednak to zły pomysł… Ale nie. Nie. Muszę wiedzieć, co się dzieje.

Podnoszę rękę i głośno pukam do drzwi. Paparazzi za moimi plecami dostają szału.

Schylam się i otwieram zardzewiałą klapkę na listy. Ze środka wypływa zapach stęchlizny.

– Marc? – wołam.

Słyszę jakieś szelesty, a potem szybkie kroki kogoś, kto zbiega po drewnianych schodach.

W moim polu widzenia pojawiają się brudne tenisówki. Cofam się – to nie jest Marc. Serce podchodzi mi do gardła.

Drzwi się otwierają, a przede mną staje jakiś siwowłosy mężczyzna. Patrzę na niego, zaskoczona.

Ma ciemne oczy, ale poza tym nie ma w nim żadnego koloru. Jest szary i spłowiały jak stara koszula.

Kości barków sterczą przez luźną koszulkę bez rękawów a spodnie wiszą na nim, jakby były o wiele za duże. Wygląda niechlujnie i brudno; zasłania oczy ręką w zimowym słońcu.

– Kim pani jest, do diabła? – Jego oczy wędrują do reporterów za moimi plecami, a potem wracają do mnie.

– Och. Przepraszam. – Cofam się o krok. – Chyba źle trafiłam. Szukam Marca.

Mężczyzna pociera tłuste czoło.

– A kto, do cholery, go szuka?

U szczytu schodów pojawia się cień.

– Sophia? – Marc zbiega ze schodów w czarnej koszuli i spodniach. Wydaje się bledszy niż zwykle i niezbyt zadowolony z tego, że mnie widzi. Przepycha się obok tego starszego mężczyzny, który znika w głębi domu.

– Jak się tu dostałaś? – pyta Marc, patrząc na mnie z niepokojem.

– Co się dzieje, Marc?

Marc przeczesuje włosy palcami i zatrzymuje wzrok na astonie martinie za moimi plecami.

– Przyjechałaś samochodem?

Przygryzam wargi i patrzę na niego potulnie.

– Tak.

Marc otwiera usta, ale nie wiem, czy jest zły, czy nie. Przez chwilę wpatruje się we mnie nieruchomo, a potem znowu zamyka usta.

– Sophio, to niebezpieczna część miasta. Musisz stąd jechać. – Bierze mnie pod ramię i prowadzi w stronę chodnika. Paparazzi mają dość rozsądku, żeby cofnąć się i nas przepuścić.

– Nie. – Wyrywam mu ramię. – Powiedz mi, co się tu dzieje.

– To moje sprawy. Nie chcę, żebyś miała z tym cokolwiek wspólnego. – Rzuca okiem w stronę domu. – Nigdy, nigdy nie pozwolę ci zobaczyć tego domu od środka. Wtedy… zaczęłabyś inaczej na mnie patrzeć.

– Kocham cię – mówię. – Myślisz, że to się kiedykolwiek zmieni?

– Tak. Gdybyś zobaczyła… słuchaj, w ogóle nie powinno cię tu być. Załatwiam teraz swoje sprawy, więc nigdy nie będziesz musiała się o tym wszystkim dowiedzieć.

– Mylisz się – mówię. – Im więcej o tobie wiem, tym bardziej cię kocham. Kim jest ten mężczyzna?

Marc zamyka oczy i odchyla głowę w tył.

– To nikt ważny. Sophio, to nie jest miejsce dla ciebie. – Spogląda ponad moim ramieniem. – Dobrze ci się prowadziło ten samochód?

– Tak.

– Więc wracaj nim. Natychmiast. Wracaj do domu. Tam się spotkamy.

– Nie, Marc.

– Sophio, nie chcę, żebyś stała się częścią tego burdelu.

– Marc… – kręcę głową. – Cokolwiek się dzieje, chcę być tego częścią. Chcę być częścią twojego życia.

– Nie. – Marc wypowiada to słowo twardo. – Nie tej części mojego życia.

– Każdej części – powtarzam z uporem. – W związku nie chodzi o to, żeby usuwać niewygodne części. Jeśli nie powiesz mi, co się tu dzieje, sama się tego dowiem.

Wymijam go i wchodzę do domu.

– Sophio! – słyszę za sobą, ale jestem już w holu i omal się nie przewracam na gołych, nierównych deskach.

Wbiegam na górę po dwa stopnie naraz – na piętrze jest troje otwartych drzwi i jedne zamknięte. W jednym z pomieszczeń jest brudna toaleta, w dwóch innych podwójne, zapadnięte łóżka.

Odwracam się do czwartego pokoju – tego za zamkniętymi drzwiami – i naciskam klamkę.

Rozdział 96

Nie wiem, czego się spodziewałam, ale… jestem taka zdezorientowana.

Jest tu ten mężczyzna, który otworzył mi wcześniej drzwi; siedzi na poplamionym materacu z nogami wyciągniętymi przed siebie. Ale nikogo innego tu nie ma. Na parapecie stoi rząd pustych butelek po wódce i jedna, do połowy pełna, przy łóżku.

To brudny, ubogi pokój. Nie wiem, co Marc może mieć wspólnego z takim miejscem.

Mężczyzna podnosi głowę, kiedy otwieram drzwi.

– Sophia. – Marc pojawia się za mną i kładzie mi ręce na ramionach.

Mężczyzna unosi się lekko na materacu.

– Co to za jedna?

– Nie twój interes – warczy Marc, zasłaniając mnie swoim ciałem.

– Jak ty się odzywasz do swojego starego?

Otwieram usta ze zdumienia.

– To twój… Marc, to jest… twój ojciec?

Milczenie Marca mówi mi wszystko, co chcę wiedzieć.

– Mówiłeś, że twój ojciec nie żyje.

– Wiem.

– O co tu chodzi, Marc?

– Mój ojciec żyje. Kłamałem. Żyje i pije na umór. Nie widziałem go od lat. Ale dzisiaj musiałem tu wrócić.

– Po co?

– Żeby oddać samochód. I się pożegnać.

– Nie rozumiem.

– Muszę zawrzeć pokój. Spróbować wybaczyć. To teraz już tylko smutny stary człowiek, a ja muszę zostawić swój gniew za sobą. Bo inaczej nigdy nie pójdę ze swoim życiem dalej.

– Ale dlaczego nie powiedziałeś mi, że twój ojciec żyje?

– Nie chciałem, żebyś go kiedykolwiek poznała. Nie chciałem, żebyś się dowiedziała skąd… od kogo pochodzę.

Chwytam Marca za rękę i czuję, jak on zaciska palce na mojej.

– To jest twój dom rodzinny? – pytam, patrząc na gołe deski na podłodze i tapetę odchodzącą od ścian.

– Już nie. Tak było tylko do czasu, kiedy zmarła mama. Teraz już nic tu nie zostało. Tylko on. Kiedy przestałem płacić jego rachunki w Stanach, wrócił tutaj. I… cóż, sama widzisz, jakie życie prowadzi. Jest zupełnie sam.

– Wstydzisz się swojego rodzinnego domu?

– Nie – mówi Marc, spoglądając na ojca. – Nie wstydzę się tego, skąd pochodzę.

Wstydzę się tego, od kogo pochodzę.

– Nie powinieneś się wstydzić – odzywa się jego ojciec. – To dzięki mnie jesteś tym, kim jesteś.

Patrzę na zgorzkniałego, złamanego człowieka, który jest ojcem Marca i popija wódkę na brudnym materacu. Odbieram ohydne uczucia, którymi emanuje. Nienawiść do syna i zazdrość. Mają identyczne nosy, ci dwaj mężczyźni, ale poza tym nie ma między nimi żadnego podobieństwa.

– I nie potrzebuję twojego przebaczenia – dodaje jego ojciec.

– Cóż, udzielam ci go i tak. Chodź. – Marc bierze mnie za rękę. – Zrobiłem już to, po co tu przyjechałem. Na dobre i na złe. – Prowadzi mnie do holu.

– Myślałeś, że będę patrzyła na ciebie inaczej, kiedy poznam twojego ojca? – pytam. – Że będę cię mniej kochała?

– Myślałem… że może… – Jego oczy wpatrują się w moją twarz; są w tej chwili rozpaczliwie bezbronne. I tak zdumiewająco przejrzyste.

– Cóż, myliłeś się. Im więcej o tobie wiem, tym bardziej cię kocham.

– Powinniśmy już iść.

Czuję na sobie wzrok Marca przez całą drogę w dół schodów. Kiedy zbliżamy się do frontowych drzwi i chcę je otworzyć, Marc wyciąga rękę, żeby mnie powstrzymać.

– Zaczekaj. Ja wyjdę pierwszy. Chcę trzymać wilki na dystans.

Odsuwam się i Marc wychodzi na zewnątrz, patrząc groźnie na reporterów. Cofają się, czego można się było spodziewać.

Idę za nim, a Marc po chwili bierze mnie za rękę i prowadzi do samochodu.

– Ja poprowadzę – mówi.

– Zostawiasz samochód ojca tutaj? – pytam.

– Tak. Zostanie z nim. Niech zrobi z nim, co chce. Przepije. Nie dbam o to. Zamykam za sobą ten rozdział mojego życia.

Ściskam jego dłoń.

– Marc. Jestem z ciebie taka dumna.

– To wszystko dzięki tobie – mówi Marc. – Uczennica wiele nauczyła nauczyciela. – Unosi jedną brew i uśmiecha się do mnie lekko.

– Chyba tak.

Rozdział 97

W drodze do domu siedzimy w milczeniu. Czuję, że Marc potrzebuje czasu, żeby pomyśleć, tak jak i ja.

W domu spoglądam na Marca w mrocznym garażu i wydaje mi się, że jego twarz… jakby zmiękła. Wydaje się trochę zmęczony, ale w jego oczach jest radość. I spokój, którego nigdy wcześniej nie widziałam.

Wyskakuje z samochodu i otwiera przede mną drzwiczki, a potem bierze mnie w ramiona, wtula twarz w moje włosy i przyciska mnie do piersi.

Nachylam się i opieram o jego ciało.

– Boże, tak mi ciebie brakowało. Chryste. To, że ciągle mnie akceptujesz.., kochasz… po tym, jak go poznałaś… to po prostu niewyobrażalne.

Marc bierze mnie na ręce i wnosi na stopnie. W domu wchodzi ze mną po szerokich schodach na drugie piętro. Patrzy mi w oczy przez cały ten czas, także wtedy, kiedy wchodzimy już do sypialni.

Powoli, ostrożnie kładzie mnie na łóżku i rozbiera. Jego ruchy są czułe i pełne miłości, ale też niecierpliwe. Całuje moją szyję i piersi w zapamiętaniu, jakiego nigdy wcześniej nie czułam. Nie próbuje nad sobą panować. Nie próbuje się powstrzymywać ani przejąć nade mną kontroli.

Przewraca mnie na brzuch i przesuwa usta od nasady szyi, wzdłuż kręgosłupa, aż do pośladków z taką namiętnością, jakby chciał mnie zjeść.

Tak przyzwyczaiłam się już do jego potrzeby kontroli, że w pewnym sensie spodziewam się jakiegoś klapsa i czuję mrowienie na skórze.

– Nie dam ci klapsa – mówi Marc, przesuwając dłońmi po moich pośladkach. – Dzisiaj nie chcę dominować. Dzisiaj chcę odpuścić.

– Bardzo mnie to cieszy – mruczę.

Marc obraca mnie znowu i wchodzi we mnie. Jego twarz jest kilka centymetrów od mojej, kiedy porusza się tam i z powrotem. Wargi ma lekko rozchylone, a w jego oczach jest łagodność, która mówi mi, że Marc powoli mi się oddaje.

– Czekaj – mówi nagle.

– Nie, Marc…

– To nie to, co myślisz.

Marc nie wychodzi z pokoju ani nie wyjmuje z szafki czy szuflady żadnego gadżetu. Zamiast tego sięga po poduszkę i wsuwa mi ją pod pośladki.

– Myślę, że tak będzie ci przyjemniej.

Ma rację. Teraz, kiedy biodra mam uniesione do góry, Marc pociera wszystkie właściwe miejsca, wewnątrz i na zewnątrz mnie, a ja czuję, jak narasta we mnie podniecenie.

Patrzymy na siebie, podczas gdy Marc wchodzi we mnie i wychodzi, i wydaje mi się, że jeszcze nigdy tak bardzo go nie kochałam,

W końcu ulegam rozkoszy i jęczę, wijąc się pod nim i unosząc biodra.

Marc także kończy, z cichym pomrukiem i opiera swój policzek o mój.

– Kocham cię, Sophio – szepcze.

– Ja też cię kocham.

Rozdział 98

Wygląda pani na pogrążoną we własnym świecie – mówi Keith, kiedy suniemy ulicami Londynu.

– Och. Tak. Przepraszam, Keith.

– Denerwuje się pani? – Keith spogląda na mnie a potem znowu na drogę. – Przed próbą kostiumową?

– Troszeczkę. Ale… Marc tyle mnie nauczył. Dawał mi lekcje przez cały tydzień. Żebym nabrała pewności siebie.

– Jak wtedy, kiedy pojechaliście na farmę?

Kiwam głową.

– Jazda na tym koniu była przerażająca. Ale… Marc miał rację. To wydobyło ze mnie wszystko co najlepsze. I od tego czasu ciągle się rozwijam. Ale brakuje mi college'u. Miło było próbować w Queen's Theatre. Czułam się tam bezpiecznie.

– Proszę się nie martwić o bezpieczeństwo – mówi Keith. – Marc naszpikował cały teatr ochroniarzami. Jak udała się przejażdżka do wschodniego Londynu?

– Słyszałeś o tym?

Keith kiwa głową.

– Rodney o tym wspominał.

– Była… kształcąca – mówię. – Dzięki niej zbliżyliśmy się z Markiem. Bardzo.

– Cieszy mnie to. Jakieś plany na Boże Narodzenie?

Uśmiecham się.

– Nie wiem jeszcze, naprawdę. Nie rozmawiałam dotąd o tym z Markiem. Ten czas tak szybko minął. To już w przyszłym tygodniu, prawda?

– Jak co roku. Ani się człowiek obejrzy i już święta. A ja nie mam jeszcze prezentów.

– Ja też.

– Wie pani, gdzie spędzi święta?

Kręcę głową.

– Zwykle spędzaliśmy święta u taty. Ale w tym roku… nie wiem. Nie wiem, co planuje Marc. Wiem tylko, że w Wigilię i drugi dzień świąt mam przedstawienia w teatrze, więc nie mogę się za daleko ruszać z Londynu.

Widzę przed nami budynek teatru, otoczony przez czarny rój paparazzich.

– Otrzymałem polecenie, żeby wracać – mówi Keith, zawracając samochód i wjeżdżając w wąską boczną uliczkę. – A więc… Denerwuje się pani przed premierą? To już blisko, prawda? Tuż przed świętami.

– Powinnam być przerażona – mówię. – Ale na razie skupiam się na próbie generalnej. To już wystarczający powód do zdenerwowania.

Keith zatrzymuje samochód przed drzwiami od kulis, gdzie z ulgą dostrzegam

wysokiego ochroniarza z gęstą brązową brodą. Ma na sobie granatowo-żółtą baseballówkę, po której poznaję, że jest z firmy Marca, i wygląda na bardzo silnego.

– Cóż, proszę nie złamać nogi – mówi Keith, kiedy wysiadam z samochodu.

– Spróbuję.

Kiedy Keith odjeżdża, pukam do czerwonych drzwi i czekam. Ochroniarz robi wrażenie posągu, więc uprzejmie ignorujemy się nawzajem, podczas gdy ja czekam, aż ktoś otworzy drzwi.

Ale nikt nie odpowiada.

Pukam głośniej, przygryzając paznokieć.

No, dalej, otwierajcie.

Nie podoba mi się, że sterczę tu sama, podczas gdy wokół krążą paparazzi. Coś w tym milczącym, nieruchomym strażniku zaczyna budzić mój niepokój.

Podnoszę rękę, żeby zapukać po raz trzeci, ale zanim zdążę podnieść wzrok na drzwi, ochroniarz błyskawicznie chwyta mnie za nadgarstek i zaciska na nim palce.

– Miło cię widzieć, Sophio.

Poznaję ten głos.

Należy do Gilesa Getty’ego.

Rozdział 99

Odwracam się do strażnika z gardłem ściśniętym ze strachu. Gęsta broda zakrywa niemal połowę jego twarzy, czapeczka baseballowa kryje w cieniu oczy. Ta broda – jest sztuczna. Oczywiście. Nikt nie ma tak wielkiej brody.

– Getty – jąkam się, próbując wyrwać mu nadgarstek z dłoni.

– Nie spieszyłaś się. – Getty podchodzi bliżej. – Już zaczynałem się o ciebie martwić. Myślałem, że może nie dojedziesz.

– Ale jak… Co tu robisz?

– Cóż, czekam na ciebie, oczywiście. – Jak mogłam nie poznać od razu, że to Getty? Jego żuchwa drga niespokojnie, jak zawsze, a on sam z trudem jest w stanie ustać w miejscu.

Jesteśmy w ślepej uliczce, a on zagradza mi drogę ucieczki. Odwracam się do drzwi, ale są zamknięte na klucz.

Getty podchodzi jeszcze krok bliżej. Wyciąga rękę i głaszcze mnie po włosach.

Odtrącam jego dłoń.

– Nie dotykaj mnie.

Gwarna ulica jest daleko, a w londyńskim ruchu mój głos wydaje się cichy i słaby.

Oczy Getty'ego błyszczą z podniecenia.

– Podoba mi się, jak to mówisz.

Sięga do mnie ręką, a ja się cofam, ale potykam się przy tym i on znowu łapie mnie za nadgarstek.

– Dokąd to, Sophio?

– Zejdź mi z drogi.

– Jesteś mi winna historię – mówi Getty i zaciska palce na mojej ręce. To boli i w oczach stają mi łzy.

– Puść – mówię bez tchu. – Ja nie żartuję. – Próbuję wykręcić rękę, ale on ściska mnie jeszcze mocniej.

– Myślałem, że lubisz, żeby cię krótko trzymać – szepcze Getty. – Skoro jesteś dziewczyną Marca, uznałem to za oczywiste. A może jego upodobania się zmieniły od czasu, kiedy go znałem?

– Ty go w ogóle nie znasz. – Skóra na ręce piecze mnie od tego wykręcania. – Puszczaj…

A potem wszystko dzieje się tak szybko, że nie wiem nawet kiedy i jak. Pięść Getty'ego wystrzela nagle w stronę mojej twarzy, czuję, jak głowa odlatuje mi na bok i wszystko spowija mrok.

Rozdział 100

Kiedy odzyskuję przytomność, jest zupełnie ciemno. Bolą mnie łokcie i kolana. Zdaję sobie sprawę, że jestem zwinięta w kłębek i czuję palący ból w nadgarstkach.

Słyszę szum silnika, a moje ciało podryguje w rytm szybkich wibracji.

O Boże.

Mam związane nadgarstki. Mam związane nadgarstki.

Przypominam sobie cios Getty'ego i zaczynam się miotać, ale moje nogi uderzają w jakiś metal. Widzę długą wąską linię białego światła i z przerażeniem dociera do mnie, gdzie jestem.

W bagażniku jadącego samochodu.

Żołądek kurczy mi się ze strachu.

– Pomocy! – krzyczę, wstrząśnięta tym, jak słabo i cicho brzmi mój głos. – Niech mi ktoś pomoże. – Boli mnie lewa strona twarzy i zęby trzonowe. Mam wrażenie, że jednego z nich nie mam.

Samochód zatrzymuje się nagle; wstrzymuję oddech, serce podchodzi mi do gardła. Słyszę trzask drzwiczek i całe moje ciało sztywnieje. On idzie.

Z bagażnika widzę, jak na linię światła pada cień, potem klapa się otwiera.

Mrużę oczy, patrząc na Getty'ego, który stoi nade mną – pozbył się już brody i czapki baseballowej.

– No, no, Sophio. Mam nadzieję, że dobrze się bawisz. Marc tylko udaje, ale prawdziwe doświadczenia są o niebo lepsze, nie uważasz?

– Puść mnie, proszę. Możesz przestać teraz. Zanim to zajdzie za daleko.

– Za daleko? – Getty wyciąga mnie z bagażnika za ramiona, staję chwiejnie na asfalcie. – Och, przed nami jeszcze długa droga. Jak mówiłem. Jesteś mi coś winna.

– Gdzie jesteśmy? – Widzę, że na podjeździe przed dwupiętrowym domem z czerwonej cegły. Okna są ciemne, więc domyślam się, że nikogo tu nie ma. Nie widzę londyńskich drapaczy chmur, tylko czarne niebo.

– Jestem zaskoczony, że Marc nie zabrał cię dotąd w żadne miejsce tego rodzaju – mówi Getty, ciągnąc mnie za nadgarstki. – Myślę, że świetnie się tu zabawimy.

Potykam się przez całą drogę do budynku, ale Getty trzyma mnie mocno.

Wsuwa klucz we frontowe drzwi i wciąga mnie do holu.

– Czy to twój dom? – pytam, z trudem utrzymując równowagę.

Getty parska śmiechem.

– Myślisz, że urządziłbym coś takiego we własnym domu? Wtedy wszyscy wiedzieliby, że zdjęcia są ustawiane. – Przybliża swoją twarz do mojej. – Oczywiście, zdjęcia mogą się stać prawdziwe. Jeśli zaczniesz się dobrze bawić.

– Proszę – mówię. Palą mnie nadgarstki. Jakaś okrutna część mojego umysłu

przypomina mi o tym, kiedy ostatnio tak paliły mnie nadgarstki – z Markiem – i zaczynam się modlić, żeby mnie odnalazł. Ale jak mógłby to zrobić? Nikt nie wie nawet, że zaginęłam. – Puść mnie. Nie wiem, co twoim zdaniem dzieje się między Markiem i mną, ale chyba się mylisz.

Getty znowu się śmieje – piskliwym śmiechem szaleńca.

– Jak już ci mówiłem, znam Marca od dawna. Dokładnie wiem, co lubi. Ludzie tacy jak on się nie zmieniają.

Prowadzi mnie w stronę wąskich schodów prowadzących w dół. Czuję zapach stęchlizny, więc musi to być jakiś rodzaj podziemia.

– Nie! – krzyczę. – Proszę. Przestań. Puść mnie.

– Sophia – mówi Getty, głaszcząc mnie po policzku, z makabrycznym spokojem. – Chcę tylko zdjęć. To wszystko. A kto wie? Może nawet spodoba ci się to doświadczenie.

– Jakie doświadczenie? Co ty chcesz zrobić?

Getty chwyta mnie mocniej za nadgarstki i syczy:

– Doskonale wiesz co. Nie pogrywaj sobie ze mną.

Ciągnie mnie na dół, a ja chwieję się i potykam, rozpaczliwie starając się utrzymać równowagę. Kiedy już jesteśmy na dole, krew w moich żyłach ścina się w lód.

Zaczynam krzyczeć i wyrywam się z powrotem w kierunku schodów, ale Getty trzyma mnie mocno.

Oczy zachodzą mi mgłą w miarę, jak dociera do mnie to, co widzę dookoła. Czuję, że zaraz zemdleję. Naprawdę zemdleję.

Jestem w podziemiu pełnym narzędzi tortur.

Rozdział 101

W tej sali Getty wydaje się bardziej maniakalny niż kiedykolwiek. Nie, to nie jest właściwe słowo. obłąkany. Wydaje się obłąkany. Bezwiednie porusza żuchwą, żuje, żuje, jakby miał w ustach sto gum do żucia naraz, a w jego oczach czai się szaleństwo.

Ze ścian sterczą okowy, jak w jakimś średniowiecznym więzieniu, a w kącie tkwi drewniany stojak.

Na środku sali stoi ława obita czarną skórą, która przypominałaby trochę leżankę u kosmetyczki, gdyby nie zwisające z niej łańcuchy.

Na hakach wbitych w ściany wiszą przeróżne narzędzia.

Przesuwam po nich wzrokiem: skręcony czarny pejcz, pałasz, łom i wielki nóż.

– Wypuść mnie – krzyczę.

Getty mruży oczy.

– Zapozuj do zdjęć, to cię puszczę.

Dostrzegam białe światło u szczytu schodów i przesuwam się w jego stronę.

– Chcesz… chcesz tylko, żebym ci pozowała? To wszystko? I potem mnie puścisz?

– Nie inaczej.

– Och… dobrze.

– Grzeczna dziewczynka. Mam tu dla ciebie strój. – Podchodzi do czarnej metalowej szafki, takiej jak w szkolnych szatniach, i otwiera ją. W środku wiszą różne ubrania – Getty wyciąga gumowy gorset z przerażająco wąską talią.

– Boli, kiedy się go wkłada – mówi z płonącymi oczami. – Ale pewnie jesteś już do tego przyzwyczajona.

– Marc i ja… to nie tak – mówię. – On nie lubi zadawać bólu kobietom, które tego nie chcą.

– Tak właśnie mawiał. – Getty przesuwa po gorsecie kostkami dłoni. – Ale zadaj sobie pytanie, jaki normalny mężczyzna lubi patrzeć na kobietę, która jest związana? Bita? Zakneblowana? Coś w nim chce, żebyś cierpiała. Po prostu to wypierasz.

– Nie. On mnie kocha. – Zagryzam wargę tak mocno, że zaczyna krwawić; Getty natychmiast przyciska do rany kciuk, tamując krew.

– Szybko zaczynasz krwawić – dyszy.

Odwracam głowę, ale on przyciąga mnie z powrotem za podbródek.

– Myślę, że bardzo dobrze wyjdziesz na tych zdjęciach. Dość dobrze, żeby trafić do mojej prywatnej kolekcji.

Trzęsę się teraz i ciągnę srebrną taśmę klejącą, którą mam skrępowane nadgarstki.

– Lubię krew.

– Nie rób mi krzywdy.

– Sophio, cała rzecz w tym, żeby zrobić ci krzywdę.

O mój Boże.

Getty bierze ze ściany nóż, a ja próbuję uciec na schody, ale potykam się i przewracam, uderzając policzkiem o betonową posadzkę.

– Miło, że przyjęłaś już właściwą pozycję – mówi Getty, stając nade mną.

– Nie. Proszę. – Próbuję się pozbierać i uciec, ale on chwyta mnie za bluzę i wpycha pod nią nóż.

O Boże. On chce mnie zranić.

– Nie!

Getty przecina ostrzem materiał bluzy; krzyczę, bo przesuwa je w stronę mojej szyi. Ale nóż nie dotyka skóry, tnie tylko ubranie. Getty rozbiera mnie nożem.

Następne są moje dżinsy i podkoszulek, aż w końcu leżę na ziemi, drżąc, w samej bieliźnie. Getty klęka nade mną, dysząc ciężko.

– Dobrze to wygląda – mówi.

Próbuję się od niego odsunąć, ale kładzie gorącą rękę na moich żebrach. Wzdrygam się z obrzydzenia.

Getty podnosi nóż i wsuwa ostrze pod ramiączko stanika.

Przełykam ślinę i zaciskam powieki.

Rozdział 102

Kiedy otwieram oczy, Getty przecina materiał.

– Podobasz mi się taka wystraszona – mówi. – Teraz twoje oczy są jeszcze piękniejsze.

Podnoszę głowę do góry i leżę zupełnie nieruchomo, podczas gdy on tnie mój stanik. Wiem, że go to podnieca i mdli mnie na samą myśl o tym, ale mógłby zrobić coś znacznie gorszego niż pociąć moją bieliznę i oboje o tym wiemy.

Kiedy materiał opada, podnoszę ręce do góry, żeby się zasłonić, ale Getty brutalnie ciągnie je w dół i zakłada mi przez głowę gumowy gorset, a potem mocno ściąga sznurki. Krzywię się, kiedy guma obejmuje mnie coraz ciaśniej, ale staram się nie wydać żadnego dźwięku. Wiem, że jeśli okażę ból, Getty będzie zadowolony.

Getty podnosi mnie i kładzie na czarnej ławie, a ja staram się zachować spokój. Godność.

– Z przyjemnością zetrę ten wyraz z twojej twarzy – mówi Getty, opuszczając mnie na chłodną, czarną skórę.

– Zrób te zdjęcia i puść mnie – mówię.

– No, no – mruczy Gety. – Czy tak się odzywasz do Marca? Młode damy, które mówią do mnie w ten sposób, są karane.

Wstrzymuję oddech, kiedy podchodzi do ściany pełnej narzędzi.

– No – mówi Getty, muskając palcami pejcz. – Od czego by tu zacząć?

– Proszę, nie rób tego – mówię. – Jestem ubrana tak, jak chciałeś. Nie potrzebujesz już nic więcej.

– Nie zachowujesz się tak, jak chcę – odpowiada, zdejmując z haka długi pejcz z kolcami. Naciska jeden z kolców palcem.

– Cecile zachowywała się, jak chciałeś? – pytam, bo chcę, żeby mówił.

Getty zaciska zęby.

– Zarozumiała suka. Leżała na plecach, jeszcze zanim zdążyłem ją zaprosić na kolację. Robiła wszystko, co chciałem. Zero satysfakcji. Zresztą przez nią chciałem tylko dobrać się do ciebie. Ale nawet tego nie umiała załatwić jak należy.

– A co z dzieckiem? – pytam.

Getty marszczy brwi.

– Och, powiedziała ci o tym, co? No, to niezła rodzina, można by się wżenić. A ona zdaje się bardzo by tego chciała. Może nawet udałoby mi się zrobić z niej przyzwoitą kobietę, kto wie? No, ale znowu nie przydała mi się za bardzo, kiedy chciałem zrobić ci te zdjęcia, więc… Zobaczymy.

– Nie musisz tego robić – mówię przez ściśnięte gardło.

– Podoba mi się ten błagalny ton.

Zaciskam usta, bo zdaję sobie sprawę, że rozmowa nie działa.

Getty rozwija pejcz.

– To jeden z moich ulubionych – mówi. – Spłyniesz krwią. Lubię brać kobiety, kiedy krwawią i błagają, żebym przestał.

– Brać? – powtarzam drżącym głosem.

Getty uśmiecha się upiornie, pokazując dolne zęby.

– Nie sądziłaś chyba, że tylko zrobię ci zdjęcia w tym kostiumie? Cóż by to była za strata.

– Ale powiedziałeś…

– Jesteś zbyt ufna, Sophio. A teraz chcę, żebyś krzyczała. – Podnosi pejcz.

Mimo że każda komórka mojego ciała chce krzyczeć jak oszalała, zaciskam zęby i panuję nad sobą. Nie, nie dam mu tej satysfakcji. Nie zrobię tego.

– Jeśli nie zaczniesz krzyczeć, pomogę ci.

– Nie będę. Bez względu na to, co mi zrobisz.

Getty przysuwa się tak, że jego twarz jest zaledwie kilka centymetrów od mojej.

– Ty uparta dziwko. – Czuję ekscytację, która zdaje się go rozsadzać. Jego brwi drgają, a palce zaciskają się rytmicznie na pejczu. On tego potrzebuje. To pozwala mu się rozładować.

Patrzę mu w oczy, starając się nie odwracać wzroku i nie okazać cienia słabości. Poznałam już jego tajemnicę. Tu nie chodzi o nic, co on może mi zrobić. Najważniejsza jest moja reakcja. Mój strach, mój ból. Bez nich Getty nie dostanie nic.

– Puść mnie – mówię spokojnie.

Patrzy na mnie z wściekłością.

– Zostaniesz tu, dopóki z tobą nie skończę.

– Nie będę krzyczała – mówię. – Nie okażę strachu. Nie będziesz miał ze mnie żadnej przyjemności. Zrób tyle zdjęć, ile chcesz, ale nie będę się bała.

Getty ciska pejcz na posadzkę i gwałtownie podrywa ławę do góry z jednej strony. Spadam na ziemię, uderzając w beton ramieniem.

Au.

Leżę sztywno, bez ruchu. Getty staje nade mną z zaciśniętymi pięściami. Wiem, co się teraz stanie. Skoro nie jest w stanie zmusić mnie do krzyku i w ten sposób zaspokoić swoich potrzeb, da upust frustracji za pomocą pięści.

Zamykam oczy, przygotowując się na ciosy.

Rozdział 103

Słyszę trzask, ale… nie czuję bólu. Odwracam głowę i słyszę kolejny trzask – tym razem kilka metrów dalej.

Mrugam, zaskoczona.

Getty odleciał do tyłu, uderzając plecami w ścianę pełną narzędzi tortur; długi łańcuch rozwinął się i spada z haka na podłogę – brzdęk, brzdęk, brzdęk.

Odwracam się z trudem i widzę Marca, który zbliża się do Getty'ego wielkimi krokami, zaciskając pięści.

Marc.

O mój Boże, mój Boże.

Całe moje ciało zalewa ciepła fala ulgi.

Pięść Marca znowu ląduje na szczęce Getty'ego, który osuwa się na podłogę.

Marc staje nad nim z zaciśniętymi pięściami. Odwraca się do mnie.

– Sophio… co ten drań ci zrobił?

– Marc – skrzeczę, czując, że po twarzy płyną mi łzy.

Marc podchodzi do mnie, przyklęka i bierze mnie w ramiona.

– Był… przed teatrem – szlocham. – Ogłuszył mnie, a potem… ocknęłam się tutaj.

– Czy on…?

Kręcę głową.

– Nie.

– Gdyby to zrobił… – Czuję, jak dłonie Marca na moich plecach znowu zaciskają się w pięści.

– Ale nie zrobił tego.

Marc wypuszcza powietrze.

– Pomożesz mi to zdjąć? – pytam, patrząc w dół na gorset.

Marc podnosi nóż i rozcina sznurowadła. Moje ciało wydostaje się na wolność. Marc zdejmuje swój czarny kaszmirowy sweter i zakłada mi go przez głowę. Wsuwam ręce w długie rękawy, wdychając zapach Marca, którym przesiąknięta jest wełna.

Marc bierze mnie na ręce i wnosi na schody.

– Ktoś w teatrze miał dać mi znać, kiedy dotrzesz na miejsce. Ale nie zrobił tego. Więc dodałem dwa do dwóch. Wiem, do czego jest zdolny Getty.

Marc otwiera drzwi kopniakiem. Na zewnątrz stoi aston martin.

– Ale… ten dom. Skąd wiedziałeś, że jestem w tym domu?

Marc niesie mnie przez podjazd.

– Nie wiedziałem. Najpierw pojechałem w trzy inne miejsca. To był szczęśliwy traf. Pamiętam to miejsce z czasów, kiedy się znaliśmy. – Otwiera drzwiczki od strony pasażera i opuszcza mnie na ciepłe skórzane siedzenie. Potem zatrzaskuje drzwiczki i

biegnie truchtem do tych od strony kierowcy.

Kiedy siedzi już obok mnie, pytam:

– Czy ty… byłeś tu już kiedyś? W tym podziemiu?

– Nie. – Marc zaciska zęby i zapuszcza silnik. – Nigdy. Ale byłem w tym domu. Dawno temu. Przyślę tu kogoś, żeby zajął się Gettym. Starego kumpla z czasów Baza Smitha.

– Żeby się nim… zajął?

Marc wrzuca bieg i wyjeżdża na pustą drogę. Nie patrzy na mnie.

– Marc? Co to znaczy „zajął się nim”?

– Użyj wyobraźni.

– Chyba nie masz zamiaru… czy ktoś ma mu zrobić krzywdę? Zabić go?

Marc kręci kierownicą, nie odrywając wzroku od drogi.

– Marc, proszę, nie.

Marc zatrzymuje samochód na skrzyżowaniu; jedną rękę trzyma na kierownicy, drugą na ręcznym hamulcu.

– Dlaczego, do diabła, nie?

– Nie chcę, żeby coś mu się stało. Ani żeby zginął. Chcę tylko, żeby nie mógł już więcej nikogo skrzywdzić.

– Jesteś naprawdę niezwykła. Wiesz o tym? Po tym, co przeszłaś… Nie wiem, Sophio. Nie wiem, czy mogę pozwolić, żeby mu to uszło na sucho.

– Marc, proszę. – Nakrywam dłonią jego rękę na hamulcu. – Po prostu… pojedźmy na policję.

– Czy naprawdę właśnie tego chcesz?

– Tak, naprawdę tego chcę.

Marc wzdycha.

– W porządku. Znam kilka osób w policji. Postaram się, żeby ktoś przyjechał do mnie do domu. Nie chcę, żebyś musiała iść na komisariat. Nie po tym, co właśnie przeszłaś. Na pewno chcesz to zrobić?

– Na pewno.

Rozdział 104

Dwie godziny później siedzę w salonie Marca z gorącą czekoladą, kiedy słyszę jakiś trzask a potem głos przez domofon. Marc zrywa się i idzie do holu.

– Kto to? – wołam.

– Policja – mówi Marc.

Słyszę, jak otwierają się drzwi frontowe, a potem głosy. Marc wraca z dwiema policjantkami i wprowadza je do salonu.

– Sophio, to oficer Bridges i oficer Dale. Przyszły spisać twoje zeznania.

Jedna z kobiet jest wysoka i jasnowłosa – mocno zbudowana, jak pływaczka olimpijska. Druga jest drobniejsza, ma mysie włosy i okulary.

– Miło cię poznać, Sophio – mówi blondynka i wyciąga do mnie rękę. – Oficer Bridges. Zwykle nie spisujemy zeznań w domach, ale… w tym wypadku możemy zrobić wyjątek.

Zerkam na Marca i domyślam się, że musiał pociągnąć kilka sznurków.

– Chciałbym zostać z Sophią, kiedy będzie zeznawała – mówi Marc.

– Nie. – Odwracam się do niego. – Marc, proszę. Wolę to zrobić sama. Nie chcę, żebyś słuchał o szczegółach.

Marc unosi jedną brew.

– Sophio…

– Proszę.

– W porządku. Poproszę Rodneya, żeby zaparzył kawę.

Znika w holu, a ja odwracam się do policjantek.

– Miejmy to już za sobą.

Rozdział 105

Złożenie zeznań zabiera prawie dwie godziny. Policjantki zadają tyle szczegółowych pytań, że nie jestem w stanie na wszystkie odpowiedzieć, ale naprawdę się staram. Jestem zaskoczona, że mój głos brzmi tak spokojnie, bo w moim wnętrzu szaleje burza z piorunami. Strach, panika. W tej chwili wydaje mi się, że nie będę odstępowała Marca ani na krok.

Przed wyjściem policjantki pobierają próbkę DNA z wnętrza ust i robią zdjęcia posiniaczonego policzka i nadgarstka. Mówią, żebym zadzwoniła, jeśli jeszcze cokolwiek mi się przypomni.

Wypuszczam powietrze z płuc i opadam na oparcie sofy, próbując usunąć z umysłu wizje tego, o czym przed chwilą opowiadałam.

Czuję obecność Marca, jeszcze zanim go widzę.

– Jestem z ciebie dumny, Sophio.

Jest tuż za mną; czuję, jak obejmuje mnie ramionami.

– Już po wszystkim. – Czuję łzy pod powiekami. – To już koniec.

Marc obejmuje mnie mocniej.

– Nie mogę sobie wybaczyć, że cię nie chroniłem.

– Chroniłeś – mówię. – Uratowałeś mnie.

– Powinienem być sprytniejszy od Getty'ego. Po prostu nie jestem w stanie myśleć o tym, co mogło ci się stać.

– Ale się nie stało. – Odwracam się do niego i zarzucam mu ręce na szyję. Jego oczy są chmurne. Smutne.

– Podwajam ochronę – mówi Marc. – I będę na każdej twojej próbie kostiumowej i każdym przedstawieniu w teatrze. Przez cały czas. Nie spuszczę cię z oka.

– Marc, nie sądzę, żebym… Ta sztuka. Chyba nie dam rady wystąpić. Nie po tym, co się wydarzyło. Za bardzo się boję. Miałeś rację. Nie powinnam była przyjąć tej roli. Nie byłam gotowa na to wszystko…

Wbijam wzrok w dywan. Marc wsuwa palec pod mój podbródek i delikatnie unosi moją twarz. Patrzę w pochmurny błękit jego oczu.

– Powinnaś zagrać tę rolę. – Jego wzrok jest łagodny, widzę w nim miłość.

– Sama nie wiem.

– Urodziłaś się, żeby zagrać tę rolę. Jest dla ciebie idealna. Myliłem się, próbując cię od tego odwieść. Od początku powinienem był ci pomagać, ale.. bałem się.

– Ty? Ty się bałeś?

Marc się uśmiecha.

– Byłem przerażony. Że cię stracę. Że stracę nad tobą kontrolę.

– I zobacz, co się stało.

Oboje się uśmiechamy.

– Nie pozwól, żeby Getty ci to odebrał. Pracowałaś tak ciężko, tak ciężko walczyłaś. Twoja publiczność czeka. Pomogę ci. Mamy jeszcze cały tydzień. Będę z tobą pracował. Pomogę ci odzyskać pewność siebie. – Przyciąga mnie do siebie. – I będę cię chronił, Sophio. Zawsze.

Rozdział 106

Kolejny tydzień jest jednocześnie najdłuższym i najkrótszym tygodniem mojego życia.

Jest długi, bo Marc wykonuje ze mną całe mnóstwo różnych ćwiczeń i organizuje sesje ze specjalistami od hipnozy i psychoterapii.

Jest krótki, bo ani się obejrzę, nadchodzi wieczór premiery.

Sesje hipnozy bardzo mi się przydają. Hipnotyzerka pomaga mi rozpracować logikę tego, co mi się przydarzyło – i jak małe jest prawdopodobieństwo, że coś takiego jeszcze kiedykolwiek stanie się moim udziałem. Uczy mnie technik skupiania się na chwili obecnej i redukcji niepokoju.

Ilekroć zaczyna mnie ogarniać niepokój, ściskam razem kciuk i palec wskazujący, co pomaga mi się uspokoić. I to działa. Przynajmniej trochę.

Marc organizuje też spotkania z moją rodziną i z Jen. Jest taki mądry – wie, że także ich potrzebuję, żeby w pełni dojść do siebie. Sprowadza Jen, która spędza u niego w domu sporo czasu, a nawet zaprasza nas wszystkich – tatę, Genovevę, Jen, Samulea i mnie – do włoskiej restauracji. Marc idzie tam z nami, oczywiście, i cudownie jest patrzeć, jak bawi się z Samuelem i rozmawia z tatą i Jen.

To wielka ulga, że tata jest już na nogach i ma się dobrze. Wygląda jak okaz zdrowia, a lekarze mówią, że jest w świetnej formie.

Mimo że po tym, co się wydarzyło, jesteśmy sobie bliżsi niż kiedykolwiek, nie kochaliśmy się od tego czasu. Marc traktuje mnie trochę jak laleczkę z saskiej porcelany. Wieczorem kładzie mnie delikatnie do łóżka, obejmuje ramionami i patrzy na mnie, dopóki nie zasnę. Ale nie próbuje się ze mną kochać, a mnie szybko zaczyna tego brakować.

Tak bardzo go kocham i wiem, że on kocha mnie, ale dopóki nie będziemy razem w pełni, wiem, że nie wyzdrowieję. Na razie ciągle nie jest tak, jak powinno być. Tak czy inaczej, nadszedł dzień premiery. A ja się boję. Ściskanie palców trochę pomaga, ale tylko trochę.

Marc odwozi mnie do teatru i parkuje przed wejściem od strony kulis.

– Poradzisz sobie – mówi, zaciągając ręczny.

Kiwam głową, patrząc na czerwone drzwi. Przed drzwiami stoi dwóch strażników, a na ich widok serce zaczyna mi bić szybciej. Chwytam Marca za rękę.

– Nie wiem, czy dam radę.

Marc odwraca się do mnie z poważnym wyrazem twarzy.

– Dasz. Wierz mi. Dasz radę. Zaczekaj tu. – Wyskakuje z samochodu i podchodzi do strażników. Sprawdza ich legitymacje, a potem otwiera drzwiczki po mojej stronie.

Kiedy stawiam stopy na asfalcie, drżą mi kolana.

Biorę Marca za rękę i przyciągam go do siebie.

– Wszystko w porządku – mówi Marc. – Zobaczysz. Będziesz świetna.

Rozdział 107

Czekam za kulisami i czuję w gardle mocne uderzenia mojego serca. Tak mocno ściskam Marca za rękę, że pewnie zostawiam ślady paznokci na jego skórze.

Słyszę szum głosów na widowni za ciężką czerwoną kurtyną.

O mój Boże. To naprawdę już. To naprawdę się dzieje. Zaraz wystąpię w musicalu na West Endzie, przed tysiącami ludzi.

Nie wiem, czy będę w stanie.

Spoglądam w dół, na wolną rękę, i widzę, że drży. Kolana mam jak z waty, to zdumiewające, że potrafię na nich ustać.

Bum, bum!

Zaczyna grać muzyka, czerwona kurtyna zaczyna się unosić.

O mój Boże, o mój Boże. Nie, nie mogę. Nie dam rady.

Patrzę na pogrążoną w mroku widownię, która wyłania się spod sunącej w górę kurtyny.

O Chryste.

Widownia jest pełna. Mamy komplet.

Marc puszcza moją rękę.

– Czas na twój debiut – szepcze.

Powinnam wejść na scenę, ale jestem odrętwiała. Zupełnie odrętwiała.

Melodia na podniesienie kurtyny się kończy, słyszę pierwsze takty *Prawdziwej miłości*, pierwszej piosenki Belle.

Próbuję poruszyć nogami, ale nie potrafię.

Oddychaj, oddychaj.

O mój Boże.

– Sophio. – To najcichszy szept, ale czuję go aż w żołądku. – Poradzisz sobie.

Czuję ciepło Marca; odwracam się i patrzę na jego piękny profil.

– Mam tremę.

– Każdy ma tremę. – Marc ściska mnie za rękę. – Zadaniem aktora jest ją przezwyciężyć. Bez względu na to, jakie czeka go wyzwanie.

Znowu patrzę na widownię. Założę się, że niektórzy z tych ludzi byliby bardzo zadowoleni, gdybym się udławiła i nie wyszła na scenę. Cóż to byłaby za wspaniała historia dla gazet.

Gazety. Myślę o Gettym. Nadal nie jesteśmy w stanie dowiedzieć się, co się z nim dzieje. Nie możemy uzyskać nawet informacji, czy został aresztowany, ale Marc nad tym pracuje.

Nie, nie pozwolę, żeby Getty to zniszczył. Marc ma rację. Nie pozwolę mu wygrać.

Podnoszę głowę i prostuję plecy.

– Tak – mówię i patrzę Marcowi w oczy. – Poradzę sobie.

– Wiem, że sobie poradzisz.

Biorę głęboki oddech. Muzyka narasta, ludzie na widowni zaczynają szeptać. Wyobrażam sobie, co mówią.

Czy ona nie powinna już być na scenie?

Czy coś się stało?

Jedna stopa, potem druga. Idziemy. Raz, dwa, krok za krokiem. Koncentruję się na stopach. Jeszcze jeden krok. I jeszcze jeden. I jeszcze jeden. I nagle jestem na scenie. Na prawdziwej scenie teatru na West Endzie, przed tysiącami ludzi.

Odwracam się do widowni.

Panuje tam absolutna cisza.

Chwila, w której powinnam zacząć śpiewać minęła już i teraz gorączkowo próbuję przypomnieć sobie drugą i trzecią zwrotkę tej piosenki.

W porządku. W porządku. Jest drugi wers. Pierwszy wers drugiej zwrotki.

„Mówią na mnie piękna, lecz czymże jest piękno?”

Otwieram usta, ale słowa nie wychodzą. Jakby ktoś zamroził moje struny głosowe.

Dalej, Sophio. No, dalej.

Odwracam się i patrzę na Marca za kulisami. Spodziewam się, że będzie marszczył brwi, ale tak nie jest. Patrzy nam mnie z miłością. I nagle lód w moim gardle topnieje.

Śpiewam drugi wers:

„To tylko słowo, co w ludzkich ustach nie znaczy nic”.

Mój głos brzmi trochę skrzekliwie i słabo, ale daję radę. Śpiewam piosenkę dalej i mój głos staje się coraz silniejszy i czystszy. Wkładam w śpiew całe serce i wszystkie emocje, które w nim noszę.

Kiedy piosenka dobiega końca, jestem zarumieniona i pełna radości. Chyba jeszcze nie zawojowałam publiczności, ale też jej nie zraziłam. Nie spisali mnie na straty.

Odgrywam scenę „zagubienia w lesie”, a potem wychodzi Leo.

Chemia między nami jest w porządku. Odbijamy się od siebie i publiczność wybucha śmiechem i wstrzymuje oddech we wszystkich właściwych momentach. Kiedy razem śpiewamy, brzmi to całkiem dobrze.

Jeszcze zanim kończy się pierwszy akt, jestem w swoim żywiole. Jestem zachwycona występowaniem na scenie, jestem zachwycona reakcjami publiczności. Czuję, że nawiązałam z tymi ludźmi kontakt emocjonalny i bardzo mnie to cieszy.

Kurtyna opada na antrakt, a my z Leo czekamy, aż dotknie desek, żeby zejść ze sceny.

Przedtem dostrzegam jeszcze Cecile, która siedzi w drugim rzędzie. Na jej widok znowu zaczynam się denerwować. Wydaje się… sama nie wiem. Zła. Ale może się mylę. To prawdopodobnie ktoś inny. W końcu po co miałaby przychodzić na moją premierę? Była między nami chwila szczerej rozmowy, ale przecież na pewno nie jesteśmy przyjaciółkami.

Idę do Marca.

– Byłaś zdumiewająca – mówi, obejmując mnie ramionami i przyciągając do siebie. – Nie sądziłem, że mógłbym cię kochać bardziej, ale kiedy zobaczyłem cię na scenie, po tym wszystkim, co przeszłaś…

Przywieram do niego całą sobą.
– Musisz iść zmienić kostium – mówi Marc.
– Tak. – Kiwam głową.
– Pójdę z tobą do garderoby.

Rozdział 108

W garderobie nad lustrem wisi piękna błękitna suknia obszyta szklanymi paciorkami. To suknia Belle z drugiego aktu, a ja czuję się w niej cudownie, jak bohaterka historycznego romansu.

– Zostawię cię, żebyś się ubrała – mówi Marc. – Będę tutaj, zaraz za drzwiami.

– Nie – kręcę głową. – Zostań ze mną. Ta sukienka ma tyle guzików. Zawsze się z nimi męczę.

Podchodzę do lustra i podnoszę włosy do góry.

Marc wchodzi do garderoby i zamyka drzwi. Staje za mną i zaczyna rozpinać sukienkę. Patrzę na niego w lustrze i czuję, jak z każdym kolejnym ruchem jego palców narasta we mnie pożądanie.

Kiedy Marc zsuwa mi sukienkę z ramion, odwracam się do niego. Sukienka leży na podłodze wokół moich kostek. Mam na sobie bieliznę jak z baśni o wróżkach, którą kupił mi, kiedy lecieliśmy na jego prywatną wyspę.

– Nie kochaliśmy się od tamtego dnia z Gettym. – Zarzucam mu ręce na szyję; włosy opadają mi na ramiona.

Marc wsuwa w nie palce, głaszcze je i skręca.

– Sophio…

– Wiem, czego chcę, Marc. Chcę ruszyć dalej. Pomóż mi.

– Tutaj?

– Tak, tutaj. Pragnę cię, Marc. Czy ty mnie nie pragniesz?

Marc się śmieje.

– Boże, gdybyś tylko wiedziała jak bardzo. – Podnosi mnie, sadza na toaletce i pożera wzrokiem. – Jesteś pewna, że tego chcesz? Tutaj? Po tym wszystkim, co się stało?

– Jestem pewna. Chcę tego bardziej niż czegokolwiek innego.

Wciągam Marca między nogi i czuję, jaki jest twardy. Pulsuje tuż przy moim ciele, a ja jestem coraz bardziej podniecona. Zaciskam nogi wokół jego bioder.

– Zaczekaj – dyszy Marc, kładąc jedną dłoń płasko na lustrze. – To powinno być… powoli. Nie chcę się spieszyć. Nie chcę tak po prostu wypieprzyć cię w garderobie.

– Panie Blackwell. – Biorę jego rękę i wsuwam ją w swoje majtki. – A ja właśnie tego chcę.

Dłoń Marca sztywnieje.

– O Boże, dlaczego musiałaś to zrobić?

– Pokaż mi, że mnie kochasz – szepczę, pocierając jego ręką krocze. Odrzucam głowę w tył i wzdycham, kiedy jego palce przesuwają się tam, gdzie chcę je czuć.

Marc zamyka oczy z wyrazem bólu na twarzy, który mówi mi, że traci nad sobą panowanie. Jęczę, kiedy wsuwa palce do środka i zaczyna poruszać nimi tam i z

powrotem.

– Och, Marc – mruczę, kręcąc głową z boku na bok.

– Boże. Nie mogę się powstrzymać. – Marc odsuwa moje majtki na bok i uwalnia się ze spodni. Porusza się między moimi nogami, a moje ciało przeszywa rozkoszny dreszcz. Zagryzam wargi, kiedy wchodzi we mnie powoli, centymetr za centymetrem. Teraz jest we mnie do końca, wypełnia mnie bez reszty.

– Marc – jęczę.

– Czy tego chcesz? – pyta.

– Tego chcę.

Marc zaczyna się poruszać. Na początku powoli, potem szybciej, aż zaczyna tracić kontrolę. Toaletka drży, kiedy wchodzi głębiej, a moja głowa i plecy uderzają w lustro. Słyszę, jak różne rzeczy spadają z blatu na podłogę, ale nie dbam o to. Jest mi tak bardzo, bardzo dobrze.

Marc wydaje głuchy jęk, wchodząc we mnie z taką siłą, że całe moje ciało odskakuje przy tym do tyłu.

– Kocham cię – mruczę. – Uwielbiam czuć… jak się zatracasz.

– Już się zatraciłem – mówi Marc, zduszonym, chrapliwym głosem. – Wierz mi. – Nie przestaje się poruszać. – Kompletnie się zatraciłem. W najlepszy z możliwych sposobów.

Oplatam go nogami, przyciągając mocniej; Marc wchodzi we mnie głębiej, jeszcze głębiej, aż wszystkim, co czuję, jest on. Toaletka się chwieje; powieki opadają mi na oczy, rozkosz narasta i w końcu…

– O Boże, Marc. Och, Marc.

Moje ciało eksploduje; przywieram do Marca, wczepiona palcami w jego koszulę, nogi zsuwają się z jego bioder.

Marc zaciska zęby, jego oczy wpatrują się we mnie intensywnie.

– Sophio – jęczy i opada na mnie, dysząc, przyciągając mnie do siebie i owija sobie moje włosy wokół rąk.

Przez chwilę tkwimy tak, wtuleni w siebie. Potem Marc się cofa, odsuwa mi włosy z twarzy i delikatnie zdejmuje mnie z toaletki.

– Kocham cię – mówi, kiedy moje stopy dotykają podłogi. – Boże, kocham cię.

Uśmiecham się do niego, rozgrzana. Jestem szczęśliwa. Zachwycona. W lustrze widzę swoje odbicie i widzę, że mam zaróżowione policzki.

Rozdział 109

Dalej na scenę, panno Rose.

Drugi akt przebiega doskonale. Mówię swój tekst bez zająknienia, śpiewam czysto i śmieję się radośnie, kiedy Bestia zmienia się w przystojnego księcia.

Leo i ja kończymy przy burzy oklasków; słyszę nawet, że niektórzy tupią nogami. Domyślam się, że te nogi należą do Jen i mojego taty.

Schodzę ze sceny szczęśliwa, w uniesieniu. Marc czeka na mnie w kulisach, uśmiechając się lekko.

– Uwielbiają cię – mówi.

– Nie było idealnie, ale przed nami jeszcze trzydzieści przedstawień.

– Nie, ty byłaś doskonała – mówi Marc. – Twój tata i Jen spotkają się z nami za kulisami. Dowiedziałem się, że w garderobie Leo jest małe spotkanie towarzyskie i pomyślałem, że chciałabyś tam być.

Uśmiecham się.

– Tak. Chętnie. Marc? O co chodzi?

Marc wydaje się… zamyślony.

– Najpierw chciałbym ci coś pokazać. Chodź ze mną. Do twojej garderoby. – Prowadzi mnie w dół schodów, a ja idę za nim jak rozchichotana uczennica.

– Marc? Co się dzieje?

– Zobaczysz.

Otwieram ostrożnie drzwi garderoby i zaglądam do środka.

– Och, Marc.

Ogromne bukiety bluszczu i czerwonych róż stoją na toaletce, na kanapie, na podłodze. Właściwie cała przestrzeń została udekorowana wspaniałymi zielonymi liśćmi i czerwonymi kwiatami. Bukiety wypełniają pokój kolorem i zapachem, a ja stoję tam, uśmiechnięta jak idiotka, i wdycham ten odurzający zapach.

– Są przepiękne – mówię.

– Wejdź do środka. – Marc wprowadza mnie między kwiaty, a potem zamyka za nami drzwi.

– Jak ci się to udało? – uśmiecham się do niego kokieteryjnie. – Przecież cały czas byłeś za kulisami.

– Powiedzmy, że nauczyłem się sztuki delegowania zadań na innych za pomocą esemesów.

Śmieję się.

– Te kwiaty są takie piękne. Przepiękne.

– Tak jak ty. – Marc bierze mnie za ręce.

– Więc…

– Więc…

– Muszę panią o coś zapytać, panno Rose.

– O co, panie Blackwell?

Marc puszcza jedną z moich rąk i przyklęka na kolanie.

Wyciąga z kieszeni aksamitne pudełeczko i podaje mi je. Pudełeczko jest pięknego zielonego koloru i jest ozdobione wypukłym ornamentem w kształcie listka bluszczu.

– Marc?

Marc otwiera pudełeczko – w środku jest pierścionek. Antyk, jak sądzę – złota obrączka jest cienka i bardzo żółta, a brylant ma idealny kształt gruszki. Jest wspaniały. Idealnie w moim guście. Niezwykły, ale piękny.

Ręce zaczynają mi drżeć.

Patrzymy sobie w oczy.

– Sophio Rose – mówi Marc. – Wyjdziesz za mnie?

ciąg dalszy nastąpi…

24 czerwca 2014
Tom 3
Zatraceni w Bluszczu